Zbigniew Rokita

Kajś

Opowieść o Górnym Śląsku

Zbigniew Rokita

Kajś

Opowieść o Górnym Śląsku

Zbigniew Rokita

Kajś

Opowieść o Górnym Śląsku

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2020

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Fotografia na okładce © by Marek Maruszak / Forum

Copyright © by Zbigniew Rokita, 2020

Opieka redakcyjna i wybór zdjęć Przemysław Pełka
Redakcja Anna Mirkowska
Korekta Magdalena Jakubowska, Sylwia Paszyna
Skład Alicja Listwan / d2d.pl
Mapy Piotr Urbański

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8191-105-4

Dla Marii Błażejowskiej
Dla Martyny Słowik

woj. dolnośląskie
Odra
Prosna
woj. łódzkie
Częstochowa
woj. świętokrzyskie
Mała Panew
woj. śląskie
Warta
Opole
woj. opolskie
Nysa
Góra
św. Anny
ZAGŁĘBIE
Kędzierzyn-Koźle
Bytom
Będzin
Dąbrowa
Górnicza
Gliwice
Zabrze
Chorzów
Cisek
Ruda Śląska
Sosnowiec
Katowice
DĄBROWSKIE
Mysłowice
Mikołów
Tychy
Rybnik
Hałda
Szarlota
Bojszowy
Kraków
Wisła
Opawa
Pszczyna
Opawa
Jastrzębie-Zdrój
Karwina
Ostrawa
woj. małopolskie
Bielsko-Biała
CZECHY
Frydek-Mistek
Olza
Ostrawica
SŁOWACJA
0
25
50 km
miasta wspomniane w książce
inne miejsca wspomniane w książce
obecne województwo śląskie
historyczny Górny Śląsk
historyczny Górny Śląsk na terenie obecnego województwa śląskiego
granice województw
współczesne granice państw
inne ważne miasta
rzeki

Tarnowskie Góry
Radzionków
Piekary Śląskie
Siemianowice Śląskie
Bytom
Będzin
Dąbrowa Górnicza
Zabrze
Gliwice
Czeladź
Sosnowiec
Ruda Śląska
Chorzów
Świętochłowice
Katowice
Mysłowice
Tychy
woj. śląskie
woj. małopolskie
granice województw
granica pomiędzy Zagłębiem Dąbrowskim a Górnym Śląskiem
miasta Zagłębia Dąbrowskiego
miasta Górnego Śląska
0
5
10 km

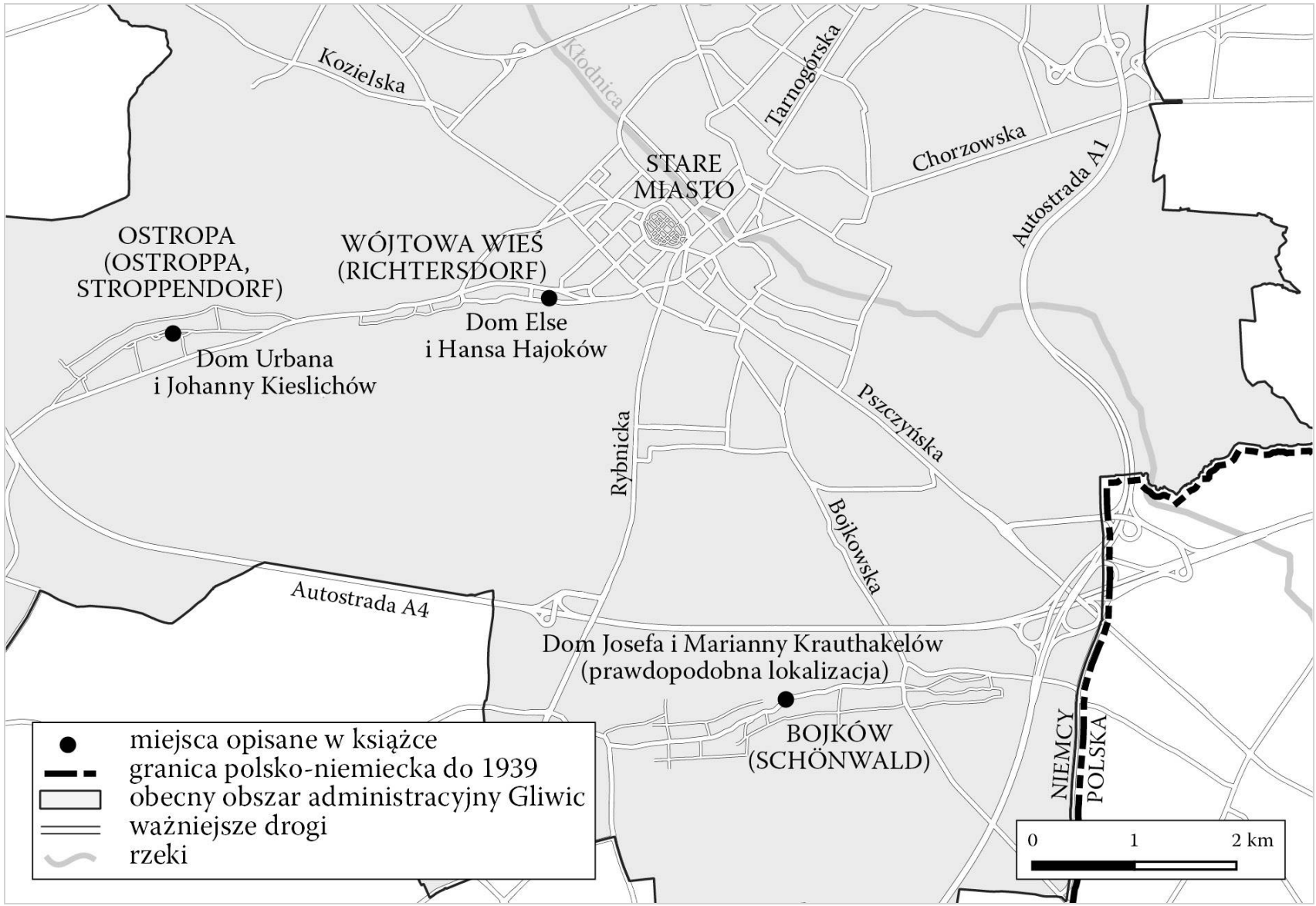
Kozielska
Kłodnica
Tarnogórska
Chorzowska
Autostrada A1
STARE MIASTO
OSTROPA (OSTROPPA, STROPPENDORF)
WÓJTOWA WIEŚ (RICHTERSDORF)
Dom Else i Hansa Hajoków
Dom Urbana i Johanny Kieslichów
Rybnicka
Pszczyńska
Bojkowska
Autostrada A4
Dom Josefa i Marianny Krauthakelów (prawdopodobna lokalizacja)
BOJKÓW (SCHÖNWALD)
NIEMCY
POLSKA
0
1
2 km
miejsca opisane w książce
granica polsko-niemiecka do 1939
obecny obszar administracyjny Gliwic
ważniejsze drogi
rzeki

Uproszczone drzewo genealogiczne
rodzin Hajoków, Kieslichów i Krauthakelów

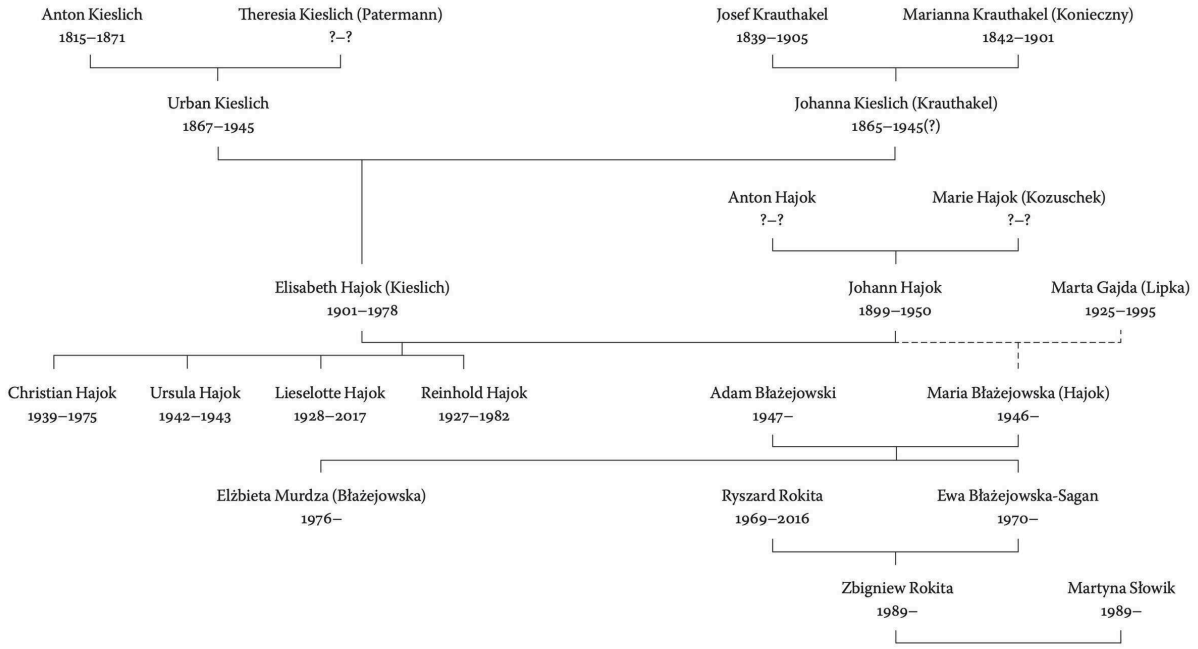

1

Moi przodkowie użyźniali sobą dzieje. Dzieje się na nich pasły i rosły tłuste i obłe.

Gdyby nie oni, nigdy nie powstałyby malownicze opowieści z dawnych diariuszy: o wojnach, które zbierały krwawe żniwo, o zarazach, które pustoszyły śląskie ziemie, o trupach, które ścieliły się gęsto. Kronikarze czasem byli łaskawi i zauważali istnienie mojej rodzinnej Ostropy, czasem znikaliśmy im z pola widzenia na długi czas. A gdy już na krótką chwilę zatrzymywali na nas wzrok, okazywali się surowi. Jak gdyby nie rozumieli, że to z tej od niechcenia rzuconej garści słów będziemy musieli ulepić sobie dzieje. Nie rozumiał tego pisarz Anton Oskar Klaußmann, który po pół wieku nieobecności na Śląsku, w drodze do pobliskiego Gleiwitz w 1911 roku przejeżdżał przez Ostropę. Klaußmann zlitował się nad nami, zauważył i łaskawie rzucił ochłap, jedno zdanie: „Ostropa ciągle paskudnie cuchnie, prawdę mówiąc, znacznie obrzydliwiej”. Tylko tyle zanotował. Może lepiej, gdyby już nas zmilczał.

Zbigniew Kadłubek nazwał Ślązaków osiadłymi nomadami: tkwią w jednym miejscu od tysiąca lat, zmieniają się tylko kraje, w których przychodzi im tkwić. Tak też było z naszą Ostropą. Nie mogłem wyzbyć się poczucia, że wszystkie te ostropskie Hajoki, Rzepki, Kowole, Foity, Magiery, Jondy i Dylongi zbiły się na setki lat w jedną chłopską kupę, żeby przeczekać do współczesności, aż będzie można nosić własne imiona, mieć osobne twarze, przeżywać swoje życia. Dopiero kilka pokoleń temu zaczęli powoli wypełzać z tego rojowiska.

Moim pierwszym śląskim przodkiem, który miał imię i nazwisko, był, odkąd pamiętam, prapradziadek Urban Kieslich, stolarz z domku na urokliwej Kirchstrasse. Zawsze był dla mnie człowiekiem, który zginął na swoim podwórku od odłamka bomby. Tyle się w rodzinie zapamiętało.

Mijały lata, a rodzinna opowieść – bądź raczej to, co działo się z nią w mojej głowie, sam już nie pamiętam – roiła się coraz ciekawsza: najpierw miała to być ostatnia bomba zrzucona na Ostropę, później prapradziadek awansował nawet na ostatnią ofiarę wojny w ogóle. Gdy byłem nastolatkiem, nie zastanawiałem się nawet, o którą wojnę chodzi. Snułem

opowieści, w które święcie wierzyłem. Rozpowiadałem na przykład, że u nas na piętrze podczas II wojny światowej najpierw Niemcy, a później Sowieci prowadzili dom publiczny, a na poddaszu mieszkały burdelmamy, kolejno nazistowska i radziecka…

Prapradziadek Urban długo nie budził we mnie szczególnych emocji. Łaskawie wygospodarowałem dla niego mały chlewik w mojej pamięci i pozwoliłem mu się tam schować przed zapomnieniem. Mogłem przez to przy okazji trochę urozmaicić samego siebie. To przykre, ale służył mi za poręczną anegdotę, choć miał należeć do pierwszego pokolenia ostropian, którzy będą zapamiętani jako oddzielne byty.

Długo nie miało to jednak dla mnie większego znaczenia. Atrakcyjniejsza wydawała mi się opowieść o lwowskiej części rodziny, w swojej wyjątkowości całkiem typowa. Ona – praprababka Karolina Próchnicka, gospodyni domowa, on – prapradziadek Józef Próchnicki, chemik z Politechniki Lwowskiej, po przyjeździe w 1945 roku do Gleiwitz, właśnie aranżowanego na Gliwice, pracował na nowo utworzonej Politechnice Śląskiej. Zajęli wspaniały dom z wielkim ogrodem, w którym bawiłem się jako dziecko.

Długo nie zwracałem uwagi na powtarzane w rodzinie słowo „zajęli”. W pacholęctwie słuchałem, że tu kogoś w czterdziestym piątym z domu wyrzucali, a tu ktoś w czterdziestym piątym jakiś dom zajmował. Te opowieści były dla mnie przezroczyste, nie rozumiałem, że wypędzani musieli mieć swoich wypędzających, a wypędzający wypędzanych. A nawet gdybym to rozumiał, nie pojąłbym, że owi zajmujący domy lwowiacy sami byli wypędzonymi. Nie pojmowałem, że jedni moi dziadkowie siedzący na rodzinnych geburstagach byli dziećmi zwycięzców wojny, drudzy – przegranych. Przynajmniej teoretycznie.

Prapradziadkowie Józef i Karolina Próchniccy mieli pięciu synów o skrzydlatych imionach Kazimierz, Władysław, Roman, Edward i Franciszek. Lwowskie łobuzy, trzech z nich było bokserami. Ponoć Kazimierz został nawet najlepszym pięściarzem w kraju i jeździł na turnieje do Związku Radzieckiego. Do czasu, gdy uderzył o treningowego kozła i wyzionął ducha.

Mój pradziadek Franciszek był najstarszy. Żył długo, umarł parę lat temu, tuż przed dziewięćdziesiątką. Był niespokojnym duchem, a przy tym eleganckim, pięknym mężczyzną. Mieszkał niedaleko nas, ale widziałem go w przelocie może kilka razy, nigdy dłużej nie rozmawialiśmy. Nie

stanowiło to dla mnie jednak problemu, bo potrzebowałem mitycznego przodka, a nie pradziadka z krwi i kości. Chodziłem do ogólniaka, wierciłem się, szukałem odpowiedzi na te same pytania co wszyscy, ale miałem do dyspozycji gotową tożsamość, w którą mogłem wskoczyć i wygodnie się w niej umościć. Inteligencka rodzina z Kresów. To dla poszukującego gówniarza los wygrany na loterii. Miałem jeszcze w zanadrzu korzenie góralskie, kongresówkowe i podkarpackie, poparte nawet kilkoma opowieściami. Był tam jakiś powstaniec styczniowy, żołnierz austrowęgierski, majątek przegrany w karty, ale nic we mnie nie drgało, gdy o tym słuchałem.

To prawda, o lwowskich przodkach też nie wiedziałem zbyt wiele, ale te kilka ułamków wystarczało, bo resztę wchłaniałem z otoczenia przez osmozę. Tożsamość lwowska, ten cały kresymentalizm, to była tożsamość pierońsko prosta, z gotową instrukcją obsługi. Używać jej uczono mnie w filmach, w książkach, w szkole pisałem kartkówki z Kresów, które tłumaczyli mi Mickiewicz, Miłosz, Sienkiewicz, a nikt nie opowiadał mi przecież najbliższego Górnego Śląska. Przedwojenny Lwów był dla mnie czymś namacalnym, oglądałem go na fotografiach, a zdjęć starych Gliwic nie znałem.

Aż do dorosłości podświadomie dzieliłem przeszłość mojej śląskiej rodziny na złożone z kilku apokryfów czasy niemieckie przed 1945 rokiem i najzupełniej realne polskie powojnie. Czułem, że to, co działo się tu „za Niemca”, było zmyśleniem. Nie wierzyłem w historię Gliwic. Nic nie wskazywało na to, by w mojej dzielnicy mógł istnieć kiedyś świat tak odmienny od tego, który znałem. Cesarstwa – myślałem – mogą być w Persji czy Bizancjum, ale nie tu, nie nad rzeczką Ostropką. Trzecia Rzesza nie miała prawa wydarzać się przed domem Friedków ani na polu za Jondami. Na Górnym Śląsku miałem poczucie, że czasy, które przeżyli moi wciąż żyjący sąsiedzi, nigdy nie istniały, a w Krakowie inaczej: tam wydawało mi się, jakby Jagiellonowie, ba, Piastowie, dopiero co opuścili Wawel.

Myślę, że dlatego tak łatwo opowiedziałem i uwierzyłem samemu sobie, że w moim domu mieścił się hitlerowski burdel, a pradziadek był ostatnią ofiarą wojny – którejś na pewno, a może obu. Skoro ta przedwojenna kraina była zmyślona, mogłem pastwić się nad nią do woli.

Po ogólniaku przeniosłem się na studia do Krakowa. Jak się wkrótce okazało – na pohybel mojej puszczającej pierwsze pędy kresowej

tożsamości. Znalazłszy się w galicyjskich dekoracjach, prędko poczułem, że nie należą do mnie, nie rozumiałem ich. Mimo kilkunastu przemieszkanych tu lat nigdy się nie zadomowiłem. W Krakowie zewsząd z szyldów łypali Franciszek Józef i Józef Szwejk, wszystko chciało nawiązywać do Austro-Węgier, a ja, Zbigniew z Próchnickich, stawałem się przez to banalny. Na domiar złego miesiąc po opuszczeniu Śląska wsiadłem w pociąg i pojechałem zobaczyć ten nieszczęsny Lwów. Okazało się, że on niestety istnieje i że z mojej lwowskiej tożsamości nic chyba już nie będzie, bo w zderzeniu z ludźmi, którzy naprawdę do jakiejś kresowości i galicyjskości mogą aspirować, jestem po prostu śmieszny.

Moja wyobrażona lwowskość okazała się zresztą po opuszczeniu Śląska bezużyteczna. Przestała być mi zbroją przed pospolitością. Na Śląsku miała służyć uwznioślaniu, wykrzyczeniu, że przybyłem z dalekiej krainy, podkreśleniu mojej nietuzinkowości. Odróżnić.

Wtedy zaczął się mój tożsamościowy refluks. Jadąc do Krakowa, może i wyobrażałem sobie, że jestem galicyjskim imigrantem, że dokądś wracam, ale już po kilku miesiącach stałem się śląskim emigrantem i dołączyłem do diaspory. W Galicji to śląskość zaczęła mnie odróżniać. Miałem dwadzieścia coś lat i zacząłem klecić sobie śląską tożsamość, ale nie było, cholera, z czego, bo co na tych paru zdjęciach i kilku rodzinnych anegdotach może wyrosnąć? Chabaź cherlawy. Za mało wiedziałem o Urbanie Kieslichu, by móc potraktować go inaczej niż jako półlegendarnego praszczura. Słyszałem o tym nieszczęsnym odłamku bomby i o tym, że pradziadek urodził się w 1867 roku w Królestwie Prus. Później babcia przypomniała sobie jeszcze imię jego żony – Johanna – oraz jej panieńskie nazwisko. Nie byli niczym więcej niż dziwnymi imionami i nazwiskami, kotwicą zarzuconą w prehistorię.

Bo są tacy, którzy z jakiegoś powodu potrzebują owinąć się tożsamością szczelnie, po szyję. I ja też tak mam. A tam, gdzie brakuje treści, górę bierze forma i stąd już krótka droga do radykalizmu. Sąsiedzi mieli łatwiej, oni jakoś w tym tkwili, a ze mnie była trąbka, a nie Ślązak, miałem ledwie kropelkę śląskiej krwi. Jako dziecko zawsze grawitowałem ku miastu, a miasto tu było polskie, zaś otaczające je wiochy – śląskie.

W neofickim zapale konstruowałem jakąś opowieść, umawiałem się z samym sobą, że jestem Ślązakiem. Moja tożsamość była fanaberią. Przedsięwzięciem zupełnie niekoniecznym. Próbowałem się dokopać do jakichś korzeni, żeby tę umowność choć trochę uprawdopodobnić, na jakiś

certyfikat śląskości sobie zasłużyć. Mogłem żerować na garstce starych zdjęć i przedmiotów z czasów, w których istnienie nie wierzyłem, i na ułamkach pamięci mojej babci, jedynej łączniczki z tamtym światem, choć łączniczki pośredniej, bo powojennej, świat przedwojenny znającej ze słyszenia. Jej wspomnienia były z drugiej ręki, zużyte, wytarte, znoszone.

Dziś wiem, że przez lata niezbyt się wysilałem. Gdy uznałem, że więcej odkryć z własnej przeszłości się nie da, robiłem tak: zasypiając, przywoływałem którąś z kilku opowiedzianych mi scen z przedwojennego życia moich przodków i intensywnie o niej myślałem. Czasem się udawało i obudziwszy się, pamiętałem, jak we śnie moi antenaci ożywali, zaczynali odgrywać role, w których ich obsadzałem. Chciałem w ten sposób cokolwiek jeszcze z tej przeszłości uszczknąć, choć wiedziałem, że te majaki są kłamstwem. Podczas jednej z takich nocy moja prababcia spojrzała nawet na mnie i w kółko powtarzała: Władysław Finazerin, Władysław Finazerin, Władysław Finazerin… Nigdy o nim nie słyszałem. Obudziłem się, sprawdziłem, czy coś wyskoczy pod tym nazwiskiem w wyszukiwarce, poszukałem na portalach genealogicznych, niczego nie znalazłem i do dziś nie wiem, co to miało oznaczać.

Dlatego zacząłem pisać tę książkę. Wiedząc, że wiele więcej o moich śląskich przodkach nie uda mi się dowiedzieć, chciałem chociaż zrekonstruować kontekst, w którym żyli. Zacząłem od mojego osobistego Piasta Kołodzieja, Urbana Kieslicha.

Miałem tylko ułamki pamięci mojej babci. Wierciłem jej dziurę w brzuchu, a jej kiedyś przypomniało się coś jeszcze.

– Nie wiem wiele o tym. Wiem, że był w powstaniu. Jego córka, ciotka Albina, nosiła zupę powstańcom do lasu. Ale nie mówiło się o tym. Które to było powstanie, gdzie był dokładnie – nie wiem nic.

I tyle, nic więcej babci, która sama urodziła się ćwierć wieku po powstaniach śląskich, nikt nie powiedział. A potem ci, co mogli powiedzieć, pomarli.

To jedno zdanie, że Urban Kieslich był w powstaniu, to za mało, żeby ze spokojnym sumieniem szczycić się rodowodem powstańczym, ale też za dużo, żeby je ot tak puścić mimo uszu.

2

W czasie gdy Francuzi, Holendrzy czy Hiszpanie mają już swoje państwa, niemieckie ziemie od setek lat trwają w rozdrobnieniu. W XIX wieku dwa ośrodki aspirują do ich scalenia: Austria i Prusy. Kilkadziesiąt lat zajmie Prusom sprawienie, żeby stolicą Niemiec stał się ostatecznie Berlin, a nie Wiedeń.

W 1866 roku dochodzi do wojny prusko-austriackiej. Prusacy szybko triumfują, a Austria do dziś pozostaje poza zjednoczonymi Niemcami.

Osłabieni Austriacy muszą iść na ustępstwa, dopuszczają do władzy drugi pod względem siły naród imperium, Węgrów, powstają Austro-Węgry. Dla Berlina ostatnią przeszkodą na drodze ku zjednoczeniu Niemiec są Francuzi, którym nie w smak są silne Niemcy. Prusy wraz z szeregiem niemieckich państw pokonują jednak odwiecznego francuskiego wroga, tak jak pokonały Austrię, we Francji po raz kolejny upada monarchia, która już nigdy się nie odrodzi, a samo państwo staje się – zaraz po Stanach Zjednoczonych – największą republiką świata. Wilhelm Hohenzollern pogrąża cesarza Napoleona III Bonaparte, bratanka Napoleona, i w Wersalu koronuje się na cesarza. Dołącza do elitarnego klubu cesarzy, do którego należą już władcy rosyjski, etiopski, brazylijski i chiński. Dzień Sedanu, rocznica decydującej bitwy z Francją, będzie – obok urodzin cesarza – najważniejszym świętem Cesarstwa Niemieckiego aż do jego upadku w 1918 roku.

Ten europejski gigant powstaje cztery lata po narodzinach mojego prapradziadka Urbana Kieslicha, w 1871 roku. Mapa się uspokaja, a niemieckie ambicje rosną. Widać to w muzyce. Najważniejszą berlińską pieśnią była dotychczas antyfrancuska *Straż na Renie*, teraz coraz częściej rozbrzmiewa *Pieśń Niemiec*, rozpoczynająca się od słów „*Deutschland, Deutschland über alles*”. Niemcy, które późno dołączają do wyścigu mocarstw, rzucają wyzwanie światowemu *Pax Britannica* i domagają się równego podziału kolonii. Świat zostaje poszatkowany między kilka państw, w Afryce Niemcy stają się trzecim co do wielkości mocarstwem kolonialnym. Kontrolują dzisiejsze ziemie Rwandy, Tanzanii, Kamerunu i Namibii, mają też kolonie w Oceanii, wpływy w Chinach i Turcji.

Nigdy wcześniej ani później Europa nie była tak potężna jak w półwieczu poprzedzającym wybuch I wojny światowej. Niemcy powstają w ostatnim momencie, by w tej epoce zaistnieć jako mocarstwo. Świat staje się właśnie, po raz pierwszy w dziejach, globalny, nie jest już tylko koncepcją geograficzną, rozpoczyna się historia świata. Kolej i statek parowy skracają czas podróży z miesięcy do tygodni i dni, a telegraf sprawia, że obieg informacji trwa ledwie godziny i minuty. *W osiemdziesiąt dni dookoła świata* jeszcze niedawno byłoby science fiction, teraz jest literaturą podróżniczą.

Europa wciąż dominuje gospodarczo nad Stanami Zjednoczonymi, a jej największą potęgą przemysłową staną się Niemcy. Zaczyna się niczym nieograniczony rozwój, między zjednoczeniem Niemiec a wybuchem I wojny światowej wartość globalnej produkcji rośnie pięciokrotnie. Świat wymyka się spod kontroli.

W wyniku wojny francusko-pruskiej Berlin otrzymuje ogromną kontrybucję, a część uzyskanej sumy inwestuje w industrializację Górnego Śląska. Zupełnie zmienia się oblicze regionu, w tym Gleiwitz i okolicznych wiosek. Przemysłowy boom sprawia, że Gleiwitz – stosunkowo niewielkie miasteczko, którego życie jeszcze niedawno toczyło się leniwie w obrębie kilkunastu ulic – w ciągu dwóch pokoleń wyrośnie na silny ośrodek przemysłowy, a przez kilkadziesiąt lat jego populacja zwiększy się dziesięciokrotnie. Z jednej strony powstają niezliczone zakłady i osiedla robotnicze, z drugiej – piękne secesyjne kamienice, okazałe świątynie, teatry, a pierwszy film można tu zobaczyć raptem kilka miesięcy po słynnym pokazie braci Lumière. Napływają inwestorzy, inteligencja, robotnicy, żydzi, ewangelicy. Charakter miasta zmienia się tak bardzo, że zasiedziali mieszkańcy mogą mieć poczucie, że stare dobre Gleiwitz przepadło na zawsze. Ja kilka pokoleń później będę miał to samo poczucie: to, co dla nich było już nowe i nieciekawe, dla mnie jest stare i konieczne do zachowania.

Gleiwitz. Pocztówka z widokiem na rynek, lata 20.
Źródło: fotopolska.eu

Przez kilkadziesiąt lat odsetek gliwiczan posługujących się językiem „polskim” (w cudzysłowie, gdyż tak byli oficjalnie klasyfikowani, ale posługiwali się raczej śląszczyzną) spadnie niemal o połowę – Bogusław Tracz w książce *Gliwice. Biografia miasta* podaje, że z sześćdziesięciu–siedemdziesięciu procent w latach sześćdziesiątych XIX wieku do dwudziestu siedmiu procent w przededniu I wojny światowej[1]. Sprzyja temu napływ nowych mieszkańców, w ogromnej większości z głębi Cesarstwa, ale i to, że niemiecki staje się językiem obowiązującym w przemyśle, biznesie, życiu szkolnym, kulturalnym i publicznym, a redutą polszczyzny jest głównie Kościół. Cesarstwo Niemieckie chce być państwem jednolitym językowo i narodowo, stąd uderza w katolicyzm i mniejszości, a że Polacy (w tej grupie znajdą się Ślązacy) są jedyną liczną mniejszością narodową – siłą rzeczy Cesarstwo uderza w rdzennych gliwiczan. Choć wówczas dalece nie wszyscy widzą asymilację jako coś złego. Dla wielu to po prostu szansa na lepsze życie.

Trudno powiedzieć, czy donioślejsze skutki przynosi germanizacja odgórna i systemowa, czy atrakcyjność Niemiec. Rzesze Ślązaków do

niemieckości aspirują, niemieckość jest *cool*, wielu z nich germanizuje się dobrowolnie, przejście na niemieckość jest na ogół warunkiem awansu społecznego. Zachowanie swoich tradycji i języka przez setki lat wymuszało na Ślązakach izolowanie się od państw, w których żyli, a to skutkowało ich marginalizacją. Śląskość sprowadzała się przede wszystkim do plebejskości. Awans oznaczał zaś wyjście poza swoją konserwatywną społeczność i przejście na niemieckość.

W XIX wieku w wyniku industrializacji zarówno w Gleiwitz, jak i na całym Górnym Śląsku wykształca się podział: kadry techniczne są na ogół niemieckojęzyczną inteligencją, a duża część robotników to polskojęzyczni chłopi. W rezultacie podział klasowy nakłada się na językowy, konfesyjny i coraz istotniejszy – narodowy. Na początku XX wieku ten ostatni jeszcze nie dominuje.

Gleiwitz – obecnie ulica Siemińskiego. Pocztówka, 1910–1920
Źródło: fotopolska.eu

Przez stulecia państwo było dla Ślązaka ledwie zauważalne, im dalej zaś w XIX wiek, tym bardziej wdziera się w jego życie wraz ze wszystkimi tymi urzędnikami, majstrami i oficerami. Pojawia się obowiązek szkolny,

a szkoła to najlepsze narzędzie propagandy aż do czasów radia i telewizji. Wcześniej chłopskie życie ograniczało się do kościoła, pola, karczmy, targu, teraz Ślązacy po raz pierwszy w historii tak masowo przenoszą się do miast. Wyrwani z habitatu, szukają nowych wspólnot.

Ale to już inne wspólnoty. Dotychczas na wsi Ślązak żył w konkretnej ojczyźnie, która zawsze miała ojca. Kiedyś był to człowiek z krwi i kości, później przez wieki pojęcie ojczyzny puchło. Objęło większe wspólnoty – religijną czy państwową – ale nigdy nie zatracił się „ojciec", nieważne, czy był nim Bóg, król czy cesarz. Teraz różni rywalizujący o Ślązaków budziciele proponują im dołączenie do wspólnoty narodowej, ojczyzny bez ojca. Polscy budziciele roztaczają wizję nowej wspólnoty, do której należeć mają też Polacy z Poznania, Leszna, Gniezna. Tylko czy Polak z Leszna jest bliższy Ślązakowi niż Niemiec z Opola czy nawet Bremy?

Polska i Polacy kojarzą się wówczas wielu Ślązakom źle: z biedą i zacofaniem. Widać to w pamiętnikach urodzonego w 1899 roku pod Raciborzem Arki Bożka, późniejszego polskiego działacza w międzywojennych Niemczech. Pisał: „Mówiłem sobie – nie możesz być Polakiem, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Nie jesteś człowiekiem w rodzaju tych, którzy przychodzili z Małopolski na roboty do dworów. Nie ma również więzów pomiędzy tobą a biedakami z Częstochowy"[2]. W innym miejscu pisze o polskich robotnikach z Galicji: „Najlepszych z nich przetransportowano w głąb Niemiec, resztę, samą biedotę, bez jakichkolwiek dokumentów pozostawiono na Górnym Śląsku. Zachowanie się ich w niektórych miejscowościach było tak rażące, że policja zabroniła im wstępu do wsi. Żaden chłop nie chciał, żeby go porównywano z tymi przybyszami, choć byli to przecież tacy sami Polacy. Było to wprost obraźliwe. Nie koniec na tym. Krzywiono się wreszcie na tego, kto w rozmowie posłużył się czystym rodzimym językiem. Była to bowiem mowa Galicjan"[3]. Galicja była czymś w rodzaju „austriackiej Syberii", która minęła się ze swoją epoką i jako rolnicza kraina, gdzie częstokroć od tysięcy lat niewiele zmieniało się w technikach uprawy roli, stała się symbolem zacofania. Jednocześnie to tam polskojęzyczni cieszyli się największymi prawami, kwitły polska administracja, szkolnictwo. Utożsamiana z polskością austriacka Galicja od polskości wielu odrzucała – podobnie zresztą jak rosyjska Kongresówka.

3

Gdy w 1914 roku wybucha Wielka Wojna, prapradziadek Urban na nią nie idzie. Dobiega pięćdziesiątki, wojna jest dla młodych. Ślązaków nikt nie wzywał na front od pół wieku, teraz nadchodzi czas, by się wykazali. Walka trwa 1567 dni, codziennie ginie około siedmiu tysięcy bohaterów. Ofiary przeliczam na ówczesne Ostropy (można też na podobnej wielkości Nikiszowce) i wychodzi mi przeszło jedna znikająca wioska każdego dnia. Jeśli dodać ofiary cywilne – ponad dwie. A jeśli policzyć wszystkie ofiary wojny, wyjdzie trzy i pół tysiąca Ostrop. W samej niemieckiej armii, gdzie służą ostropianie, zginie co szósty żołnierz. Szanse na przeżycie jak w rosyjskiej ruletce.

Ta wojna miała przynieść pokój i położyć kres walce zbrojnej, a zamiast tego stała się prototypem wojny nowoczesnej. Wcześniej europejskie wojny były przedłużeniem dyplomacji, metodą rozstrzygania konfliktów między imperiami, o ich wyniku decydowała często jedna bitwa. Teraz będą sposobem unicestwiania przeciwników.

Wojna nie trafia na ziemie Ślązaków, ale Ślązacy trafiają na wojnę, dotyka ona niemal wszystkie rodziny. W kamasze idzie blisko co czwarty mieszkaniec okręgu przemysłowego. Wielu ma zaszczyt zginąć za cesarstwo, a ci, którzy tego zaszczytu nie dostępują, widzą cesarstwa upadek.

U górnośląskiego żołnierza może wywołać to zdziwienie. Wszak żaden obcy żołnierz nie wkroczył na Górny Śląsk, Niemcy tej wojny militarnie nie przegrały, a w pierwszej połowie feralnego roku 1918 wydaje się wręcz, że są o krok od jej wygrania: pokonują Rosję, zbliżają się do Paryża. Wojska Wilhelma II są w momencie podpisania rozejmu tak daleko w głębi Rosji, że Górny Śląsk nie leży już na niemieckich kresach wschodnich, ale w centrum, a nawet przesuwa się na zachód kraju. Cesarz obiecuje poddanym, że powstanie germańska Europa, a po przejęciu angielskich i francuskich kolonii – germański świat, nad którym nigdy nie zajdzie słońce. I choć pewnie górnośląski żołnierz, który teraz wraca do domu, o tym nie wie, Niemcy tę wojnę mogły wygrać i zbudować zupełnie inny ład.

W Europie Zachodniej – poza Irlandią – działa milkną pod koniec 1918 roku, a w Europie Wschodniej w kolejnych inkarnacjach wojna trwać będzie jeszcze kilka lat. Ludzie z dnia na dzień przestają się tu bić o monarchie, zaczynają – o państwa narodowe. Giną podobnie, ale już nie są mięsem armatnim, tylko powstańcami i działaczami niepodległościowymi, jedna wojna płynnie przechodzi dla nich w drugą, prolongują ją, walczą piąty, szósty, siódmy rok. Rozpoczyna się walka o sukcesję po mocarstwach, która pod pewnymi względami będzie przypominać wojnę bałkańską z lat dziewięćdziesiątych. Winston Churchill powie: „Skończyła się walka olbrzymów, rozpoczęły się zmagania pigmejów".

Kolejne miesiące w Niemczech są czasem chaosu. Cesarz abdykuje i ucieka, a Urban Kieslich z poddanego staje się obywatelem. Wilhelm II w ostatniej chwili przekracza niemiecko-holenderską granicę, godziny dzieliły go od linczu zrewoltowanego tłumu i być może podzielenia losu swojego kuzyna cara Mikołaja II. Łut szczęścia sprawia jednak, że cesarz zgaśnie dopiero za dwadzieścia trzy lata. Na spokojnym wygnaniu w holenderskiej rezydencji do końca ponoć wierzył, że Hitler przywróci w Niemczech monarchię. W pewnym sensie zresztą przywrócił, ale wolał sam zasiąść na tronie.

Ów zrewoltowany tłum ma wpięte czerwone wstążki – symbol środkowoeuropejskiej rewolucji komunistycznej. Jeszcze długo po ucieczce cesarza wydaje się, że Niemcy (a także na przykład Węgry) mogą podzielić los Rosji i stać się krajem komunistycznym. Później, w Republice Weimarskiej, komuniści staną się znaczącą siłą, jedną z głównych w Reichstagu i drugą na przemysłowym Górnym Śląsku. W Zabrzu będą w pewnym momencie dysponować większością w radzie miejskiej i niewiele zabraknie, żeby przeszedł ich wniosek o przemianowanie miasta z Hindenburga na Leninburg – było to w czasie, gdy Petersburg zmieniał się akurat w Leningrad. W pierwszych miesiącach po zakończeniu Wielkiej Wojny na Śląsku Niemcy nie w Polakach, ale właśnie w komunistach widzą główne zagrożenie. Zmieniły to dopiero konferencja w Paryżu i pierwsze powstanie śląskie.

4

Jadę zobaczyć symbol panowania olbrzymów nad pigmejami – trójstyk dzisiejszych Mysłowic, Jaworzna i Sosnowca, gdzie sto lat temu znajdował się Trójkąt Trzech Cesarzy. W tym miejscu przez kilka pokoleń schodziły się granice imperiów Habsburgów, Romanowów i Hohenzollernów (dziś województwo śląskie jest jedynym, które składa się z ziem należących przed 1914 rokiem do tych trzech krajów). Mocarstwa po wojnach napoleońskich doszły do niewielkich tutejszych rzek – Przemszy i Brynicy. I na sto lat zatrzymały się w odległości paru metrów od siebie.

Pod koniec 1918 roku trójkąt trzech cesarzy znika, bo znika trzech cesarzy. Imperium austriackie rozpada się i już nigdy się nie odrodzi. Rosyjskie szarpane jest wewnętrznymi wstrząsami, Rosjanie wrócą tu dopiero za ćwierć wieku z okładem. Niemcy jako jedyni wciąż są w grze, Górny Śląsk nadal należy do nich.

Dojeżdżam na trójstyk. Na mysłowickim brzegu kilkanaście lat temu tutejsze władze umieściły obelisk, napis zaczynał się od słów: „W miejscu, w którym niegdyś stykały się granice trzech zaborów…”. Wśród miejscowych podniosło się larum, że Górny Śląsk pod zaborami nigdy nie był, że prędzej już Ślązacy byli zaborcami i w armiach pruskiej czy austriackiej Rzeczpospolitą rozbierali, a obelisk to próba polonizacji. Przypominano, że Górny Śląsk odpadł od Polski jeszcze w średniowieczu. Po śmierci ostatniego piastowskiego króla na krakowskim stolcu zasiedli Jagiellonowie, którzy Koronę na setki lat odwrócili na wschód i opanowanie drugiego brzegu Brynicy i Przemszy opóźniło się o sześćset lat. Gdy więc w XVIII stuleciu Polska zniknęła z mapy, Górny Śląsk nie należał do niej od setek lat i od setek lat nie dzielił jej historii. Ślązacy żyli we własnym, niemieckim państwie. Rzeczpospolita była dla nich czymś obcym.

Członkowie stowarzyszenia Ślōnskŏ Ferajna sami zrzucili się na nową tablicę – zmienili słowo „zaborów” na „państw”.

Ich wrażliwość jest ważna również dlatego, że podpowiada, jak przed stoma laty na Górny Śląsk spoglądały Niemcy. Otóż, gdy na dwóch bokach trójkąta wygodnie rozsiadła się Polska, zajmując niedawne ziemie

Romanowów oraz Habsburgów i łakomie spozierając na Górny Śląsk, w Berlinie nie spodziewano się, że może się on od Niemiec oderwać. Przyjmowano, że w najgorszym razie można stracić część ziem, które padły pruskim łupem w wyniku zaborów – Wielkopolskę czy Pomorze – ale Górny Śląsk wydawał się już tak jak Saksonia czy Bawaria nieodłączną częścią Rzeszy.

5

Od Napoleona nie było takiej wojny, więc od kongresu wiedeńskiego nie było takiej konferencji. Pod Paryżem rozstrzygają się losy Górnego Śląska.

Brytyjczycy mają własny plan.

– Chcieli wyłączyć pewne obszary sporne spod kompetencji państwowych. Według premiera Lloyda George'a miał to być Górny Śląsk, ale też roponośny okręg borysławsko-drohobycki – mówi historyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego i znawca tego okresu profesor Andrzej Chwalba. – Chciał, aby było to terytorium mandatowe pod kuratelą Ligi Narodów. Tak samo przejmowano kolonie. Górny Śląsk miałby stać się czymś na kształt Mezopotamii czy Palestyny. Alianci oświadczyliby, że ze względu na toczące się konflikty i brak świadomości narodowej Ślązaków ci będą się mogli swobodnie rozwijać pod międzynarodowym protektoratem.

Chwalba podkreśla, że w przypadku Górnego Śląska Brytyjczycy liczyli, że to im przypadnie rola głównego rozgrywającego, że w imieniu Ligi Narodów – a tak naprawdę w swoim – będą zarządzać zasobami spornego regionu. Wówczas na przykład górnośląski węgiel nie konkurowałby już z węglem brytyjskim.

Wyczytuję, że Brytyjczyków ideą niepodległości Górnego Śląska zainteresował jeden z najbogatszych magnatów niemieckich, książę pszczyński Jan Henryk XV von Hochberg. To niemieccy przemysłowcy jako jedni z pierwszych zaczęli o tym mówić. Nie chcieli płacić reparacji wojennych, nie chcieli też, aby ich majątki przecięła granica.

– Niepodległość Górnego Śląska była niemożliwa, ponieważ Brytyjczycy nie przekonali do tego pomysłu ani Francuzów, ani Amerykanów, ani nawet Włochów. W niczyim interesie nie leżało, aby Londyn tworzył w Europie własne kolonie. Gdy więc Londyn spostrzegł, że nie przejmie kontroli nad regionem, mówiąc o niepodległości prowadził grę, mającą doprowadzić do plebiscytu. Brytyjczycy nie chcieli, aby cały Górny Śląsk znalazł się w polskich rękach – mówi Andrzej Chwalba.

W tym czasie w regionie ujawniają się niepodległościowcy lub separatyści – zależy od perspektywy. Pierwsze powojenne lata to czas, gdy

mówi się „sprawdzam” różnym projektom państwowym. Projekt narodu i państwa górnośląskiego był bardzo teoretycznym konstruktem wąskiej grupy. W porównaniu do ukraińskiego czy czeskiego był zupełnie nieprzygotowany. Ślązaków z tego czasu lepiej jest porównać do Białorusinów. Sto pięćdziesiąt lat temu ich ruchy narodowe były z grubsza w podobnym miejscu, czyli były mirażem. I choć nawet w 1918 roku projekt państwa białoruskiego nie był wiele lepiej przygotowany niż projekt państwa górnośląskiego, to dziś nikt nie podważa już istnienia Białorusi jako osobnego bytu ani odrębności narodowej jej obywateli. Dla Ślązaków również wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej. Sto pięćdziesiąt lat temu białoruskość mogła rozwinąć się na kilka sposobów: mógł powstać naród wschodniosłowiański, w którym rozpłynęłyby się ukraińskość, rosyjskość i białoruskość; mogły powieść się projekty asymilacyjne polski i rosyjski; mógł wyodrębnić się naród białoruski; ludzie mogli też nie dokonywać wyboru narodowego, uważając się nadal za „tutejszych”. Co ciekawe, zrealizowały się wszystkie te warianty jednocześnie, żaden nie wykluczał pozostałych. Ze śląskością było wtedy podobnie. Czekało ją bądź rozpłynięcie się w niemieckości, czeskości i polskości, bądź zaistnienie w ramach odrębnego narodu, bądź okopanie się w „tutejszości”. I również wszystkie te scenariusze się wydarzyły, choć scenariusz narodowy w najmniejszym stopniu – głównie dlatego, że w przeciwieństwie do Białorusinów Ślązacy nie otrzymali po I wojnie światowej nawet erzacu państwowości, jakim była Białoruska Socjalistyczna Republika Radziecka. Choć nie trzeba mieć narodu, by otrzymać państwo. W wielu sytuacjach nie naród tworzył państwo, ale odwrotnie: tak było w przypadku nie tylko Białorusinów, ale też Boszniaków, Kirgizów, Azerbejdżan czy Mołdawian.

W latach powojennego chaosu na Górnym Śląsku niepodległość dla różnych osób mogła poza tym oznaczać różne rzeczy. Dla jednych rzeczywistą samodzielność, dla innych jedynie zmiany administracyjne związane z autonomią w granicach któregoś z państw. W niezależności zapewne większość widziała szansę na przywrócenie normalności i dlatego poparcie dla niej spadało wraz z tym, jak kończył się powojenny kryzys gospodarczy.

6

Gdy Lloyd George zdaje sobie sprawę, że Londyn nie przejmie Górnego Śląska jako terytorium mandatowego, ma wypowiedzieć słowa: „Oddać w ręce Polaków przemysł Śląska, to jak wkładać w łapy małpy zegarek". Nie chce dopuścić, aby Polska ot tak otrzymała sporny region, domaga się, aby przeprowadzono plebiscyt.

Brytyjczycy obawiają się zbytniego wzmocnienia polskiego sojusznika, Francji. Paryż na wschodzie kontynentu tradycyjnie opiera się na Rosji, ale gdy ta pogrąża się w rewolucyjnym zamęcie, stawia na europejskich beniaminków, którzy mają szachować Berlin od wschodu – Warszawę i Pragę. Francuzi chcą, by Czechosłowacy i Polacy otrzymali jak najwięcej Górnego Śląska, a Niemcy jak najmniej. Silni sojusznicy Francji nie są z kolei na rękę Brytyjczykom, którzy wolą silne Niemcy szachujące od wschodu Francję i święty spokój na kontynencie.

Alianci w traktacie wersalskim rozczarowują zwolenników górnośląskiej niepodległości. Nie tylko jej nie proklamują, ale też decydują, że w plebiscycie wyboru należy dokonać jedynie między Polską i Niemcami. Nie ma trzeciej opcji: Republiki Górnośląskiej.

Czy takie państwo miałoby rację bytu?

Utworzona na terytorium plebiscytowym republika miałaby w 1921 roku najpewniej tylu mieszkańców co ówczesne Litwa czy Urugwaj, około dwukrotnie więcej niż Estonia, Albania lub Paragwaj.

Dominowałaby kultura niemiecka, prawdopodobnie postępowałaby germanizacja obywateli (głównie dobrowolna), którzy jednocześnie oddalaliby się od polskości. Po kilkunastu latach mogłyby silnie wybrzmieć postulaty powrotu do Niemiec, a *Freistaat* najpewniej podzieliłby los Austrii i w przededniu II wojny światowej zostałby wchłonięty przez Hitlera. Później bądź zostałby przyłączony do Polski, bądź byłby okupowany przez aliantów co najmniej do lat pięćdziesiątych, aby następnie po dziś dzień zachować niezależność.

Temat żyje do dzisiaj – choć raczej jako część miejscowej mitologii, tak samo jak polska kolonia na Madagaskarze. Kazimierz Kutz mówił: „Wszystko byłoby inaczej, gdyby na początku XX wieku Śląsk stał się

samodzielnym państwem. […] Mógłby stać się taką środkowoeuropejską Szwajcarią. A tak Śląsk zawsze jest traktowany jako margines, jako ciało obce. A to w Niemczech, a to w Polsce”[4].

Po ogłoszeniu traktatu wersalskiego starania Ślązaków o własne państwo słabną. Wielu działaczy niepodległościowych dołącza bądź do obozu polskiego, bądź do niemieckiego. Starają się wywalczyć taką samodzielność, jaka wydaje im się możliwa – na przykład status niemieckiego kraju związkowego na wzór Bawarii.

Na Górnym Śląsku toczy się cicha wojna polsko-niemiecka. Toczy się, ale tak, żeby nikt nikogo nie złapał za rękę. Wydarzenia tego czasu dziś nazwano by wojną hybrydową.

Pochłonie ona kilka tysięcy istnień, znaczna część z nich to cywile. Sytuacja co jakiś czas staje się tak napięta, że pęka jak wrzód i ludzie rzucają się sobie do gardeł. Później te kilkudniowe chaotyczne rozruchy nazwą powstaniami – pierwszym i drugim – ale wówczas są one tylko bardziej intensywnymi momentami codzienności. W tych latach nikogo nie dziwią bójki, draki, strzelaniny, zamachy.

Polska każdą swoją granicę wyszarpuje zębami i pazurami – poza granicą z Rumunią, dawną austro-węgierską rubieżą Bukowiny i Galicji, jedyną, gdzie jakoś można się było dogadać. Na Górnym Śląsku powołuje się na Wilsonowskie prawo narodów do samostanowienia, co nie przeszkadza jej wchłonąć ogromnych terenów Europy Wschodniej, na których dominować będą inne narody, również mające ambicje niepodległościowe – Litwini, Ukraińcy czy Białorusini. Polacy w Polsce będą stanowić raptem dwie trzecie ludności. Idea Wilsona nie może się bowiem ziścić w regionie, gdzie narodów jest tak dużo. W Europie Środkowo-Południowo-Wschodniej często przebiega to tak: rozmontowuje się imperia, na ich miejscu powstają państwa średnie, które wchłaniają ogromne mniejszości narodowe i dla tych mniejszości same stają się zaborcami.

Moje rodzinne Gliwice w okresie plebiscytowym są główną siedzibą francuskiego kontyngentu wojskowego, bo Francuzi wraz z Brytyjczykami i Włochami kontrolują region. Paryż wysyła tu oddziały strzelców alpejskich. Ponoć błędnie zrozumiano słowo „górny” i uznano, że region leży w górach. Pozostałością po ich obecności jest pomnik w gliwickim parku Starokozielskim, na nim widnieją dziesiątki nazwisk poległych tu

Francuzów. Lubię tam przychodzić i odczytywać nazwiska tych ludzi. - Canonnier Jean-Pierre Abadie, Capitaine Maurice Gavelle, Chasseur Vuiglio François.

Na miejscu parku jeszcze kilkadziesiąt lat temu znajdował się cmentarz. Nie przeprowadzono pełnej ekshumacji, między drzewami, ławkami i alejkami wciąż można znaleźć wystające z ziemi tu i ówdzie fragmenty dawnych niemieckich grobów. Grobów ludzi, w których śmierć w tym miejscu nie wierzę, bo jeśli chodzi o gliwicką historię, jestem agnostykiem.

7

Zbliża się plebiscyt. Arka Bożek w swoich pamiętnikach przytacza słowa niejakiego Franciszka Badury: „Tam w Polsce bieda, u nas dobrobyt. Zobaczycie, że Was opadną ci panowie z Galicji jak szarańcza. Na koniec wy pozostaniecie głupcami, jakeście zresztą przed tym byli. Modlę się po polsku, spowiadam po polsku i gadam po polsku, ale u Niemca mam się dobrze. Czegóż mi więcej trzeba? Będę się stawiał? Przecież głową muru nie przebiję. Ostatecznie – są Niemcy, jestem Niemcem, będzie Polska, będę wtedy i ja Polakiem”[5].

Gdy przychodzi do głosowania, słowa Badury wyrażają nastroje ogromnej części Ślązaków. Część chce niepodległego Górnego Śląska, część myśli o narodowości, część o religii, część o swoim brzuchu lub o godności. Jedni chcą czegoś nowego, inni wolą znane. Dla tych Ślązaków, którzy kierują się bardziej bezpieczeństwem, mniej ideami, wybór między Niemcami i Polską brzmi: lepszy gołąb w garści niż wróbel na dachu. Byt określa świadomość częściej niż świadomość byt.

Przenikają się rozmaite motywacje. Tu nie ma liczb, badań socjologicznych. Jest suma obaw, nadziei rekonstruowana z ułamków. Jest też pewność, że opowieść o śląskim ludzie, który stanął do walki narodowowyzwoleńczej z niemieckim okupantem, to tylko wycinek rzeczywistości, a wycinki są prawdziwe dopóty, dopóki nie zaczyna się udawać, że nie są tylko wycinkami.

Berlin i Warszawa wyczuwają ten gąszcz motywacji i prześcigają się w obietnicach. Wiedzą, że losy plebiscytu bardziej niż od składu narodowościowego Śląska zależą od tego, w jakim państwie chcą żyć jego mieszkańcy.

Do niedawna Niemcy miały nad Polską znaczną przewagę w walce o dusze Ślązaków. Była to przewaga natury ontologicznej – Niemcy istniały. Od niedawna Polska też istnieje, ale słowa dopiero stają się ciałem. To już zygota, a jeszcze relikwia. Powoli pokrywa się mięśniami, skórą, łapie wagę. Nie wiadomo, jakimi żyłami i arteriami obrośnie, czy obok Wisły i Bugu popłynie przez nie również Niemen, a może też Odra i Dniepr. Zyskuje nowe organy: Wilno, Lwów, Poznań, niektórzy marzą

o Kijowie, Mińsku, Gdańsku. Ale to ciało ma wciąż słaby układ immunologiczny, nie wiadomo, czy zaś nie wyzionie ducha, jeśli przypałęta się byle choróbsko. Dla współczesnych nieistnienie Polski jest wszak stanem bardziej naturalnym niż jej istnienie. Bo tak Bogiem a prawdą, gdy przychodzi do plebiscytu, o odrodzonej Polsce Ślązacy wiele nie wiedzą. Polska jest plotką. Polska się rozstrzyga, nie wiadomo, na co się głosuje.

Górny Śląsk nigdy jeszcze nie był tak rozpolitykowany. Dyskutuje się w kopalniach, hutach, antryjach, na rynkach, placach, w sieniach, wszędzie. Ślązacy muszą się dobrze namyślić, bo to pierwsza taka granda. Zawsze to wielcy panowie strugali, gnietli i zmiatali tutejsze granice, teraz dziwi, że chcą poznać zdanie Pyjtra z Kieferstädtel czy Trudy z Pilchowitz. I choć walka toczy się tu przede wszystkim o przemysł i ziemię, to zdania dwóch milionów Ślązaków nie będzie można puścić zupełnie mimo uszu.

Wspomnień o podziałach, które przebiegały w poprzek rodzin, zachowało się całe mnóstwo. Najbardziej działa mi na wyobraźnię wzmianka polskiego działacza niepodległościowego Józefa Syski o rodzinie, w której matka była Niemką i przekonywała dzieci do Niemiec, a ojciec Ślązakiem ducha polskiego i przekonywał je do Polski. Zwolennicy jednej i drugiej opcji żyli razem od pokoleń i długo nie wiedzieli, że mają różne zdania, bo długo ich mieć nie musieli i nie mieli. Różne zdania w tej sprawie to nowa moda, franca, która dopiero się przypałętała.

8

Czytając o plebiscycie, trafiam na książkę *Osiem wieków Ostropy* pod redakcją Piotra Góreckiego, a tam – na ślad rolnika Josefa Krauthakela. Josef urodził się w 1839 roku i pochodził z obrosłej legendami „germańskiej" osady Schönwald (dziś część Gliwic o nazwie Bojków). Jedynej na przemysłowym Śląsku w pełni niemieckiej wsi. Za plebiscytu i później wioska pokazywana jest jako dowód na germański rodowód Śląska.

Jej mieszkańcy przybywają na Górny Śląsk z głębi Niemiec w średniowieczu. Na śląskie wsie osadników trafia na przestrzeni stuleci rój i na ogół rozpuszczają się w słowiańskim żywiole. Z schönwaldczykami jest inaczej. Tworzą zamkniętą społeczność, najczęściej zawierają małżeństwa między sobą i w ten sposób przez około siedemset lat, aż do 1945 roku, zachowają swój niespotykany nigdzie indziej średniowieczny dialekt.

Według gliwickich wspomnień efektem ubocznym małżeństw między bliskimi krewnymi była spora liczba upośledzeń. Dziewiętnastowieczny schönwaldzki proboszcz, widząc genetyczną degradację parafian, skłaniał prawdopodobnie kawalerów, aby szukali sobie kobiet w sąsiednich wsiach. Jednym z tych, którzy ruszyli przed siebie, był dwudziestoparoletni rolnik Josef.

Nie wiemy, czemu Josef opuścił znane i poszedł w nieznane, czy pytał też o panny na wydaniu w położonych bliżej Deutsch Zernitz lub Knurowie, czy śpiewał, gdy szedł przez okoliczne pola.

Wiemy, że doszedł do położonej kilka kilometrów na zachód Ostropy, do chałupy Koniecznych, którzy w okolicy gospodarzyli od zamierzchłych czasów. Wkrótce, w 1862 roku, w małym drewnianym ostropskim kościółku świętego Jerzego Josef ożenił się z dziewiętnastoletnią Marianną Konieczną, ratując w ten sposób schönwaldzkie geny przed poplątaniem. Wszystko to działo się, choć schönwaldczycy polskojęzycznych Ślązaków nazywali *pouscher Dreck*, polskim dziadostwem.

Od mojej babci wiem, że praprababka Johanna, żona Urbana, jako panna nosiła nazwisko Krauthakel. Wertuję książkę Góreckiego, stare parafialne

księgi zgonów i narodzin, portale genealogiczne. Tak, wszystko się zgadza: praprababka Johanna Kieslich to córka Marianny i Josefa Krauthakelów.

Nagle w mojej głowie Johanna, moja prywatna Rzepicha, z postaci półlegendarnej staje się postacią historyczną. Okazuje się półschönwaldką, córką Josefa z Schönwaldu. Dzięki niej mogę podpiąć się pod mikroskopijną schönwaldzką cywilizację, o której mało kto już dziś pamięta, i skomplikować nieco swoją tożsamość. Od teraz jest bardziej dożarta. Postanawiam zaadoptować Krauthakelów i pamiętać o nich. Zastanawiam się, czy w dobie plebiscytu półschönwaldka Johanna i powstaniec śląski Urban spierali się ze sobą. Czy byli matką Niemką, która przekonywała dzieci do Niemiec, i ojcem Ślązakiem ducha polskiego, który przekonywał je do Polski?

W księdze zgonów parafii ostropskiej z 1874 roku znajdę później jeszcze wzmiankę o śmierci urodzonego w 1799 roku Clemensa Krauthakela, ojca Josefa. Widać syn zabrał do siebie na starość mojego praprapradziadka – zabrał, jak to się tu mówi, na wycug. Wertuję dalej, ale wcześniejsze pokolenia będą już tylko dziwnymi imionami zapisanymi trudnym do odczytania gotykiem, o których nigdy niczego się nie dowiem. Tutaj tak daleka pamięć to i tak trudno osiągalny luksus.

9

Jest wieczór 20 marca 1921 roku, właśnie zakończył się plebiscyt. Tłumy na ulicach czekają na obwieszczenie, jaka będzie przyszłość. Warszawa kilkadziesiąt godzin temu uchwaliła konstytucję i podpisała pokój z Sowietami – zdążyła (Korfanty twierdzi, że gdyby w dniu plebiscytu Polska wciąż prowadziła wojnę, na Śląsku kosztowałoby ją to setki tysięcy głosów – ludzie nie chcieliby głosować za pójściem w kamasze). Rzeczpospolita wyrysowała sobie już własny kontur, cały poza Śląskiem.

Zewsząd drze się polskość i niemieckość. Agitatorzy nie dbają dziś o niuans, kreślą obraz szerszy, dowodzą, który naród jest dobry, a który zły. Aby nie zaprzątać zbytnio rozmiłowanych w konkrecie śląskich głów, operują lakonicznym słowem i sugestywnym obrazem, a do rozstrzygnięcia dylematów z zakresu historiozofii i bogactw kopalnych służą im słowa „nigdy", „zawsze" oraz „każdy". Argumenty upychają na ulotkach i plakatach, które słowiańscy i germańscy chłopcy rozwożą na jedno-śladach. Jedni plakaty naklejają, inni oblewają nieczystościami, zrywają bądź zaklejają.

W lokalu każdy Ślązak otrzymał dwie karty. Tak uzbrojony stanął przed urną i koszem. Jedną wrzucał tu, drugą tam. Karta czerwona to Niemcy, biała to Polska. Gdy któryś umieszczał w urnie czerwoną, rosła szansa, że będzie germanizowany. Jeśli odwrotnie – że go spolonizują. Urban zagłosował za Polską. Jak zagłosowała Johanna, nie wiemy.

W dniu plebiscytu Wania ma dziewięć lat. Nie wiem o nim zbyt wiele. Wiem, że urodził się w małej wiosce Unarokowo nad rzeką Czechrak na pograniczu Kubania i Adygei na Kaukazie Północnym w Imperium Rosyjskim. Wiem, że jego ojciec na imię ma Afanasij, a chłopaka nazwano po dziadku. Wiem też, że Iwan Afanasjewicz Rudenko, bo tak brzmi jego pełna godność, za ćwierć wieku przesądzi o dalszych losach mojej rodziny. Ale dziś nie może jeszcze mieć o tym pojęcia ani on, ani Urban Kieslich. Na razie więc zostawmy go w spokoju.

Tymczasem są wyniki. Frekwencja blisko stuprocentowa. Wygrywają Niemcy.

Otrzymują sześćdziesiąt procent głosów w regionie, w którym sześćdziesiąt procent mieszkańców mówi po polsku. Zawiodły rachuby, w których utożsamiano język z narodem, naród z przywiązaniem do państwa.

Co do zasady miasta ciągną bardziej do Niemiec (Opole – dziewięćdziesiąt pięć procent, Katowice – osiemdziesiąt pięć, Gliwice – blisko osiemdziesięciu, Bytom i dzisiejszy Chorzów – około siedemdziesięciu pięciu), wieś do Polski. Na Górnym Śląsku jest odwrotnie niż w Galicji Wschodniej, o którą Polacy tłuką się z Ukraińcami – tam z grubsza w miastach przewagę mają Polacy (i Żydzi), na wsiach – Ukraińcy. W wojnach takich jak polsko-ukraińska czy polsko-niemiecka o Górny Śląsk żadna ze stron nie ma racji oraz obie ją mają. To wojny, które dla wszystkich stają się przegrane w momencie, gdy w ogóle pojawia się potrzeba wyrażenia racji.

W Schönwaldzie Berlin otrzymał poparcie najwyższe spośród wiosek na przemysłowym Śląsku: dziewięćdziesiąt osiem procent. W Ostropie odwrotnie – najwięcej, bo sześćdziesiąt procent, chciało do Polski[6].

Plebiscyt nie kończy sporu. Polska jeszcze dwa lata wcześniej miała dostać cały Górny Śląsk, teraz zanosi się na to, że po przegranym głosowaniu przypadną jej jakieś skrawki, a przemysł zostanie w Niemczech. Wszystko wskazuje na to, że wrzód pęknie wnet po raz kolejny.

10

Doktor Paweł Parys jest badaczem z Pracowni Powstań Śląskich w Muzeum Śląskim z siedzibą w dawnej kopalni Katowice.

Lokalizacja jest ważna, bo Parysa z pracującymi tu do niedawna górnikami wiele łączy. Górnicy dzień w dzień opuszczali się w przeszłość, a dokładnie trzysta milionów lat wstecz, w piąty okres ery paleozoicznej, karbon.

Parys też codziennie ryje w przeszłości, choć jej pokłady nie zalegają tak głęboko. Przychodzi na szychtę, zjeżdża szybem, fedruje kolejne wyrobiska, wykopuje sobie chodniki, szuka nowych złóż, oddziela cenny urobek od odpadów. On też kiedyś wyfedruje swoje powstania do cna i porzuci grubę, ale na razie człapie przez wiele kilometrów dokumentów, starając się przekuć je na opowieść.

Jest potwornie mroźnie i wietrznie. Siadamy w jego gabinecie przy herbacie. Pytam go, dlaczego oni wszyscy wzięli udział w powstaniu. Badacz podejrzewa, że wielu poszło walczyć, bo zazdrościło starszym braciom czy kolegom, że przeszli przez wojnę, a oni sami się na nią spóźnili. Chcieli przeżyć młodzieńczą przygodę. Czasem iść do powstania kazał ojciec, zarządzał, że się ubieramy, cała rodzina idzie się bić. I niy mo godki. A czasem szło się, bo nie wypadało zostać samemu, gdy szli znajomi. Parys twierdzi, że to były częste przypadki. Był to też bunt biedoty, oburzonych, a gdy mi to mówi, ja myślę, że wśród polskich żołnierzy w Armii Czerwonej, która walczyła z Polską w 1920 roku, i wśród Ślązaków, którzy w tym samym czasie walczyli o Polskę z Niemcami, zdarzały się podobne motywacje, część tych chłopców miała podobną wrażliwość i tylko przypadkiem stała się powstańcami śląskimi, a nie czerwonoarmistami.

Dwa pierwsze powstania to przy trzecim nic. Logika tego zrywu jest inna niż w powstaniach styczniowym czy warszawskim. Tutaj na polu bitwy Polacy nie walczą z zaborcą. Po obu stronach walczą ochotnicy wspierani przez armie: polską i niemiecką, choć po polskiej stronie znaczna większość to miejscowi, po niemieckiej jest ich mniej. Wśród Ślązaków

ducha polskiego brakuje wyższych rangą dowódców, ci napływają zza kordonu wraz z uzbrojeniem, strategią, pieniędzmi.

Na Górnym Śląsku do walki w powstaniach idzie około sześćdziesięciu tysięcy ludzi. Więcej niż podczas powstania warszawskiego. Trzecie powstanie trwało sześćdziesiąt trzy dni – tyle co warszawskie. Część historyków podkreśla, że powstańcy zastraszyli aliantów, a ci z obawy przed wybuchem czwartego zrywu uzgodnili korzystniejszy dla Polski podział Górnego Śląska.

W rozmowie z Parysem wspominam, że podobno mój prapradziadek też był powstańcem, ale nic więcej nie wiem. Parysowi świecą się oczy.

– Jak się nazywał?

– Urban Kieslich.

– Rocznik?

– 1867.

– Z maja?

Zastanawiam się, skąd on to, cholera, wie. Nawet ja nie wiem, czy z maja.

– Tak, Urban. Pamiętam go – kontynuuje, zanim zdążę coś odpowiedzieć. Jego głos przypomina głos emerytowanego nauczyciela, który z rozrzewnieniem wspomina dawnego ucznia.

Parys zjeżdża prędko szybem w dół, szuka mojego prapradziadka w swoim archiwum i po chwili – jest. Trzyma prapradziadka na komputerze. To dziewięć wersów, krótka notka. Kolejny dowód na jego istnienie.

W notce stoi, że był wiejskim cieślą, służył w piechocie Cesarstwa Niemieckiego, a w polskiej konspiracji był od jej powołania na Górnym Śląsku w 1919 roku. I brał udział w trzecim powstaniu. A więc ciotka Albina mogła mu nosić zupę do lasu. Bardzo mnie to cieszy. Od tego momentu jestem nieco bardziej Ślązakiem, a tę rozmowę przeprowadzam jako potomek powstańca, a nie pierwszy lepszy dziennikarz z Krakowa.

Z dokumentu dowiaduję się, że podczas powstania Urban Kieslich służy w Straży Obywatelskiej – chodzi na zwiady wokół Ostropy, najpewniej przeszukuje też domy. Chcę się więc dowiedzieć, jak wyglądała rzeczywistość nie na froncie, ale na tyłach.

Jedyny zachowany opis powstania w Ostropie znajduję w *Kronice Parafii Ostropa*. Spisał ją prawdopodobnie świadek wydarzeń, Otto Blasel – sąsiad Urbana, nauczyciel jego dzieci. I choć kronikarz widzi świat

jednostronnie, to relacja jest ciekawa, bo opisuje malutką społeczność, która dobrze się znała, ludzi z kilkuset domów. Podkreśla, że Polacy pogwałcili traktat wersalski, nie uszanowali zwycięskiego dla Niemców plebiscytu i w porozumieniu z Francuzami wywołali pucz, nie żadne tam powstanie narodowe – to wypisz wymaluj międzywojenna narracja niemiecka. (Ale cóż, jeżdżąc po Górnym Śląsku, będę słyszał wspomnienia o polskich powstańcach, którzy sami nazywali powstania puczami. Na przykład o panu Piontku, który został panem Freitagiem).

Nauczyciel opowiada, że jeszcze przed powstaniem „wzajemna nienawiść wdarła się do wioski i przejawiała się nie tylko między sąsiadami należącymi do tego samego stanu, ale także i w rodzinach”[7]. Gdy rozpoczyna się irredenta, powstańcy odcinają Ostropę od Gleiwitz, niszczą druty telefoniczne, zakazują czytania niemieckich gazet, demontują niemieckie tabliczki. Część ostropian ucieka.

Blasel pisze: „Ponieważ rekwirowanie u znajomych osób, zwłaszcza u rolników, nie jest przyjemne, zastosowano inną metodę. Ostropscy powstańcy przenieśli pole swej działalności do Szywałdu, podczas gdy tutaj pojawili się inni powstańcy [z pobliskich wsi]”[8]. Szywałd to Schönwald, z którego sześćdziesiąt lat wcześniej przybył teść Urbana.

Według nauczyciela „Polacy byli chyba najnikczemniejszym i najbrutalniejszym elementem, jaki kiedykolwiek widziano w Ostropie. Nie dość na tym, że ci szubrawcy wymuszali od mieszkańców wioski pieniądze i żywność, wyciągali również Niemców i osoby proniemieckie z ich mieszkań i znęcali się nad nimi w stodole od Piechutty”[9].

Pojawiają się opisy powstańców, którzy – „bosi, podarci, ale uzbrojeni aż po same zęby”[10] – grabili cywilów i się nad nimi znęcali. Blasel podaje przykłady: „»Pan komendant« z dwoma podobnie myślącymi kazał się obwozić w krytym wozie księdza Maruschczyka. Ci trzej pasażerowie grali w skata, podczas gdy wierni małej Ojczyźnie musieli ciągnąć wóz”[11].

Byłem w szoku, gdy jako nastolatek po raz pierwszy usłyszałem od sąsiadów, że powstańcy byli warchołami, którzy ciągnęli do Polski, bo liczyli, że na tym zarobią. Później ludzie opisywali mi tak powstańców wielokrotnie: że bandyci, chachary, pijacy. Tutaj ludzie często wstydzą się swojego powstańczego rodowodu, powstania nazywają polską inwazją czy wojną domową.

Pytam o to Parysa.

– Nie lubimy mówić o swoich grzechach, ale nie byliśmy święci – mówi mi. – Grzechy polskie i niemieckie miały podobną naturę, ale Niemcy byli znacznie lepiej uzbrojeni, stąd też skala ich działań była większa. Miały miejsce liczne rabunki, gwałty, akty wandalizmu, pito. Terroryzowano nie tylko ludność cywilną wroga, ale też swoich. Powstańcami byli często puszczeni samopas nastolatkowie, którzy wyrwali się z rygoru śląskiej rodziny, to miało konsekwencje. Ale czy bezpiecznie jest dziś mówić o naszych grzechach? – pyta badacz.

Z jednej strony powstania to nie Srebrenica ani Wołyń. Tu nie mordowano masowo, a Parys tłumaczy, że gdy łapano wroga, to często uchodził z życiem, stłuczony jedynie na kwaśne jabłko. Z drugiej strony kilka tysięcy ludzi straciło życie, torturowano ich, rozstrzeliwano, rozłupywano im czaszki, gwałcono, zmuszano do jedzenia własnego kału. To straszne, ale jak na wojnę zwykłe.

11

Jadę do Rybnika. To w tutejszym powiecie podczas spisu powszechnego w 2011 roku zanotowano najwyższy odsetek osób deklarujących narodowość śląską – czterdzieści jeden i pół procent.

Mieszka tu dziennikarz i muzyk Paweł Polok. Chcę się z nim zobaczyć, bo oglądałem tworzony przez niego program historyczny *Tajemnice Śląska* – początkowo w TV Silesia, a później w TTV. Kiedyś był szefem oddziału Ruchu Autonomii Śląska w Rybniku, w czasie, gdy RAŚ współrządził województwem. Musiał jednak odejść, kiedy nazwał Polskę „bękartem wersalskim". Ale o tym później.

Spotykamy się w kawiarni przy rybnickim rynku. Polok wpada na krótką chwilę, zaraz musi pędzić dalej. Pytam go, czy Polska sto lat temu miała większe prawa do Górnego Śląska niż Niemcy.

– To teza nie do obronienia – odpowiada. – Podobnie trudno byłoby zresztą wykazać, że Niemcy miały więcej praw niż Polska. Najwięcej praw miała Austria. Ledwie sto siedemdziesiąt lat wcześniej Prusy odebrały jej region, który nabyła legalnie.

Sto siedemdziesiąt lat. Liczę: Lwów w wyniku rozbiorów był poza Polską sto czterdzieści sześć lat.

– Powstania to wojna domowa między Ślązakami omamionymi polskimi obietnicami i Ślązakami omamionymi niemieckimi obietnicami. Przy tym obie strony obiecywały to samo – ciągnie. – Trudno nie zgodzić się z narracją o powstaniach polskich, wojnie sterowanej z Warszawy, coś w tym jest – podkreśla i dodaje, że największym grzechem, jaki popełniono, było niedopuszczenie przez Korfantego i Francuzów opcji trzeciej, wśród miejscowych jego zdaniem najpopularniejszej: niepodległości Górnego Śląska.

12

Jest lato 1922 roku i Urban już rozumie, że on te powstania przegrał. W ubiegłym roku walczył, żeby Polska przyszła do Ostropy, ale ta szła, szła i nie doszła. Zatrzymała się tu zaraz, na polach między Żernicą i Knurowem.

Do Polski Urban na przełaj ma dziesięć tysięcy kroków, idąc żwawo, zajdzie w godzinę. Może podejść, obejrzeć kraj, za który walczył, pobyć w nim, poświętować wyrwanie Niemcom kawałka Górnego Śląska, ale później zawsze wraca do Rzeszy.

Jest w takiej sytuacji, w jakiej Ślązacy byli przez setki lat – Polska nie była dla nich niematerialną ideą, jak później dla romantycznych poetów z Wilna czy Krakowa. Przez wieki leżała zaraz za miedzą. Oni mieli swoją górnośląską ojczyznę, ale gdyby chcieli się do Polski przenieść, to żeby dojść z Ostropy do Rzeczypospolitej Obojga Narodów, trzeba było wyjść o brzasku i na obiad by się doszło. Zresztą, gdyby wszyscy Ślązacy rzeczywiście przez wieki tęsknili za polską macierzą, dzisiejsze Zagłębie, pierwszy tej macierzy kąsek, powinno się tutaj utrwalić jako symbol wszystkiego, co najlepsze.

Teraz Polska znowu będzie za winklem, nawet bliżej niż kiedyś. Ostatnim kawałkiem jej rubieży, którego los się rozstrzygnął, jest Górny Śląsk. Teraz Rzeczpospolita jest *fertig*. To, co przez ponad sto lat podlegało płynnym zasadom metafizyki, teraz podlegać będzie sztywnym regułom kartografii. Polska staje się zwykła. Pewnie niektórzy ostropianie przyglądają się wbijającym słupki graniczne. Ci chcą domknąć polski kontur, aby Polska się przez górnośląską dziurkę nie ulała, Polskę zatamować, aby wartko jak na Litwę czy Ukrainę nie popłynęła.

Alianci nie decydują się na zorganizowanie masowych przesiedleń ludności, aby uporządkować tu sytuację narodową. Zrobią to ćwierć wieku później.

Wyjeżdżają ci, którzy wyjechać chcą. W pierwszych latach po zamontowaniu szlabanów mniej więcej co dziesiąty mieszkaniec Górnego Śląska opuszcza swój dom i przenosi się na drugą stronę granicy. Ćwierć miliona dusz. W prasie roi się od ogłoszeń z eksodusu. Jeden chce do

Niemiec: „Wielki dom narożny przedni i tylny w bardzo dobrem położeniu, nadający się do każdego przedsiębiorstwa, z wielkim ogrodem owocowym i warzywnym w Tarn. Górach zamieni się na dom lub gospodarstwo na niem. Górnym Śląsku". A druga bardziej do Polski: „Wdowa z dwojga dziećmi […]. Obecnie posiada w Bytomiu mieszkanie o 2 pokojach i kuchni. Najchętniej chciałabym zamienić moje mieszkanie na takie samo w Katowicach lub w Rudzie. Jestem gotowa także zawrzeć znajomość z przyzwoitym mężczyzną, dobrym katolikiem i Polakiem, który by był pomocny przy przeprowadzce. Późniejsze zamążpójście nie jest wykluczone"[12].

Gros tych, którzy się nie wymienią, osiądzie na lata w naprędce kleconych barakach tuż za granicą. To sytuacja tragiczna, ale daleko jej do apokalipsy, która nadejdzie w roku 1945, gdy na Górnym Śląsku niemieckość, czasem razem ze śląskością, zostanie zaszpachlowana, zeskrobana i wrzucona do głębokich studni.

W ostropskiej kronice nauczyciel Blasel napisze: „Wielu Polaków z Ostropy, zwłaszcza takich, którzy sporo mieli na sumieniu, szukało ratunku w pośpiesznej ucieczce […]. Po podaniu do wiadomości nowego przebiegu granicy, czyli pozostaniu Ostropy przy Niemczech, Niemcy, którzy byli w czasie puczu ciężko dręczeni, próbowali odpłacić się Polakom za to, co wcześniej wycierpieli"[13].

Ale Urban nie wyjeżdża. Zostaje w swoim domku przy Kirchstrasse, w centrum wsi, u podnóża drewnianego kościoła, w którym żenił się jego teść Josef Krauthakel. Urban zostaje, ale nie wiem, czy to nie nazbyt duże ryzyko. Martwię się o niego. I wiem już, po kim moja prababcia będzie taka uparta, a gdy to piszę, moja narzeczona Martyna mówi mi, że wie z kolei, po kim ja jestem tak uparty.

Urban zostaje i wstępuje do Związku Polaków w Niemczech. W domowej szufladzie dziesiątki lat przeleży jego legitymacja, a na niej jedyne zdjęcie prapradziadka, jakie kiedykolwiek zobaczę. Jest na nim po pięćdziesiątce, pod nosem rozlewa się rozłożysty wąs *à la* kajzer i muszę przyznać, że jest pięknym mężczyzną. Szkoda tylko, że ta jedyna fotografia jest urzędowa, tak publiczna, tak bardzo dla wszystkich, a tak mało dla mnie. Tyle razy się w nią długo wpatrywałem, ale trudno mi dostrzec jakikolwiek przemycony przez granicę czasu prapradziadkowy gest, grymas. Nic, co uczyniłoby to zdjęcie choć trochę intymnym.

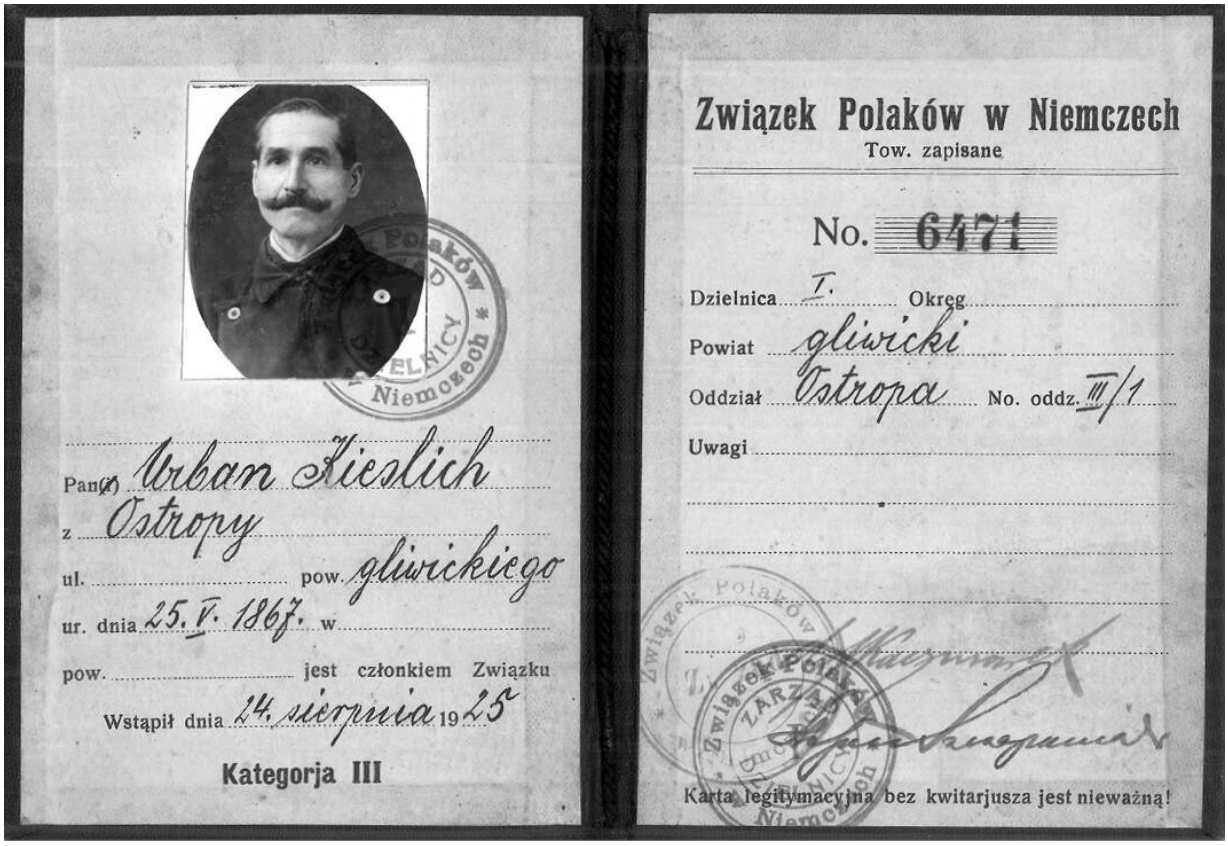

Jedyne zachowane zdjęcie Urbana Kieslicha na legitymacji Związku Polaków w Niemczech, ok. 1925

Źródło: archiwum rodzinne autora

Wyjeżdża większość nielicznej polskiej inteligencji, ta w międzywojniu będzie znacznie słabsza niż za powstań czy cesarza.

Granica, która w teorii dzieli żywioły słowiański i germański, w praktyce jest wyznaczona absurdalnie. Przecina żywy organizm. Alianci podejmują taką decyzję, jak biblijny Salomon: „Król rzekł: »Przynieście mi miecz!« Niebawem przyniesiono miecz królowi. A wtedy król rozkazał: »Rozetnijcie to żywe dziecko na dwoje i dajcie połowę jednej i połowę drugiej!«”[14]. Ale w 1922 roku żadna matka nie powstrzymała ciosu, który spadł na Śląsk. Granica dzieli bez liku zakładów przemysłowych i górniczych, linie kolejowe, drogi, wodociągi. I linie tramwajowe – na przykład tory z polskiego Chorzowa do polskiego Szarleju biegły przez niemiecki Bytom. Gdy pojazd dojeżdżał na granicę, plombowano go na krótki czas przejazdu przez Niemcy, a na stopniach stawał pogranicznik, aby nikt z niego nie wyskoczył, niczego nie wyrzucił.

Heinz Rogmann przyjeżdża z Breslau na polsko-niemieckie pogranicze w połowie lat trzydziestych, po jego podróży pozostanie album *Schlesiens Ostgrenze im Bild* (Granica wschodniego Śląska w fotografiach). Wertuję go, żeby znaleźć odcinek biegnący nieopodal Ostropy. Jest. Na jednym zdjęciu linia podziału idzie przez środek studni, na innym przez posesję: na terytorium Niemiec stoi dom, ale już tę część obejścia, na której stoi wygódka, alianci przyznali Polsce. W Niemczech się je, w Polsce wysrywa. Na najbardziej ikonicznej fotografii Rogmanna przy płocie stoi mężczyzna. Pilnuje małego dziecka, dziecko bawi się na ulicy. Dzieli ich metr. On wraz z podwórkiem znajdują się w II Rzeczypospolitej, dziecko w III Rzeszy.

13

Rzeczpospolita odradza się jako zlepek ziem odebranych przede wszystkim Rosji (sześćdziesiąt dziewięć procent), potem Austrii (dwadzieścia procent), wreszcie Niemcom (jedenaście procent). Te ostatnie z nowych dzielnic Polski rozwinięte są najlepiej. Poniemiecki Górny Śląsk wraz z kawałeczkiem poaustriackiego Śląska Cieszyńskiego tworzy malutkie województwo, stanowiące około procentu powierzchni kraju (minimalnie powiększy się po aneksji czechosłowackiego Zaolzia, dokonanego wraz z Węgrami i hitlerowskimi Niemcami w ramach rozbioru Czechosłowacji). Za cesarza był to jeden z głównych ośrodków przemysłowych kontynentu. W *Historii Górnego Śląska* o przyłączeniu regionu do Polski czytam: „Przyniosło to prawie trzykrotny przyrost potencjału przemysłowego Polski, kiedy o znaczeniu gospodarczym państw ciągle decydował ich potencjał industrialny. […] W 1936 roku województwo śląskie dostarczało: 75% węgla kamiennego, 100% koksu, 75% żelaza i stali, 100% cynku, 99% ołowiu i 34% nawozów azotowych produkowanych w Polsce”[15]. Zdobycie regionu zmienia oblicze Rzeczypospolitej. Bez niego Polska byłaby krajem znacznie bardziej zacofanym, pozbawionym poważnego ośrodka przemysłowego. Górny Śląsk wyznacza reszcie kraju standardy cywilizacyjne. Na przykład pod względem odsetka budynków z dostępem do kanalizacji, wodociągów, prądu, gazu czy wydatków w przeliczeniu na mieszkańca Katowice (powstałe niespełna pięćdziesiąt lat przed wybuchem I wojny światowej) biją na głowę Warszawę i Kraków, nie wspominając już o Lwowie czy Lublinie. Jeśli zaś porównać poziom cywilizacyjny Górnego Śląska z poziomem Polesia czy Wołynia, to różnicę można mierzyć w setkach lat. Wielu historyków jest zgodnych, że bez skrawka Górnego Śląska nie powiodłaby się reforma walutowa Władysława Grabskiego (w 1924 roku ustabilizowała sytuację polityczną i gospodarczą Polski), nie powstałyby czołowe projekty gospodarcze państwa, takie jak Gdynia czy Centralny Okręg Przemysłowy.

Niemiecki Teatr Miejski w Kattowitz (obecnie Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach), 1907–1911
Źródło: fotopolska.eu

Eugeniusz Kopeć w pracy *„My i oni" na polskim Śląsku* pisał, że Ślązacy byli jedyną „grupą regionalną narodu polskiego", która podporządkowywała się polskim władzom, stawiając swoje warunki – *pacta conventa*[16]. W śląskich *pacta conventa* są postulaty życia na poziomie przynajmniej takim jak w Niemczech oraz rozmontowanie dotychczasowego sztywnego układu, w którym Ślązacy byli skazani na rolę plebejuszy, i umożliwienie im awansu społecznego.

Górny Śląsk leżał poza Polską grubo ponad pół tysiąclecia i to nauczyło jego mieszkańców patrzyć na nią jako na coś zewnętrznego. Do dziś są krytyczni wobec Polski w inny sposób niż warszawiacy czy krakowianie. Nie są na Polskę skazani. W XX wieku wielu z nich będzie się czuło jak u siebie w więcej niż jednym państwie – także w Niemczech, a niekiedy jeszcze w Czechosłowacji, Francji czy Belgii. Poza tym domyślam się, że z perspektywy wielu Ślązaków II Rzeczpospolita nie ma u swego zarania monopolu na bycie dysponentem polskości. To nasz dzisiejszy punkt widzenia. Zresztą dla mieszkańców Śląska na początku XX wieku było też

wiele wariantów na przykład niemieckości. Austriacki, pruski, nadbałtycki, szwajcarski, któryś z lokalnych, takich jak schönwaldzki, i liczne inne. Do dziś nieustannie padają tu zdania: „U nas na Śląsku jest tak, a w Polsce owak” albo „My jesteśmy tacy, a Polacy tacy”.

W II Rzeczypospolitej Ślązacy w porównaniu do statystycznych mieszkańców Polski są zamożni, ale żyje im się gorzej niż za kajzera. Rośnie bezrobocie, gospodarka spowalnia, spada poziom życia.

Na „polskim” Górnym Śląsku upada wnet mit Polski zamożnej. Polacy w dobie plebiscytu nie liczyli się ze słowami, obiecywali niemożliwe. Teraz nie są w stanie zaspokoić apetytów.

Włóczę się długo od jednego miejscowego historyka do drugiego, żeby zrekonstruować, jakie w tym czasie nastroje panowały wśród Ślązaków. Najpierw udaję się do profesora Ryszarda Kaczmarka. To badacz z Uniwersytetu Śląskiego, autor trylogii *Polacy w armii kajzera*, *Powstania śląskie 1919–1920–1921* i *Polacy w Wehrmachcie*. Kaczmarek wie wszystko, napisał wszystko. Nie jest kordialny, nie skraca dystansu, nawet gdy zagaduję go o fusbal, który lubi. Odpowiada konkretnie, w żołnierskich słowach.

– Około roku 1924 lub 1925 nastroje części Ślązaków po polskiej stronie zaczęły się zmieniać na proniemieckie – mówi. – Polska rzeczywistość rozczarowywała, a w Niemczech opanowano hiperinflację, coraz mniej mówiło się o reparacjach, zaczął się okres kilkuletniej prosperity. Niemcy w porównaniu z Polską jawiły się też jako kraj bardziej stabilny politycznie. Wielki kryzys gospodarczy, z którego wyszły szybciej niż Polska, nie zmienił znacznie tych nastrojów. Ślązacy nie chcieli po 1922 roku kolejnej ideologii, chcieli stabilizacji, a oferta Niemców była atrakcyjna – wyjaśnia.

Upada też mit Polski sprawiedliwej. Ślązacy liczyli, że gdy Polska przejmie Górny Śląsk, oni zajmą ważne stanowiska. Dzieje się inaczej. Gros przemysłu i wielkiej własności ziemskiej pozostaje w rękach niemieckich. Ślązakom nie przypada również władza polityczna. W latach 1923–1939 wojewodowie są tu każdorazowo przysyłani ze wschodu. Podobnie jest z kadrami. Ślązacy utyskują: „Walczyliśmy w powstaniach, a to przyjezdni są dyrektorami”. Arka Bożek notuje w pamiętniku: „Lud śląski srodze się pomylił. Oto u matki swojej żył w bezrobociu i nędzy, spełniać musiał rolę parobka, pomiatanego pasierba i oddany został na żer obcego kapitału. A więc zmienili się tylko panowie. Pojechali berlińscy, a przyjechali warszawsko-krakowscy. Chciałbym być obiektywny, ale

trudno byłoby mi powiedzieć, który z tych panów był gorszy. Wszystko przemawia za tym jednak, że nasz krewniak”[17].

Liczne stanowiska – od urzędników przez kadry kierownicze po nauczycieli – obejmują głównie przyjezdni z Galicji, w dalszej kolejności z Kongresówki i Poznańskiego. W Austro-Węgrzech w porównaniu z Cesarstwem Niemieckim i Imperium Rosyjskim ludność ducha polskiego miała najłatwiejszą ścieżkę awansu, powstała „nadprodukcja inteligencji”, teraz dystrybuowana po całej Polsce. Szczególnie bolesna była obecność „Galileuszy” w szkołach. Ślązacy się oburzają, bo do niedawna przybysze z Austro-Węgier przyjeżdżali, aby pracować na niższych stanowiskach, teraz ci gastarbeiterzy chcą robić z tutejszych prawdziwych Polaków.

Barierą okazuje się brak znajomości literackiej polszczyzny wśród miejscowych. W artykule *Brak nam inteligencji górnośląskiej* na łamach „Zarania Śląskiego” czytam, że śląskie dzieci, które nie posługiwały się w domu literacką polszczyzną, miały w szkole znaczne problemy. Trudne okazywały się nie tylko same zadania z łaciny, francuskiego czy matematyki, ale też dotyczące ich wyjaśnienia i polecenia po polsku.

Rodzice często nie potrafią pomóc dzieciom w nauce, sami kończyli niemieckie szkoły, wstydzą się chodzić na wywiadówki. Na nauczycieli utyskują liczni Ślązacy: że zachowują się po pańsku, z wyższością, że przywożą ze sobą dziwne obyczaje.

Miejscowi nie zajmują jednak inteligenckich stanowisk również dlatego, że w województwie śląskim po prostu brakuje wykwalifikowanych rodzimych kadr.

Ich niedobór wynika też z braku szkoły wyższej na miejscu. Dyrektor Archiwum Państwowego w Katowicach Piotr Greiner wytłumaczy mi później, że uniwersytety z Krakowa i Lwowa blokowały powstanie uniwersytetu na Górnym Śląsku (założono go dopiero w 1968 roku), powstanie politechniki przed wojną blokowała z kolei Akademia Górniczo-Hutnicza. Greiner podkreśla, że nie chciano konkurencji, podbierania zdolnych. Pojawienie się tu w międzywojniu uczelni zmieniłoby oblicze regionu. Górny Śląsk zostaje jednak skazany na los wyłącznie ośrodka przemysłowego.

Rozczarowanie Ślązaków nową rzeczywistością widać w wyborach samorządowych w 1926 roku. Znakomity wynik otrzymują kandydaci z list niemieckich: w Królewskiej Hucie siedemdziesiąt procent głosów, w Katowicach pięćdziesiąt siedem procent. Trend się utrzymuje. Cztery lata

później w wyborach do Sejmu Śląskiego najwięcej mandatów zdobyli kandydaci z list niemieckich, wyprzedzając obozy Korfantego i sanacyjny.

Ryszard Kaczmarek tłumaczy mi, że wskutek podziału z 1922 roku w Ślązakach zrodził się syndrom krzywdy.

– To poczucie, że nieważne, co wybierzemy, Niemcy czy Polska, pasywizm czy aktywizm, i tak zawsze dostajemy, jak mówił Kutz, „w dupę". Nie ma dobrego wyjścia, trzeba było gdzieś się przywiązać, do Polski czy Niemiec. Z tego przekleństwa można było wyjść, tylko łącząc się z silniejszą grupą. To poczucie historiozoficzne i deterministyczne. Wydarzenia kolejnych dekad miały to tylko potwierdzić – mówi Kaczmarek.

14

Po drugiej stronie granicy ktoś wycina małą notkę z miejscowej gazety, świstek kilka na kilka centymetrów. Wycinek przeleży sto lat, aby trafić w moje ręce. Dużą szwabachą stoi: *Gleiwitzer Nachrichten, Donnerstag, 10 Juni 1926,* a pod spodem: *Neue Hebamme* […] *Elisabeth Kieslich*. W podgliwickiej wiosce jest nowa położna, córka Urbana i Johanny – Else. To moja prababcia, rocznik 1901.

Na najwcześniejszym zdjęciu prababcia ma kilkanaście lat. Wykonano je w atelier fotograficznym, na tło rodzina wybrała gęsty las. Dziewczyna stoi wyprostowana jak struna, spogląda prosto w obiektyw, tęgawa, powagą nieporadnie stara się przykryć zawstydzenie. Włosy ma upięte, ubiór chłopski, jakla pod szyję, na szyi święty medalik, w prawej dłoni książeczka, pewnie kościelna, lewa dłoń opuszczona, palce uczepione haftu białej zapaski, pod zapaską sięgająca kostek kiecka. Wzór cnót.

W pierwszych miesiącach 1915 roku niemieckie sterowce bombardują Wielką Brytanię, Wielka Brytania i Francja obiecują Rosji, że po wojnie Konstantynopol przejdzie pod jej władanie, w imperium osmańskim rozpoczyna się ludobójstwo Ormian, a Else jakby nigdy nic zalicza siódmą klasę i kończy ostropską szkołę ludową. W naszej szufladzie wciąż leży jej świadectwo. Uczył ją Otton Blasel – ten, który w miejscowej kronice nie zostawi parę lat później na jej ojcu i innych powstańcach suchej nitki.

Ech, oma, mogliście się bardziej postarać. Na świadectwie żadnego „bardzo dobrego”, „dobry” dostaliście tylko z ustnego niemieckiego, kaligrafii i katechizmu, a od niższych stopni gęsto. Zachowanie „godne pochwały”, to dobrze, ale już z oceną za pracowitość czy obecnością mogło być lepiej.

Po ukończeniu szkoły Else przez rok pomaga matce Johannie w domu, a następnie rozpoczyna pracę w gliwickiej fabryce drutu Vereinigte Oberschlesische Hüttenwerke AG, nieopodal średniowiecznej starówki. Codziennie pokonuje kilkanaście kilometrów przez pola i przedmieścia, aby spawać łańcuchy. Młoda Else jest pyskata i charakterna. Przy pracy głośno śpiewa, być może przyłączają się do niej inne kobiety. Majstra drażni to tak bardzo, że czasem daje jej kilka fenigów, żeby poszła kupić sobie bułkę i na

chwilę zamilkła (gdy powojenne Niemcy nawiedzi hiperinflacja, majster będzie musiał dawać prababci na bułkę już setki miliardów marek).

Else dzieli los wielu ostropian i ostropianek – dynamicznie industrializujące się Gleiwitz zasysa ludność z okolicznych wiosek, chłopi stają się robotnikami w pierwszym pokoleniu. Błyskawicznie dokonuje się rewolucja społeczna. Niektórzy, jak Else, po powrocie z pracy wracają do chłopskich obowiązków, inni na stałe przenoszą się do miasta. Ci drudzy szybciej się germanizują. A założyciel fabryki Wilhelm Hegenscheidt funduje szkołę, w której uczyć się będzie później dwoje dzieci Elisabeth oraz prawnuk – najpierw mój wujek Reinhold, potem babcia Maria, wreszcie ja.

W grudniową sobotę 1921 roku dwudziestoletnia Else otrzymuje pocztówkę z czarno-biało-czerwoną flagą Cesarstwa Niemieckiego. Takie wciąż są w obiegu i to nie dziwi. Dla ówczesnych ostropian czy gliwiczan Republika Weimarska jest kontynuacją Cesarstwa Niemieckiego, tym samym państwem w innej inkarnacji. Nie zerwano z przeszłością, widać to też w nazwie głównej arterii Gleiwitz, przy której Else pracuje. Ulica nieprzerwanie od jej wytyczenia w XIX wieku nosi imię cesarza Wilhelma II – Wilhelmstrasse. Nazwa przetrwa i Republikę Weimarską, i III Rzeszę, zniknie dopiero z okazji wkroczenia Sowietów i Polaków.

Gleiwitz, hotel Haus Oberschlesien przy Wilhelmstrasse (obecnie Urząd Miejski w Gliwicach), 1930–1936

Źródło: fotopolska.eu

Pocztówkę do Else wysłał Hans, dwudziestodwuletni elektromonter, syn Hajoków: robotnika Antona i Marie z domu Kozuschek. Hans pochodzi z sąsiedniej wioski, Richtersdorfu. Jego praszczurowie sprowadzili się ponoć do Ostropy z Moraw w XV wieku, szukając bezpiecznej przystani po zamęcie wojen husyckich. Taka wieść się niesie.

Jak Hans poznał Else? Na ten temat dzieje milczą.

Na pocztówce liścik krótki i pełen czułości. Chłopak pisze po niemiecku: „Przez cały tydzień byłem w Spröttchen przy pracy i dlatego nie otrzymałem od Ciebie poczty. Torturą jest dla mnie dopiero w sobotę móc czytać Twoje miłe listy. Dzisiaj nie mam czasu, żeby Tobie, *liebe Elsbeth*, napisać list. Jestem w najlepszym zdrowiu i mam nadzieję, że Ty, moja kochana, również. Pozdrawia Cię pozostający Ci wierny Twój Hans”. I jeszcze dopisek w rogu, do góry nogami: „List wyślę jutro. J.H.”.

Else i Hans jeszcze przez dwadzieścia cztery lata będą mogli nosić swoje imiona, aż zostaną im zabrane i przymusowo zmienione na Elżbieta i Jan, gdyż na Górnym Śląsku nie będzie już można nazywać się Elisabeth

i Johann. A pocztówkę z flagą Cesarstwa Niemieckiego moja babcia, a ich córka znajdzie blisko sto lat później w klamorach w naszym domu.

Po kilku latach w fabryce drutu, jesienią 1924 roku, Else jak zawsze przemierza szmat drogi, ale tym razem nie idzie do zakładu Hegenscheidta. Mija go i po paru minutach wchodzi na Gleiwitzer Bahnhof. Kupuje bilet i jedzie do Oppeln, gdzie rozpocznie naukę w Zakładzie Akuszerek, mieszczącym się w urokliwym zakątku starówki. Szkoła znana jest „lubieżnicom" z całej Rzeszy. Działacz plebiscytowy Paweł Dubiel w swoich wspomnieniach pisał o mieszczącej się w Opolu szkole dla położnych. Ponoć istniała tam długoletnia tradycja, że tak zwane panienki z lepszych rodzin, które oczekiwały nieślubnego potomstwa, przyjeżdżały tu z całych Niemiec, by urodzić w sekrecie.

Młoda Else Kieslich, ok. 1915
Źródło: archiwum rodzinne autora

Ostatnie kilka lat, gdy Else akurat wchodzi w dorosłość, jest czasem chaosu. Cesarstwo upadło, cesarz uciekł, w Gleiwitz co rusz wybuchają

strajki, dokonuje się zamachów, zamieszki są topione we krwi, do miasta wkraczają żołnierze francuscy, toczą się walki polsko-niemieckie, dochodzi do kilku powstań, oblężenia, plebiscytu, znany świat pęka na dwoje. Stają zakłady, wielu ludziom bieda zagląda w oczy, załamuje się marka, ludzie tracą oszczędności życia, pieniądz nie jest wart wiele więcej niż papier, na którym go drukowano, z innych części kraju dochodzą wieści o kolejnych puczach wojskowych, o rewolucji komunistycznej, której sukces w Niemczech wydaje się całkiem realny, nie jest pewne, czy nie odłączą się kolejne regiony, co nie byłoby dziwne, jeśli się pamięta, że przyłączyły się do Prus raptem dwa pokolenia temu.

Kilka miesięcy przed wyjazdem Else wszystko zaczyna się jednak powoli uspokajać i równie niepewne staje się dopiero w czterdziestym piątym. Jadąc do Oppeln, moja prababcia ma prawo spoglądać w przyszłość z optymizmem i roić o spokojnym życiu u boku Johanna. Jej wyjazd jest symboliczną cezurą dzielącą okres powojennych turbulencji Republiki Weimarskiej i *Goldene Zwanziger* – pięć tłustych, złotych lat dwudziestych, które będą trwały aż do kryzysu gospodarczego 1929 roku. Ale Else nic o kolejnym kryzysie nie wie, nie wie też, że Niemcy tak jak niemal wszystkie kraje leżące na wschód od Zachodu osuną się niebawem w dyktaturę, dlatego może myśleć, że najgorsze ma już za sobą. W opolskiej szkole na Tuchmarkt dziewczyna zostanie dwa lata, cierpliwość Hansa jest wystawiona na próbę.

Wyobrażam sobie ją w tym czasie jak wyjętą z kryminału o Eberhardzie Mocku czy serialu *Babylon Berlin*, ale wiem, że to nie tak. Oppeln jest stolicą weimarskiego Górnego Śląska, ale nie ma w sobie nic z wielkomiejskości Breslau czy Berlina. Ba: wiele brakuje mu nawet do Gleiwitz. To większe miasteczko, czterdzieści parę tysięcy dusz.

Wiosną 1926 roku Else kończy szkołę, a krótko potem „Gleiwitzer Nachrichten" donoszą, że we wsi Richtersdorf (rok przed jej włączeniem do Gleiwitz – Ostropę ten los spotka pół wieku później) pojawiła się *neue Hebamme*. Akuszerka to profesja dochodowa, lecz niełatwa. Poród bywa końcem, nie początkiem, w trakcie porodu umierają matki, umierają dzieci, niektóre natychmiast, inne w niemowlęctwie. Za kilkanaście lat taka tragedia spotka też Elisabeth i właśnie dzięki śmierci małej Uschi stanę się częścią jej rodziny.

Hans cierpliwie czeka. Latem 1926 roku Else bierze go sobie za męża. Fräulein Kieslich staje się Frau Hajok. Urban patrzy, jak dzieci wyfruwają

mu z gniazda: Elisabeth, Martin, Peter, Alois, Anna, Marie, Franz i Albina, co mu zupę do lasu nosiła. W składziku przy garażu w naszym domu, odkąd pamiętam, leży sporych rozmiarów ślubna fotografia Elisabeth i Johanna w dużej ramie. Są na niej tylko ich twarze. Mój pradziadek ma białą muchę i mały wąsik. Lata później nazywany będzie wąsem *à la* Hitler, teraz jest szalenie popularny. Wraz z upadkiem starego świata w zapomnienie odchodzi rozłożyste, podkręcane na końcach wąsisko *à la* kajzer, które na jedynym zachowanym zdjęciu zdobi twarz Urbana Kieslicha.

Na zdjęciu nowożeńcy się uśmiechają. Else dobrodusznie, ledwo zauważalnie, Hans nieco łobuzersko, półgębkiem. Nazwisko Hajok oznacza wszak pierona, awanturnika. Może ma to jakieś znaczenie. A może nie ma żadnego.

Zdjęcie ślubne Else i Hansa Hajoków, 1926
Źródło: archiwum rodzinne autora

Elisabeth zamieszkuje w wiosce Johanna, Richtersdorfie, późniejszej Wójtowej Wsi. Choć dla niej to żadne przenosiny. Jedna wioska płynnie przechodzi w drugą, do rodzinnego domu panna młoda ma parę minut. Wójtowa Wieś to położona nad rzeczką Ostropką ulicówka, która łączy Ostropę z centrum miasta, a gliwiczanie upodobali sobie wójtowskie kąpielisko i pola na miejsce zabaw, pikników oraz rekreacji. Nowożeńcy

wprowadzają się do domu przy Passonstrasse, dzisiejszej ulicy Wójtowskiej.

Mój najstarszy sąsiad z Wójtowej Wsi, dziewięćdziesięciolatek – woli nie podawać imienia, nazwijmy go Fryderyk – opowiada mi, że przed wojną mówiono tu czasem po śląsku, czasem po niemiecku. Msze w farze, którą dopiero co zbudowano na wzgórzu Hermanna, ksiądz odprawiał raz po niemiecku, raz po polsku. Prababki rzeczonego sąsiada, Konstantyna i Johanna, zupełnie nie potrafiły się ze sobą porozumieć, a było to jeszcze przed I wojną: Konstantyna mówiła tylko po śląsku, Johanna – tylko po niemiecku. A bardzo się lubiły. Gdy więc były same, uśmiechały się do siebie bezsilnie w milczeniu. Gdy zaś pojawiał się ktoś, kto znał oba języki, sadzały go i długo rozmawiały ze sobą przez tłumacza. Tak tu kiedyś było.

Lubię te nazwy – Wójtowa Wieś, ulica Wójtowska. To jedne z niezliczonych śląskich nazw kryjących w sobie tajemnice, w których znalazły schronienie słowa zakazane w Polsce Ludowej, niezrehabilitowane w Polsce demokratycznej. Według jednej z legend w XIII wieku rządził tu wójt Richter, który część swoich dóbr rozdał ośmiu uboższym gospodarzom. Tak miał narodzić się Richtersdorf – wieś Richtera.

Zagroda we wsi Richtersdorf, lata 30.
Fot. Paul Otto Schau / Śląska Biblioteka Cyfrowa

Wójt Richter został ocenzurowany natychmiast po II wojnie. Powojenna nazwa nawiązuje do niego, ale dyskretnie, jest ukryty, ale tuż pod powierzchnią, wspomniany, jednak niezupełnie. Ulice poniemieckiego Śląska roją się od zakonspirowanych wójtów, wójtów wyklętych, trucheł, które ledwo przysypano. Gdy w *Drachu* Szczepana Twardocha Josef Magnor, idąc z gliwickiego dworca, zbliżał się do mojego rodzinnego domu, coraz bardziej wstrzymywałem dech: Wilhelmstrasse, Ring, Teuchertstrasse, Ostropka i nagle… Gillnersdorf. A powinno być Richtersdorf. Piszę do autora. Odpowiada: „To głupi błąd – jeden z bohaterów pierwotnie nazywał się Richter, potem, o ile pamiętam, zmieniłem mu nazwisko na Gillner i zrobiłem to automatem w moim programie – i jak widać program zmienił również niemiecką nazwę Wójtowej Wsi”. Pomyślałem wtedy, że może nad wójtem Richterem wisi klątwa i mimo najlepszych chęci trzeba o nim milczeć.

15

Ślązacy po polskiej stronie muszą imać się różnych prac, szczególnie gdy w 1929 roku wybucha wielki kryzys. Jedni stają się biedaszybnikami, inni przemytnikami. Na Górnym Śląsku i wcześniej kwitł szmugiel, tyle że przed I wojną szmuglowano między Rosją, Austrią i Niemcami, a teraz rubież przesunęła się o dwadzieścia kilometrów. Jadę do serca obszaru przemysłowego zobaczyć, czy po szmuglu i dawnej granicy coś pozostało.

Z zabrzańskiego placu Wolności na tę niegdysiejszą granicę można dziś dojechać tramwajem numer jeden. Plac jest zdziadziały, niedawno zwinął się stąd nawet McDonald’s. Trudno dać wiarę, że po podziale to w tym miejscu miało powstać centrum megalopolis. Zabrze – wówczas Hindenburg (nazwane tak w 1915 roku, na cześć bohatera wojennego i późniejszego prezydenta Paula von Hindenburga) – dopiero debiutuje jako miasto. Prawa miejskie otrzymuje w 1922 roku, do tego czasu jest największą, liczącą przeszło pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, wsią Europy. Megalopolis ma być trójmiastem złożonym z Hindenburga, Beuthen i Gleiwitz, przeciwwagą dla części polskiej, ma ją rozłożyć na łopatki, przyćmić te wszystkie Siemianowice, Mysłowice, Katowice. Na głównej ulicy Gliwic do dziś stoi fontanna z trzema tańczącymi faunami, których bałem się jako dziecko. Według gliwickiej pamięci trzy stwory w zamyśle budowniczych symbolizowały trzech burmistrzów, którzy mieli stworzyć górnośląskie trójmiasto.

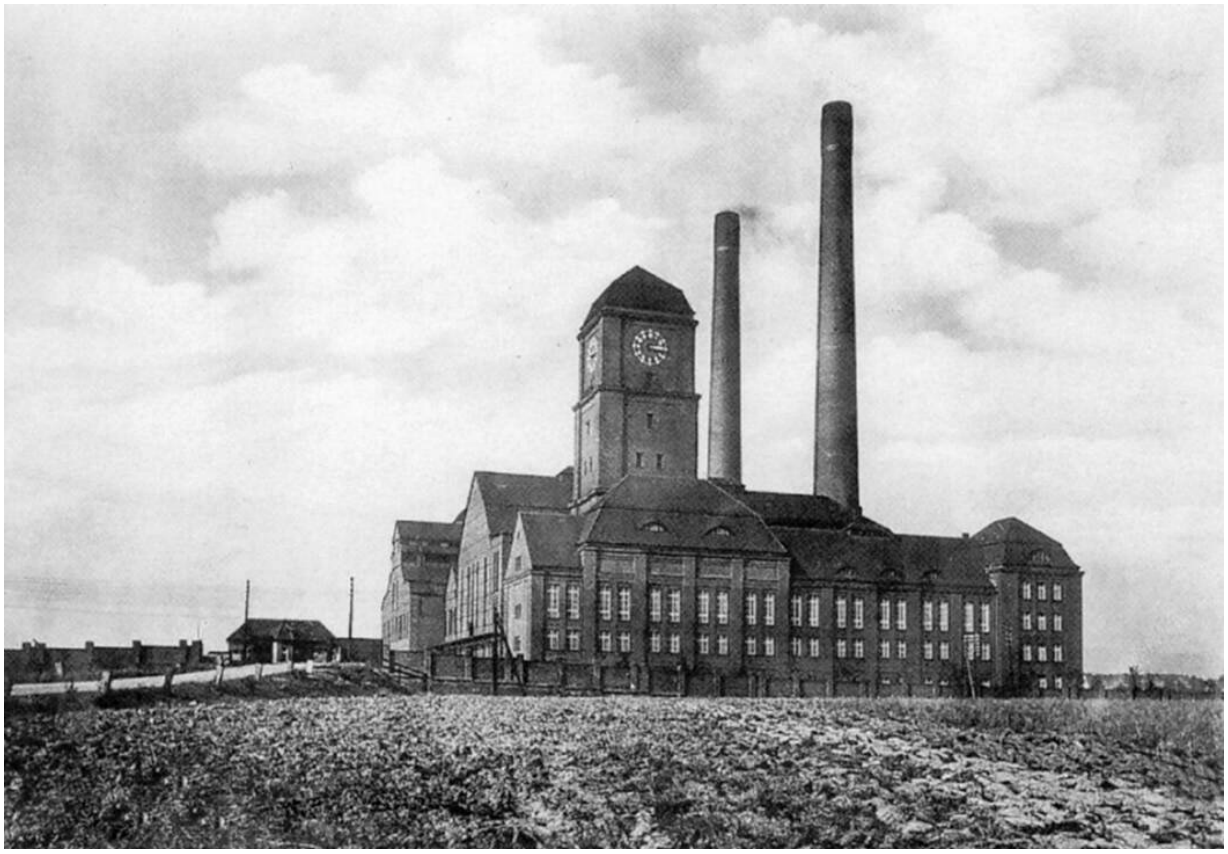

Elektrownia w Beuthen (obecnie Elektrociepłownia Szombierki), 1930–1935
Źródło: fotopolska.eu

Polacy starają się dotrzymać Niemcom kroku. I jedni, i drudzy dbają, aby ich części Górnego Śląska były wizytówkami ich państw. Sąsiedzi sięgają głęboko do kieszeni, inwestycje płyną szerokim strumieniem, przybywa mieszkańców, zjeżdżają się czołowi architekci, wznoszą wspaniałe budynki, choćby zabrzański Admiralspalast (dziś opuszczony), gliwicki Haus Oberschlesien (spalony przez Sowietów), katowickie Muzeum Śląskie (rozebrane przez nazistów).

Z tramwaju wysiadam w zabrzańskiej dzielnicy Zaborze i idę w stronę dzielnicy Pawłów, na granicę. Wchodzę w plątaninę zaniedbanych uliczek, tam stoi pustostan, jeden, drugi, tu i ówdzie odpada tynk, domy można obierać ze skorupki jak jajka. Przygnębiająco. Opowie mi o tym pochodzący stąd Zygmunt Holewa.

– Zaraz za Pszczyńską, nie wiem, czy pan tam wie. A szedł pan stamtąd. O, to tam było tak zwane czternoste, bo tam jest czternaście ulic, w kształcie podkowy. Smutne dziś takie, do wyburzenia – mówi godzinę po moim przyjeździe, już w pawłowskim domu w Polsce, gdy siedzimy we

trójkę z nim i jego żoną Klaudią. – I tam były sklepy: spożywcze, z materiałami, budowlane, rozmaite. Górnik z Polski mógł wydać marki, które zarobił na kopalni w Niemczech, a górnicy z Pawłowa chodzili pracować do niemieckiej kopalni, tu zaraz, kilometr za granicą.

Mijam czternaście ulic, na których kilkadziesiąt lat temu tętniło przygraniczne życie. Dochodzę do ostatniego budynku, widziałem go na przedwojennej fotografii. Mieścił się tu niemiecki dom celny. Dwa wejścia, jednym petent zapewne wchodził, drugim wychodził.

Bo domy celne pozostawały, choć dziś nie są już bastionami cywilizacji germańskiej i słowiańskiej, nie oddzielają Republiki Weimarskiej czy III Rzeszy od II Rzeczypospolitej. Są zabawnie zwykłe. W tych na dzisiejszej granicy Rudy Śląskiej i Zabrza mieszczą się Centrum Terapii Słuchu Słuchmed oraz żłobek Dzieciątka Jezus. W jednym z tych na granicy Bytomia i Piekar Śląskich – hurtownia motoryzacyjna z częściami nowymi i używanymi do mercedesów. Drugi, opuszczony, wystawiono na sprzedaż. A gdy z ojcem jeździliśmy czasem w stronę Rybnika, za każdym razem pokazywał mi z auta restaurację w Nieborowicach i powtarzał: „Tu kiedyś była granica”. Emocjonowałem się tym, bo czułem, że to wiedza tajemna, choć wiele lat nie wiedziałem, co ta granica rozdzielała.

Ale teraz idę z dawniej niemieckiego Zaborza do dawniej polskiego Pawłowa. Mijam poniemieckie domy celne i mam przed sobą dawny pas ziemi niczyjej, kilkaset metrów uwięzione kiedyś między szlabanem żółto--czarnym i biało-czerwonym. Mijam poniemieckie zabudowania i zastanawiam się, jak w Grodnie, Samborze czy Wilnie brzmiałoby w ustach Białorusinów, Ukraińców czy Litwinów słowo „popolskie”. Przez chwilę obracam to „popolskie” w ustach.

Idę dalej. Teraz cicha zabrzańska dwupasmówka. W połowie perli się niewielka rzeczka Czarniawka. To na niej oparto znaczną część międzywojennej granicy, Czarniawka była rzeką ekumeniczną, zasilaną uryną i brudami Ślązaków z obu jej brzegów. Według miejscowych wspomnień wśród wytyczających zabrzańską granicę miał być młody Charles de Gaulle. Do Zabrza wróci pół wieku później, już jako prezydent Francji, i wypowie słynne słowa: „Niech żyje Zabrze, najbardziej śląskie ze wszystkich śląskich miast, czyli najbardziej polskie ze wszystkich polskich miast”. Pomoże w ten sposób Władysławowi Gomułce w walce o powojenną granicę i zachowanie całego Górnego Śląska przy Polsce.

– Tu był biznes: szmugiel! – mówi Holewa. – Czarniawka jest tutaj szerokości dobrego skoku. Jak się rozpędzi człowiek dobrze, to przeskoczy. Z worami ludzie szli. Niektórzy nie chcieli pracować na kopalni, bo za ciężko, a szmugiel to robota łatwa, tylko trzeba mieć głowę.

Przechodzę Czarniawkę i dochodzę do polskich domów celnych. Idę dalej ulicą, kiedyś mówiło się na nią grentzówka. Dochodzę do budynku z wielkim orłem na elewacji. To tu przed wojną mieścił się posterunek policji, tutaj do aresztu trafiali przemytnicy, którzy przeżyli spotkanie z pogranicznikami.

– Znałem wielu tych, co tutaj szmuglowali – mówi pan Zygmunt. – Oni się tym przechwalali! Bo to był sukces coś przemycić. Ludzie przecież ginęli, strażnicy pilnowali granicy, niejednego kula dosięgnęła.

Nocami dają się słyszeć strzały, celnicy otwierają ogień do przemytników, ruszających się na wietrze krzaków, przemytnicy strzelają do siebie, czasem wybuchają małe bitwy. Jedni przemycają przez zieloną granicę, inni przez przejścia, jedni na własny użytek, inni zawodowo.

Granica tętni życiem. Na mocy konwencji międzynarodowej Ślązacy z niedawnego obszaru plebiscytowego mogą swobodnie ją przekraczać, odwiedzają się rozdzieleni krewni, chodzą do siebie na zabawy, wyprawiają wesela, a w ówczesnej katowickiej książce telefonicznej znajduję też numery do abonentów z Gleiwitz, Hindenburga i Beuthen. Górny Śląsk usiał się przeszło pięćdziesięcioma przejściami granicznymi – to ponaddwukrotnie więcej niż dziś w całej Polsce. W samym Zabrzu było ich siedem. Według danych z 1935 roku polską granicę zachodnią przekraczało każdego dnia około dwudziestu sześciu tysięcy ludzi, z czego blisko dziewięćdziesiąt procent na małym odcinku śląskim. Rocznie daje to ponad osiem milionów przejść tylko na Górnym Śląsku. Bliscy po drugiej stronie pomagali taniej kupić, drożej sprzedać, a tu każdy kogoś po drugiej stronie miał (Else miała na przykład w Rybniku siostrę Annę).

– W tym domu mnóstwo było niemieckich rzeczy ze szmuglu. Ja jeszcze po wojnie chowałem się na przemyconej sacharynie – opowiada Holewa. – Coś panu powiem. Tutaj w Pawłowie ze szmuglu powstało dużo domów. Bogacili się ludzie, gdzie indziej w Polsce była bieda, tu nie było. Albo na kopalni pracowali u Niemca, albo szmuglowali. Pawłów liczył ponad sześć tysięcy ludzi, dziś ledwo coś ponad dwa tysiące. Wybudowano mocarny kościół, proszę mi pokazać, gdzie taki drugi w okolicy? No, widział pan?

16

W 1933 roku do władzy dochodzi Adolf Hitler. Gestapo lokuje się w dawnych koszarach przy Teuchertstrasse, ulicy łączącej gliwicką starówkę z Wójtową Wsią. W moich czasach nastoletnich koszary te będą częściowo opuszczone i z przyjaciółmi będziemy spędzać tam wiele wakacyjnych dni. Hitler otrzymuje honorowe obywatelstwo Gleiwitz, ale nie przyjeżdża go odebrać, choć mógłby się tu dostać choćby samolotem – niedawno wybudowano lotnisko (przez chwilę miało nawet bezpośrednie połączenie z Konstantynopolem). W Ostropie zamykają polską szkołę, zresztą z biegiem lat rodzice coraz rzadziej wysyłali do niej swoje dzieci. Na całym Górnym Śląsku zostaje tylko kilka polskich szkół mniejszościowych.

Niemcy, podobnie jak dekadę wcześniej, wychodzą z kryzysu gospodarczego szybciej niż Polacy. Nie tylko cieszą się opieką socjalną, niskim bezrobociem i zakładami pracującymi pełną parą – wręcz brakuje im rąk do pracy. Już w 1934 roku zaczyna się masowa migracja zarobkowa Ślązaków z części polskiej do niemieckiej. Pracując, niemczeją.

– Aby dostać zgodę na wyjazd do pracy w hucie czy kopalni, należało otrzymać zaświadczenie o swojej dobrej niemieckiej postawie od jednej z niemieckich organizacji działających w województwie śląskim, a następnie udać się z nim do niemieckiego konsulatu. Po uzyskaniu zgody można było jechać – tłumaczy mi Ryszard Kaczmarek. – Gdy człowiek przyjeżdżał do Niemiec, musiał mówić, że jest Niemcem, nie mógł rozmawiać po polsku. Ludzie sami się na to decydowali, nikt ich do wyjazdów nie przymuszał.

Historyk wyjaśnia, że konsekwencje wyjazdu zarobkowego sięgały jeszcze dalej. Konsulaty niemieckie były doskonale poinformowane, więc nie dało się jednocześnie w Niemczech udawać Niemca, a w Polsce posyłać dziecko do polskiej szkoły. Bajtel musiał iść do niemieckiej szkoły mniejszościowej, jeśli taka się w okolicy znajdowała. Nie wszystko to było zresztą sterowane odgórnie, wśród przemysłowców panowało przekonanie, że skoro Polacy chcieli polskiego Śląska, powinni tam pracować, a jeśli chcą pracować tu, powinni być Niemcami.

Sukcesy niemieckiej części Górnego Śląska kontrastują z porażkami części polskiej. Poziom życia po stronie zachodniej jest odczuwalnie wyższy. Od dawna wspomina się, jak dobrze było „za Wilusia”. Teraz niektórzy mówią, że „przyjdzie Hitler i zrobi porządek”. Nieustannie rośnie w siłę mit Niemiec jako kraju dobrze zarządzanego, stabilnego.

– Młode pokolenie Ślązaków z polskiej strony było uwiedzione Niemcami: autostrady, praca. Do niemieckich organizacji młodzieżowych ciągnęli na dużą skalę – mówi Piotr Greiner z Archiwum Państwowego w Katowicach. – Gdyby plebiscyt po kilkunastu latach odbył się ponownie, Polska przegrałaby z kretesem. Czas działał na korzyść Niemców. Cóż Polacy mogli więcej obiecać?

Ryszard Kaczmarek tłumaczy mi, że często zapomina się, że Niemcy nie okupowali Górnego Śląska, to była część ich kraju. Według niego nie było niczego dziwnego w rozpuszczaniu się w niemieckości, mogła dziwić raczej tolerancja po obydwu stronach, przejawiająca się na przykład w utrzymaniu szkół mniejszościowych.

– Pokutuje przekonanie, że na niemieckim Górnym Śląsku w międzywojniu masowo oczekiwano na przyłączenie do Polski – mówi Kaczmarek. – To się już stało w 1922 roku i nikt z trzeźwo myślących Górnoślązaków nie chciał rozgrzebywać tego konfliktu od nowa.

Z biegiem lat mieszkający po jednej i drugiej stronie będą się od siebie oddalać. Gdy w 1939 roku na powrót spotkają się w jednym państwie, okaże się, że dużo ich dzieli. Wśród Ślązaków po niemieckiej stronie zmiany zachodzą błyskawicznie. Przez cały wiek XIX i na początku XX szybko spada liczba osób „polskojęzycznych” na Górnym Śląsku, po 1922 roku proces ten przyśpiesza jeszcze bardziej. W wielu śląskich rodzinach przebiega to tak: pokolenie Urbana – zna śląski, gorzej zna niemiecki; pokolenie Else i Hansa – zna i niemiecki, i śląski; pokolenie ich dzieci – zna niemiecki, często nie zna śląskiego. Else i Hans piszą i czytają po niemiecku, literackim polskim się nie posługują, w domu rozmawiają po śląsku, coraz bardziej naszpikowanym germanizmami, a w razie potrzeby płynnie przechodzą na niemczyznę. Wnuki powstańca śląskiego idą do niemieckiej szkoły. Tempo przechodzenia z jednego języka na drugi jest porównywalne do sytuacji emigrantów – tyle że moi przodkowie, osiadli koczownicy, donikąd nie migrowali.

Rozziew trwa do dziś. Jego namacalnym przejawem jest podział na dwa województwa: opolskie i śląskie. Zbigniew Kadłubek w *Eseju o rozłące* napisze: „Rozcięcie organizmu wpłynęło na życie Górnoślązaków. To chcę wyraźnie powiedzieć: na ich losy, wybory życiowe, ich psychiczne zdrowie, spełnianie człowieczeństwa. Duchowe skarlenie górnośląskie ma korzenie w tamtym czasie. Toksyny nienawiści działały nie tylko na tamtych Górnoślązaków, żyjących prawie sto lat temu, lecz na następne pokolenia. Żałoba, trauma, smutek rozlały się na kilka pokoleń. Rozgoryczenie, nieufność, wstydzenie się języka (swoiste śląskie zamilknięcie) przeniknęły głęboko do pokoleń późniejszych. Zatruły ich serca”[18].

Podział sprawia, że na zawsze zmieni się znaczenie słowa „Śląsk”. Jako jednolity organizm Śląsk znika w średniowieczu, gdy rozpada się na Dolny i Górny, nigdy się już nie scali. Górny Śląsk, którego historycznymi stolicami są Opole i Racibórz, będzie funkcjonował w jednym państwie aż do wojen prusko-austriackich. W 1742 roku Prusacy zabierają Wiedniowi niemal cały region – z pominięciem okolic Cieszyna i Opawy. Później również ów poaustriacki Śląsk podzielą między siebie Warszawa i Praga i do dziś jest on podzielony.

Podział w 1922 roku rozpoczyna wojnę propagandową Berlina i Warszawy. Polacy, choć posiadają zaledwie skrawek historycznego Śląska, w latach dwudziestych i trzydziestych stawiają znak równości między nim i województwem katowickim. Pojawiają się Sejm Śląski, policja śląska i województwo śląskie. W międzywojniu rodzi się też pojęcie Śląska Opolskiego (później Opolszczyzny). Polacy zaczynają tak określać rejencję opolską, czyli niemiecką część regionu. Polska terminologia jest rewizjonistyczna. To tak jakby obecnie w Polsce przymiotnik „małopolski” zastąpić „galicyjskim” – ignorując fakt, że Galicja to też Lwów i kawał Ukrainy.

Po dziś dzień pokutuje błędne utożsamianie przemysłowej części województwa śląskiego (wraz z nieśląskim Zagłębiem) z pojęciem „Śląsk” – choć Śląsk przemysłowy to raptem kilka procent powierzchni Śląska historycznego, który obejmuje ziemie od Ostrawy po Zgorzelec.

17

Zachowało się kilkanaście zdjęć sprzed wybuchu wojny, na których jest Johann, i kilkanaście, na których jest Elisabeth – trochę więcej z nim niż z nią. Fotografie inwentaryzują mi przodków, potwierdzają ich istnienie i nadają im kształty. Uwzniośla je fakt, że są nadgryzione zębem czasu, dość sfatygowane. To pierwsze pokolenie, które nie fotografuje się wyłącznie w zakładach fotograficznych, ma swoje aparaty, dzięki czemu pozwala sobie czasem na spontaniczność, przemyca trochę siebie. Ale większość zdjęć i tak jest pozowana, bohaterowie ugładzeni. Fotografia to wciąż wydarzenie, katalog tolerowanych na niej uczuć okazuje się ubogi, nie znajdę Hajoków, Kieslichów czy Krauthakelów smutnych, znudzonych bądź zrozpaczonych. Jakby odczuwali tylko dumę lub radość. Gdyby chcieć rekonstruować życie moich przodków z tych fotografii, należałoby przyjąć, że większość czasu spędzali, biorąc śluby, trzymając na rękach małe dzieci, prężąc się w dużym rodzinnym gronie. Jakby zajmowali się wyłącznie tworzeniem historii i było to tak angażujące, że nie starczało im czasu na zwyczajne istnienie.

Najbardziej jednak drażnią mnie dziesiątki zdjęć z domowych szuflad, których bohaterów nie potrafię rozpoznać. Dwóch dystyngowanych jegomości opierających się o skałę na tle gór, na rewersie informacja, że zdjęcie wykonano w szwajcarskiej miejscowości Pontresina w lipcu 1930 roku. Przewijająca się przez kilka fotografii młoda dziewczyna podpisana jako F. Friedrich. Mały chłopiec w atelier ustawiony na tle imitującym mieszczańską rezydencję podpisany jako Erwin Hirsch. Niczego więcej o nich nie wiem. Dla Hansa i Else te zdjęcia musiały stanowić jakąś wartość, skoro przy kolejnych przeprowadzkach zabierali je ze sobą, przetrwały też rzeczocyd w 1945 roku. Ja muszę zadowolić się ich posiadaniem. Puzzlami z nieistniejącego świata, które w jakiś sposób pasują do mojej rodzinnej układanki, ale na których dołożenie w odpowiednie miejsce nie mam już nadziei.

Johann pracuje w Siemensie przy wysokich napięciach. Else nadal dostaje od niego listy i fotografie z delegacji. Zachowały się trzy takie zdjęcia. Na jednym z nich pradziadek stoi w plątaninie rur przy sporym

kotle z napisem *Heizungsanlage*, co znaczy „instalacja grzewcza”. Obok niego pręży się trzech robotników. Bezimienni arbeiterzy są umorusani smarem, ale Johann nie. Góruje nad nimi. Na głowie ma leninówkę, fakt, ale nikogo nie powinno to zmylić. Włożył białą koszulę i ciemną kamizelkę. W jednej dłoni trzyma cygaretę, w drugiej kurek od kotła i to ma zapewne sugerować, że panuje nad maszyną. Pod nosem mimo upływu lat wciąż ten sam skąpo przystrzyżony wąsik. To zdjęcie jest dla mnie wyjątkowe ze względu na krótką notatkę na odwrocie*: Kleinert Geburtstag 14 April. Achtung*. Kleinert to odmężowskie nazwisko siostry Johanna Hedwigi. Else zapisuje sobie tę datę, by nie zapomnieć o urodzinach szwagierki. Po Hedwig zostanie mi album, w którym skompletowała zdjęcia przedwojennych niemieckich gwiazd, prawdopodobnie z roku 1932 czy 1933, z przedednia katastrofy.

Ów odręczny geburstag to mały błysk życia w morzu pozowanych fotografii – taki jak na innym zdjęciu mojej prababci, gdzie na odwrocie zanotowała „3,70 M, Frau Kraus”. Ale co to oznacza i kim była Frau Kraus?

Elektromonter Johann przemierza Rzeszę niczym Prometeusz, niosąc jej światło i ciepło, ale któregoś razu dochodzi do nieszczęścia. Prąd razi go tak mocno, że echo tego wydarzenia niesie się do dzisiaj. Gdyby wówczas nie uległ wypadkowi, być może żyłby dłużej, a swastyka, którą znajdę lata później, znaczyłaby coś innego. Gdyby nie uległ wypadkowi, moja tożsamość konstruowałaby się inaczej, może śląskość nie byłaby w niej aż tak istotna, może jeden Urban ze swoją powstańczą wartą w lesie nie udźwignąłby całego mnie i byłbym sobie spokojnie Polakiem. Gdyby tego dnia setki woltów nie przeszły przez ciało Johanna Hajoka, ja nigdy nie stałbym się częścią tej rodziny i nigdy nie dowiedziałbym się, że istnieli Josef Krauthakel, Urban Kieslich, Hans i Else Hajokowie.

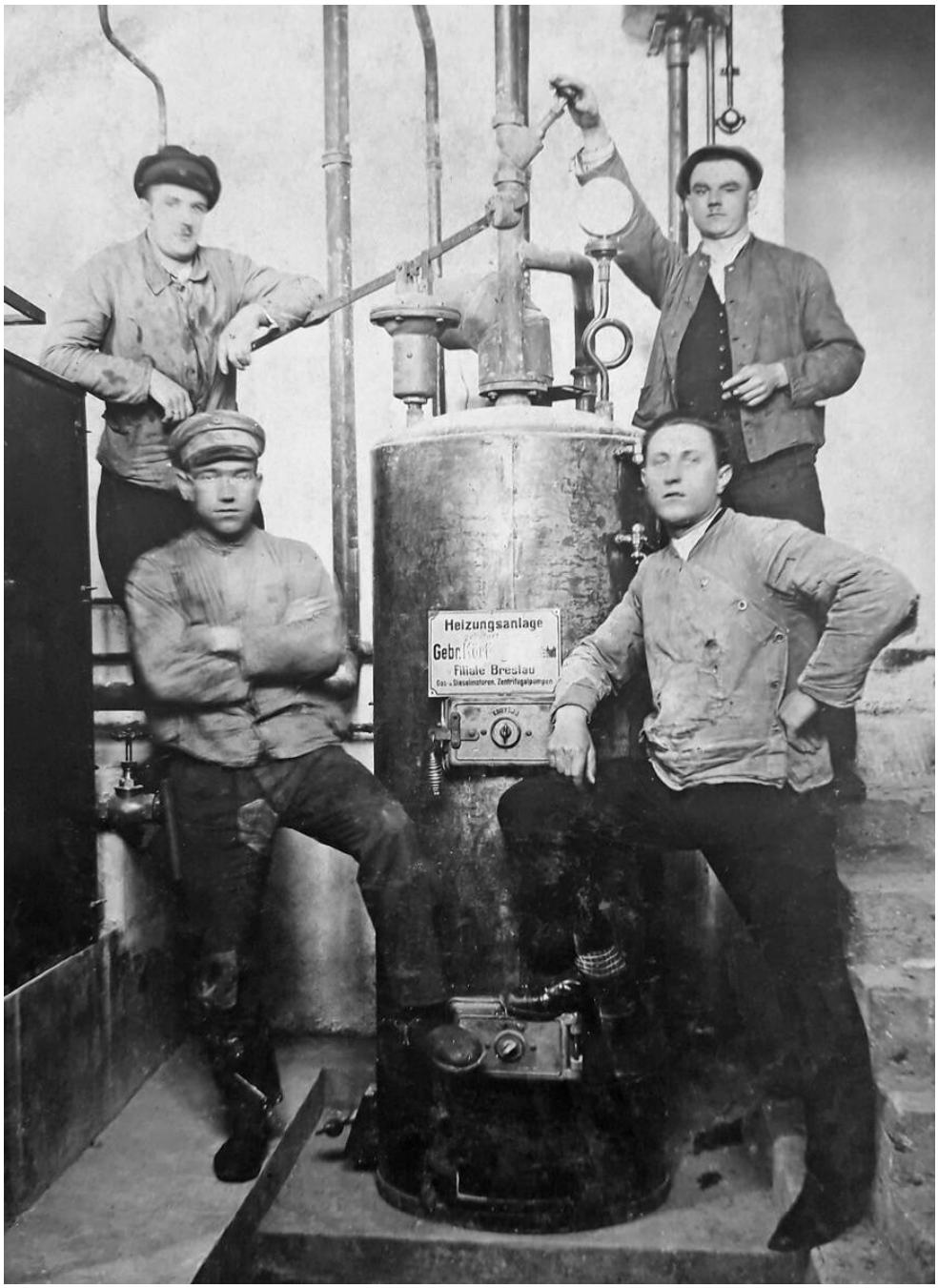

Pradziadek Johann Hajok (na górze po prawej) w pracy, lata 30.
Źródło: archiwum rodzinne autora

Historia Johanna i moja potoczyłyby się też inaczej, gdyby w Białoruskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej Iwan Afanasjewicz Rudenko – do niedawna mały Wania – nie zaczął swojej przygody w szeregach Armii Czerwonej. Zegar odmierzający lata do spotkania Johanna i Iwana już tyka.

W tym czasie Else, która jeszcze niedawno drażniła majstra swoim śpiewem, od kilku lat jest położną. W międzywojennej książce telefonicznej nie znajdę ani Urbana, ani Johanna, a Elisabeth owszem. Do położnej trzeba móc się dodzwonić. Należało podnieść słuchawkę z widełek, poczekać na zgłoszenie centrali, wykręcić numer 3197, uważać, aby przy nakręcaniu tarczy palec doszedł każdorazowo do języczka oporowego, a następnie palec wyjąć. Wówczas, po uzyskaniu połączenia, można było poprosić moją prababcię do porodu.

Zadziorna kobieta wsiada na rower zwany tutaj kołem i jeździ po domach, w których kobiety są przy nadziei. Ojca to bulwersuje. Jedyne wypowiedziane przez Urbana Kieslicha zdanie, które przetrwa do moich czasów, będzie dotyczyło cyklistek: „A żeby dupy tym babom powykręcało!”. Później nie będzie mu też w smak, gdy córka przerzuci się na automobil – do czasu, gdy zabierze go na przejażdżkę. Wtedy stary Urban mało co nie pęknie z dumy.

Else jest obrotna, dorobi się dwóch samochodów. Jeden z nich to ford köln, piękny błękitny pojazd opisany w zachowanych papierach jako *cabriolimusine*. Przetrwało też jej prawo jazdy z 1936 roku, opatrzone nazistowską swastyką.

We własnym domu najtrudniej znajduje się pierwszą swastykę. Kolejne szokują już mniej, aż w końcu człowiek obojętnieje. W rodzinnych szpargałach naliczyłem ich dwadzieścia dziewięć. Niewykluczone, że wpadną mi w ręce kolejne – ostatnią znalazłem już podczas pisania książki, gdy okazało się, że zabłąkana zaśniedziała moneta w babcinej kuchni, leżąca od dawna gdzieś pod meblościanką, to pięć fenigów z 1941 roku. U sąsiadów jest tak samo. Swastyka hańbi zaświadczenia, dokument potwierdzający nabycie działki budowlanej, akt własności domu, świadectwa. Przez kilkanaście lat wszystkie najważniejsze glejty były znaczone w ten sposób.

Naziści zacierają ślady przeszłości, tworzą nową Rzeszę. Urban pamięta, że raptem piętnaście lat wcześniej powstańcy zmienili na tablicy drogowej nazwę z niemieckiej na polską, z „Ostroppa” na „Ostropa” (może on sam skreślał drażniące „p”?). Teraz, w 1936 roku, nazwa znowu się zmienia, musi brzmieć jeszcze bardziej niemiecko, od teraz Ostropa to Stroppendorf. Podobny los spotyka okoliczne wioski: Deutsch Zernitz zmienia się w Haselgrund, Pilchowitz w Bilchengrund, Koslow w Lindenhain. Niezliczone miejscowości, wsie, dzielnice otrzymują nowe nazwy, powoli

znikają polskie napisy na kapliczkach, nagrobkach. Historyk Karol Fiedor napisze: „Trzecia Rzesza nie tylko przejęła wszystkie metody germanizacyjne z dawnych lat, lecz doprowadziła je do perfekcji. W ciągu zaledwie kilku lat rządów narodowych socjalistów zdołano dokonać więcej niż na przestrzeni kilkudziesięciu Niemiec kajzerowskich i republiki weimarskiej”[19]. Bo Górny Śląsk ma być w pełni niemiecki.

Widokówka z niemieckiej Ostroppy tuż przed przemianowaniem na Stroppendorf, pierwsza połowa lat 30.

Źródło: fotopolska.eu

Pytam Ryszarda Kaczmarka, co w państwie Hitlera groziło za pielęgnowanie polskości.

– Dla zwykłego Ślązaka niewiele się zmieniało, Republika Weimarska nie prześladowała za bycie Polakiem i podobnie naziści do wybuchu wojny nie zamykali za to w obozach, prawnie nie zabroniono kultywowania polskości. Ludzie wiedzieli, że jest to źle widziane przez władze, każdy znał prawdopodobnie kogoś represjonowanego, widział, co się dzieje na ulicy, a ta świadomość prowadziła do autocenzury, lecz samo mówienie po

polsku niemal do wybuchu wojny nie wiązało się ze szczególnie dotkliwymi konsekwencjami – tłumaczy historyk. – Niezaangażowanym Ślązakom w najgorszym razie ktoś mógł uderzyć dziecko w szkole za mówienie po polsku, nie mówię o brutalnym pobiciu. Z naszego punktu widzenia to dużo, ale nie z perspektywy ludzi chodzących do szkoły na przełomie wieków, gdzie bicie było metodą wychowawczą – mówi.

Kaczmarek podkreśla, że inaczej odczuwały to osoby silnie związane z polskością, te czuły się represjonowane. Język polski i utożsamiany z nim śląski pomału rugowano z przestrzeni publicznej. Charakterystyczna jest sytuacja opisana przez gliwickiego Niemca, urodzonego w 1930 roku Horsta Bienka, najwybitniejszego miejscowego pisarza. W *Pierwszej polce* – pierwszej części tetralogii gliwickiej, w której sportretował miasto swego dzieciństwa, napisał: „Instytucje partyjne i rządowe nalegały od pewnego czasu na zniemczanie nazwisk słowiańskiego pochodzenia i polskiej pisowni. Blokowy Gregor (przedtem Grzegorczyk) z Teuchertstrasse chodził od mieszkania do mieszkania i proponował zmiany nazwisk. Strzelczykowie spod pierwszego przy Strachwitzstrasse, którzy się wzbraniali, znaleźli pewnego ranka pod oknami wychodzącymi na ożywioną ulicę wypisane wielkimi, niezgrabnymi literami słowo *Polack*. Starli je. W kilka dni później namalowano im żółtą farbą na ścianie domu żydowską gwiazdę. Wówczas Alfons Strzelczyk poszedł jeszcze tego samego dnia do urzędu stanu cywilnego i kazał zmienić nazwisko na Strehler. Dom musiał pomalować na nowo na własny koszt”[20]. Opisany dom Alfonsa Strzelczyka od mojego rodzinnego domu dzieli kilka minut spaceru. Pod tym adresem stoi dziś szpital, w którym jako położna pracowała córka Else i w którym ja przyszedłem na świat.

O tym czasie dużo mówi fotografia, którą niedawno otrzymałem od cioci z Niemiec – wnuczki Johanna i Elisabeth. Podejrzewam, że została wykonana w 1938 roku, a jeśli mam rację, to biorąc pod uwagę lekki ubiór pozujących, ukazana scena rozegrała się między zagarnięciem przez Hitlera Austrii w marcu a aneksją części Czechosłowacji w październiku.
Na zdjęciu widać rodzinę stojącą na podwórku. W środku dwójka dzieci państwa Hajoków: jedenastoletni Reinhold, rocznik 1927, i jego o rok młodsza siostra Lieselotte. Else i Hans stoją w środku, Else wyższa i tęższa od Hansa. Hans ubrany szykownie, muszka, koszula, kamizelka, marynarka. Else również elegancko i co ważne – po miastowemu, a nie po chłopsku, jak do końca życia nosić będą się ich matki, szczególnie po

stronie ulicy z numerami nieparzystymi, po której za domami do dziś są pola.

Rodzina Else i Hansa Hajoków, ok. 1938
Źródło: archiwum rodzinne autora

Fotografia pokazuje, jaki powinien być świat. *Ordnung muss sein*. Matka trzyma dłoń na ramieniu córki, ojciec na ramieniu syna. Wszystko ma swoje miejsce, dorośli jak zawsze nie zdradzają oznak człowieczeństwa, są godni i poważni, ale dzieci już nie: Reinhold chichra się do obiektywu, po Lieselotte widać zawstydzenie. To dobrze, dzięki nim na zdjęciu jest życie. Gdy przeszło osiemdziesiąt lat później otrzymuję je od córki nieżyjącego od kilkudziesięciu lat Reinholda, próbuję ustalić, gdzie zostało wykonane. Jest mi to potrzebne, gdyż gniewam się na moich przodków, że zdjęcia tak często robią w miejscach, których nie znam – ściana anonimowego budynku, kilka nic niemówiących drzew. Utrudnia mi to poczucie, że historia mojej rodziny to ciągłość, w której też uczestniczę, że nie rozgrywała się na innej planecie. Z kolejnych roczników gliwickiej *Adressbuch* odtwarzam, w których budynkach żyli Hans i Else, chodzę po Wójtowej Wsi, oglądam nie swoje podwórka, aż w końcu znajduję.

Mieszkanie na piętrze, Passonstrasse 92, główna ulica tej dzielnicy, przy której przeszło pół wieku później ja rozpocznę swoje życie. Upewniam się, że to ten sam mur, przy którym prężą się na zdjęciu, liczę cegły, zgadzają się co do jednej. Stoję i długo patrzę na miejsce, w którym Hans, Else, Reinhold i Lieselotte stali i patrzyli w obiektyw w przededniu wojny. Potrzebuję tego.

Trzy miesiące później Urban Kieslich przestaje opłacać składki członkowskie w Związku Polaków w Niemczech, najważniejszej tamtejszej polskiej organizacji. To właśnie na jego legitymacji widnieje jedyne zachowane zdjęcie prapradziadka. Urban wstępuje do niej już w 1925 roku. Zachował się też „kwitarjusz opłat” za rok 1939, a w nim informacja o opłaconych daninach za styczeń i luty. Więcej naklejek z rodłem nie ma. Być może Urban uznaje, że ryzyko jest już zbyt duże. Wojna wisi w powietrzu, niebawem zaczną się aresztowania członków Związku, wielu zginie w obozach. Członkostwo jest wyrazistą deklaracją polityczną, demonstracją opozycyjności w totalitarnym państwie, a opozycjonistom w totalitarnym państwie odbiera się życie. Związek Polaków w Niemczech to awangarda nieprzerwanie słabnącej mniejszości polskiej. Urban wciąż będzie czekał, aż Polska przejdzie te kilka kilometrów, które dzielą ją od Kirchstrasse. Do dziś w Ostropie zachowała się pamięć o starym powstańcu, który czekał na Polskę, i o tym, czym się to skończyło. Znajomy historyk opowiadał mi kiedyś nad kuflem piwa, że słyszał od teścia opowieść o Kieslichu, nazywanym tu ponoć dawniej królem Ostropy.

Nie wiem, jak układają się w tym czasie relacje Urbana z zięciem Johannem. Nie wiem, czy ze sobą rozmawiają, czy się tolerują, czy się siebie boją. Nie wiem też, czy poglądy małżonka odbijają się na relacjach Else z rodzicami. W rodzinnej pamięci na ten temat zachowało się tylko tyle, że Hans miał bardziej niż Else „niemieckie poglądy”. Niczego więcej nie wiedziałem. Jedno ze zdjęć znałem dobrze, choć nie wiem nawet, kiedy zostało zrobione. Prawdopodobnie około 1939 roku. Podczas pisania książki zatrzymałem się na nim nieco dłużej. W pewnym momencie na rękawie pradziadka zauważyłem coś, czego wcześniej nie dostrzegałem.

Dzień jest uroczysty, obecni odświętnie ubrani, pewnie to raut, jakaś rocznica zakładowa. Fotograf, który sądząc po informacji z odwrotu, reprezentuje gliwickie atelier Kaiser Drogerie, ustawił się kilkanaście metrów od zebranych, dzieli ich ścieżka pokryta kałużami, padało, ale deszcz, zdaje się, już ustał. W obiektyw spogląda pięćdziesięciu trzech

mężczyzn i trzy kobiety. Zbili się w ciasną gromadę i słusznie, bo dwie postaci po bokach są już rozmazane. Stoją przed urokliwym budynkiem, ozdobionym girlandami kwiatów i obowiązującą flagą. O tym, co to za miejsce, można się dowiedzieć z niewielkiej tablicy: Siemens Bau Union Gleiwitz. W pierwszym rzędzie stoi Johann Hajok. Mój pradziadek na ramieniu ma opaskę ze swastyką. Na zdjęciu jedni mają takie opaski, inni nie. On ma. Historycy mówią mi, że taki gest mógł być, choć nie musiał, deklaracją ideową. I tyle. Nic więcej nie wiem. Z tym mnie zostawił. Gdyby było coś więcej, okoliczności, szczegóły, mogłoby być łatwiej: może tak wypadało, może niewiele za tym stało. Ale gdy nie wie się nic ponad to, co widać, przodek zamiera w pół kroku między rodzinnymi wspomnieniami a historią polityczną XX wieku, jego motywacje pochłania kontekst, kontekst staje się ważniejszy od człowieka, a kontekstem opaski ze swastyką są nazizm, III Rzesza i Adolf Hitler. Bo choć Hans był majstrem z Wójtowej Wsi i nie parał się zbrodniami wojennymi, to nosił ten nazistowski symbol, w przeciwieństwie do sierpa i młota nigdy nieoswojony, i ten fakt pochłania w mojej pamięci znaczną część tych paru ułamków pradziadka, które mam, sprawia, że pradziadek aż do momentu, gdy czas pochłonie to zdjęcie, musi symbolizować, konotować i personifikować, zamiast spokojnie odpoczywać w zaciszu domowych albumów. Zamiast być zapamiętanym wyłącznie jako absztyfikant ślący listy miłosne do Else śpiewającej przy łączeniu ogniw.

18

W lecie 1939 roku czuć już prochem. W książce *W stronę wojny. Gliwice 1939* wyczytuję, że co zamożniejsi gliwiczanie najchętniej zażywają odpoczynku nad Bałtykiem, w Kotlinie Kłodzkiej oraz w miejscach, które dopiero co anektował im Führer: w austriackich Alpach, nad Dunajem czy w czechosłowackich Karkonoszach. Wśród kierunków zagranicznych królują Włochy oraz Jugosławia. Im bliżej jesieni, tym oczywistsze staje się, że wojna nadejdzie niebawem. Odbywają się ćwiczenia z obrony przeciwlotniczej, zaciemnienia, na ulicach co rusz widać żołnierzy, pojawiają się kartki na żywność, paliwo.

Nam się powodzi. W dowód wdzięczności za przyjęty poród szczęśliwi rodzice ofiarowują Halżbiecie, bo tak mówi się na nią po śląsku, rozmaite przedmioty. Niektórzy zdejmą ze ścian obrazy. Ten z mężczyzną, który przychodzi w zaloty (mówiło się u nas, że to Napoleon, ale to nie Napoleon), do dziś wisi u babci w pokoju paradnym. Kolejny, ten z łabędziami – to ulubiony malunek babci – ujek Krystian zabrał po śmierci Elisabeth. Od niedawna znów jest u nas. Jeszcze leży w chlewiku, ale babcia chce go wnet powiesić.

Gliwicka prasa donosi, że szykujący się do agresji na Rzeszę Polacy przygotowują już tabliczki z polskimi nazwami: Gliwice, Zabrze, Wrocław, Opole. Nikomu z rozsiewających pogłoski nie przyjdzie do głowy, że za sześć lat takie tabliczki rzeczywiście zostaną wbite (Piotr Greiner powie mi: „W międzywojniu tworzone przez obie strony propagandowe mapy były w normalnym obiegu: Polska chciała Górnego Śląska, a Niemcy granicy z 1914 roku. Najdalej posuwał się ONR – ten domagał się granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej wraz z Łużycami”).

Else i Hans chcą w końcu iść na swoje. Jakiś czas temu od Johanna i Marii Kuwaczków kupili ładną działkę w Richtersdorfie, a transakcję zatwierdził notariusz Curt Huschke. Pole bauera Kuwaczki (jego dom naprzeciwko naszego wciąż stoi, ale opuszczony, niszczeje, odkąd pamiętam. Kuwaczkowie pojechali do Niemiec, poumierali) zmienia się w dom przy Passonstrasse 18. Johann buduje parter i dwa piętra, jest ogród, z tyłu z Ostropy płynie rzeczka Ostropka.

W moich szufladach piętrzą się druczki i rachunki opowiadające w żołnierskich słowach o początkach domu: zakupie cementu czy ubezpieczeniach. Ja wiem to, czego Hans i Else wówczas wiedzieć nie mogą, i dlatego zabawnie wygląda ich ubezpieczenie od wypadków i utraty mienia, które w imieniu firmy Gothaer Feuer gwarantuje od 1 grudnia 1938 do 1 grudnia 1948 roku dyrektor Kleiner. Mimo najlepszych chęci dyrektor Kleiner może, prawdę powiedziawszy, gówno moim pradziadkom zagwarantować. Dyrektor Kleiner wobec tego wszystkiego, co wydarzy się tu do 1 grudnia 1948 roku, jest zupełnie bezradny. 1 grudnia 1948 roku nie będzie tu ani wioski Richtersdorf, ani Passonstrasse, ani takich ludzi jak Johann i Elisabeth, a dyrektor Kleiner nie powstrzyma Armii Czerwonej.

Jest jeszcze tylko jedna osoba, która coś może mi powiedzieć o powstaniu mojego domu.

– Wcześniej rosła tam łąka, na niej pasły się konie – opowiada mi dziewięćdziesięcioletni sąsiad, nazwijmy go Fryderyk. – Babcia mówiła mi, że jak są konie, to będą pieczarki. I tak, na tym nawozie rosły duże pieczarki. Zbierał je gospodarz. Gdy później kopano fundamenty pod dom, nie pozwalano mi tam chodzić, żebym nie wpadł do dołu, ale gdy już powstała konstrukcja, poszliśmy z kolegami. Surowe ściany, budowa. Weszliśmy po drabinie na pierwsze piętro. Na drugie bałem się już wdrapać. Czasem przychodził tam pan Hajok – opowiada.

Na pytanie, czy pamięta mojego pradziadka Johanna Hajoka, pan Fryderyk zamyśla się, chwilę milczy, w końcu odpowiada: „Nic więcej nie pamiętam”. Tylko to, że pan Hajok przychodził czasem na budowę.

Jest mi smutno. To ostatnia nić łącząca mnie z tamtym światem. Ostatnia osoba, która nie przekazuje o tym świecie czyichś opowieści, ale opowiada sama. Najpewniej ostatnia osoba, która mogłaby coś mi powiedzieć o moim pradziadku Hansie. I ta ostatnia osoba zostawia mnie ze zdaniem: „Czasem przychodził tam pan Hajok”. Słysząc to, czuję rozczarowanie, że już nigdy niczego o moim pradziadku się nie dowiem. Ale czuję też ekscytację, bo to pierwszy raz, gdy słyszę o nim słowa żywe, a nie martwe.

19

Późnym latem 1939 roku Niemcy urządzają serię prowokacji granicznych, chcą pokazać światu, że zostali zaatakowani przez Polaków, i rozpocząć wojnę jako ofiary. Jedna z prowokacji odbywa się 31 sierpnia w Gleiwitz. Niemcy napadają na niemiecką radiostację, terroryzują niemiecki personel, przywlekają ze sobą porwanego dzień wcześniej powstańca śląskiego Franka Honioka. Strzelając mu w głowę, czynią go pierwszą ofiarą rozpoczynającej się właśnie wojny.

Zabicie Honioka będzie jedynym elementem prowokacji, który się powiedzie. Niemcy chcą podać się za Polaków i nadać komunikat o przejęciu radiostacji, ale nie potrafią znaleźć mikrofonu. Okazuje się, że cały plan wziął w łeb, bo pomylili miejsca: trafili nie do studia, które mieści się gdzie indziej, ale do stacji przekaźnikowej.

Tego samego dnia Hajokowie spłacają kredyt zaciągnięty w wiedeńskim banku – 31 sierpnia 1939 roku dom przechodzi na ich własność, to pozwala mi mówić, że dom należał do mojej rodziny już przed wojną, a to ma znaczenie kluczowe dla mojej tożsamości.

Nie wiem, czy Else i Hans z tej okazji świętują. Może zapraszają sąsiadów, którzy mieszkają za płotem po prawej stronie, Petera i Johannę Cielengów. Może tych zza drugiego płotu, Rufina i Marię Fulczyków z małym Achimem oraz Franciszkę Grzbielę. Może gospodarzy, którzy jeszcze niedawno zbierali tutaj pieczarki wyrosłe na końskiej mierzwie, Marię i Johanna Kuwaczków.

Nie wiem. Wiem, że pięćdziesiąt lat później ja się w tym domu pojawię. Wychowam się na drugim piętrze, na które mój sędziwy dziś sąsiad bał się kiedyś wspiąć. Do dziś tam wracam i przeszukuję szuflady.

20

Kilkaset metrów od mojego rodzinnego domu przebiega granica między dwoma Górnymi Śląskami.

Pierwszy jest nowy, drugi stary. Nowy jest Górny Śląsk miejski i przemysłowy, który kończy się w gliwickim śródmieściu. Jego najbardziej wysuniętym na zachód bastionem jest budynek, w którym po wojnie na blisko dwadzieścia lat osiadł Tadeusz Różewicz. Tu stworzył swoje dzieła, między innymi *Kartotekę*. To przy moim domu na cmentarzu w Wójtowej Wsi, nieopodal grobu Hansa, poeta pochował swoją matkę. Tutaj urodziło się dwóch synów Różewicza – w 1950 roku, gdy umierał Hans, i trzy lata później. Czy Else przyjmowała te porody, czy przychodziła do domu Różewiczów, by uczyć Tadeusza i Wiesławę, jak opiekować się noworodkami? Niewykluczone.

Za domem Różewiczów zaczyna się już Górny Śląsk wiejski i rolniczy, lasy i pola, które urozmaicone paroma miastami ciągną się aż po Śląsk Dolny. Wójtowa Wieś i Ostropa są bramami Górnego Śląska dawnego, nietkniętego industrializacją. To Katowice są historią alternatywną tego regionu, która się wydarzyła, jedną z wiosek, które zmieniły się w miasto. A przecież jeszcze niespełna dwieście lat temu, gdy na świat przychodzili moi praprapradziadkowie, rodzice Urbana Kieslicha – Anton Kieslich i Theresia Patermann – Katowice nie były znacznie większe od Ostropy.

Dom Else i Hansa Hajoków, ok. 1939
Źródło: archiwum rodzinne autora

Zauważyłem tę granicę, dopiero gdy mieszkałem już od lat w Krakowie i tylko czasem przyjeżdżałem w odwiedziny. Chodziłem tamtędy do śródmieścia i wyobrażałem sobie, jak nowoczesność pełzła do Wójtowej Wsi i Ostropy, jak zamieniała kolejne wioski w miasta, chaty w kamienice, bite trakty w brukowane ulice, aby w końcu zatrzymać się kilkaset metrów od domu, który wybudowali moi pradziadkowie. Miejsce, skąd pochodzę, usadziło się okrakiem na dwóch światach, było pograniczem pogranicza. Dlatego Else Kieslich musiała najpierw przejść wiele kilometrów przez pola, aby dojść do fabryki drutu, a później tyle samo wracała do domu, gdzie wraz z ojcem Urbanem i matką Johanną oporządzała gospodarstwo.

21

W naszym domu, odkąd sięgam pamięcią, wisiała niepozorna drewniana ozdóbka, kanciasty wyrzeźbiony kształt, kilkanaście na kilkanaście centymetrów. I wisi nadal. Minęło wiele lat, nim zorientowałem się, że na jej odwrocie ołówkiem nakreślony jest krótki list, który Hans wysłał do Else. Składa jej w nim życzenia z okazji trzydziestych ósmych urodzin. Czułość Hansa nie przeminęła z latami, na dole stoi: *meine liebe Else*. I jeszcze: „Rabka, Polen, 19.10.1939”. Else była w zaawansowanej ciąży, niebawem na świat przyjdzie ich trzecie dziecko, mój ujek Christian. A dla mnie długo zagadką było, co pradziadek robił w Rabce krótko po zajęciu jej przez nazistów.

W 1939 roku Hitler zdobyte polskie ziemie dzieli na dwie części. Wbrew propagandowemu przekazowi o konieczności rewizji „dyktatu wersalskiego”, na rewizji nie poprzestaje, narzuca swój dyktat. Do Rzeszy wciela nie tylko tereny należące przed I wojną światową do Niemiec. Do prowincji Górny Śląsk przyłączona zostaje część historycznej Małopolski, między innymi leżące dotychczas w województwie kieleckim Częstochowa i Zagłębie Dąbrowskie wraz z Sosnowcem. Sprawia to, że w górnośląskiej z nazwy prowincji Ślązacy zostają rozcieńczeni. Tę hitlerowską zmianę administracyjną utrzymają w mocy Polacy: zarówno po II wojnie światowej, jak i po 1989 roku. Obowiązuje ona do dziś.

Niepozorna ozdóbka ścienna z zapisanym na odwrocie listem Hansa do Else, 1939
Źródło: archiwum rodzinne autora

Wiem, że Hans, Else czy Urban nie muszą zaprzątać sobie głowy volkslistą. Podpisywać można ją w Generalnym Gubernatorstwie, gdzie każdy sam podejmuje decyzję, czy to uczyni. Postępuje tak niewielu. Inaczej jest na terenach wcielonych do Rzeszy, w tym na przedwojennym polskim Śląsku. Tam volkslisty nie podpisuje się dobrowolnie, ale wypełnia

obowiązkowo – należy odpowiedzieć na podstawowe pytania (kim są twoi rodzice, dziadkowie, do jakiej szkoły chodziłeś i tak dalej). Na tej podstawie urzędnik przydziela odpowiednią kategorię narodowościową. Po raz kolejny moi przodkowie zostaną zinwentaryzowani za kilka lat, ale już przez inne władze. Udowodnić wówczas trzeba będzie coś dokładnie odwrotnego.

Dla Katowic czy Chorzowa wojna zaczyna się w 1939 roku, dla Gliwic, Zabrza czy Bytomia – zacznie się dopiero w 1945. I dlatego słowo „przedwojenny" w moich stronach nie jest zbyt użyteczne. Tu pyta się, czy coś jest „poniemieckie". Tu rok 1939 nie stanowił cezury, dla cywila różnica między rokiem 1939 i 1940 często nie była szczególnie wyraźna.

Na Górnym Śląsku dziwna powojenna granica znika, przestaje dzielić miasta – do dziś pozostaje tylko w Cieszynie, gdzie wciąż przecina miasto na pół. W 1939 roku Ślązacy znowu spotykają się w jednym kraju, ale dwudziestoletni chłopcy z obu stron dotychczasowego kordonu różnią się już od siebie. Jedni są wychowani przez galicyjskich nauczycieli w Polsce sanacyjnej, związani z państwem polskim, drudzy przez nauczycieli niemieckich w Niemczech, indoktrynowani w nazistowskiej szkole, Jungvolku czy Hitlerjugend. Jedni mogą już nie znać niemieckiego, drudzy – śląskiego. Ale linia podziału przebiega nie tylko między nimi; wiele dzieli ich też od ich własnych ojców. Górnośląskie społeczeństwo musi się sklejać na nowo.

22

Nie zachowały się wspomnienia o przykrościach, które spotkały moich bliskich ze strony nazistów – dziwne, ale wydaje się, że nawet staremu powstańcowi Urbanowi nie spadł włos z głowy. Te lata są w naszej rodzinie dziwnie niedopamiętane, niewiele świadczy o tym, że w ogóle się odbyły.

Latem 2019 roku napisałem fragment o tym, jak Johann Hajok był na wojnie:

„W rodzinie pamięta się, że elektromonter Hans wykonywał zawód o strategicznym znaczeniu i dlatego do Wehrmachtu trafił późno. Najpewniej nastąpiło to już po Stalingradzie, czyli najwcześniej w 1943 roku. Wysłali go na ostfront. Nie brał udziału w bohaterskim pochodzie na wschód, tylko w ucieczce na zachód. Wysłano go, aby wyszedł Iwanowi Rudence naprzeciw, a później przed nim uciekał.

Hans nie bawi w Związku Radzieckim długo. Niedomaga, ma problemy z sercem, widać poważne. Płaci za chwilę nieuwagi, gdy lata temu poważnie poraził go prąd. A może nie płaci, ale zyskuje. Wszak wrócił z tej przeklętej wojny”.

Te akapity okazały się nieprawdziwe.

Niedługo po ich napisaniu zwróciłem się do niemieckiego archiwum wojskowego z prośbą o informację o wojennych losach pradziadka. Nawet nie żeby coś potwierdzić, raczej żeby poznać szczegóły: szlak bojowy, daty, rany, odznaczenia. Lakoniczne akta uświadomiły mi dwie rzeczy.

Po pierwsze, pradziadek był żołnierzem Wehrmachtu między końcem sierpnia trzydziestego dziewiątego a końcem września czterdziestego. W tym czasie Hitler zdobył Polskę, Danię, Norwegię, Holandię, Belgię, Luksemburg i Francję. Nie wiem, czy mój czterdziestoletni wówczas pradziadek był współtwórcą tego spektakularnego sukcesu. Na pewno służba w tych krajach była dla niemieckich żołnierzy o niebo lżejsza niż późniejsza w Związku Radzieckim. Front zachodni wielu będzie wspominać nawet dobrze. Pewien robotnik ze Zdzieszowic (służył na wale atlantyckim) powie na przykład, że gdyby nie wojna, to nigdy nie zobaczyłby tyle świata.

Informacja z Bundesarchiv rzuca nowe światło na drewnianą pocztówkę, która wisi w babcinym pokoju paradnym. Pocztówkę, którą Hans podpisał „Rabka, Polen, 19.10.1939” i wysłał ukochanej Else z okazji trzydziestych ósmych urodzin, nadał nie – jak się u nas pamiętało – elektromonter w delegacji, ale żołnierz na wojnie. Johann był w Rabce niedługo po jej zajęciu przez Wehrmacht. Co dokładnie tam robił oraz jak spędził kolejne miesiące służby – nie mam pojęcia i w archiwum nie otrzymałem na te pytania odpowiedzi. Ów 19 października to jedyny dzień jego tułaczki, o którym cokolwiek wiadomo. Wojna przestaje w ten sposób być w mojej głowie czarno-biała, nie jest już po prostu walką dzielnych Polaków z bestialskimi Niemcami. Mój pradziadek nie był ani bestialski, ani nie był Niemcem, a w każdym razie jego niemieckość nie była jednoznaczna.

Po drugie, nasza pamięć rodzinna w tak istotnej sprawie nie wytrzymała próby kilkudziesięciu lat. I to nasze niepamiętanie przełomowych wydarzeń mówi o Górnym Śląsku więcej niż najdrobniejszy szczegół wojennej biografii mojego pradziadka. Cierpimy na zbiorową sklerozę.

Po otrzymaniu dokumentu z Bundesarchiv mówię o tym babci:

– Z tych dokumentów wynika, że twój ojciec wcale nie był na froncie wschodnim pod koniec wojny. Jeśli już na froncie, to na zachodnim, i to na początku wojny.

– Widzisz, jak niewiele się mówiło, poza tym, że był na froncie – odpowiada. – Ja też o tym nigdy dużo nie myślałam. Dopiero przez ciebie się nad tym wszystkim zastanowiłam, gdy zacząłeś pytać.

Zdjęcia, które Johann słał z wojny, nie zdradzają nic z jej grozy. Na dwóch jest w zaśnieżonym lesie i serdecznie się śmieje. Dystynkcja zdradza, że III Rzeszy służy w stopniu starszego szeregowca. Na kolejnym żołnierze odpoczywają w kantynie, na ścianie wisi obraz z idyllicznym pejzażem miasteczka nad rzeką. Kilku wojaków wznosi szklanki, ktoś użycza ognia, ze zdjęcia bije wesołość, panuje gwar. Mój pradziadek jako jedyny stoi, omiata zebranych wzrokiem i dołącza się do toastu. Na jeszcze innej fotografii nie dostrzegam pradziadka, być może trzyma aparat. Widać górzysty landszaft, kilku żołnierzy i wozy ciągnione przez konie. A na odwrocie trzy słowa skreślone do Else: *Hier bin ich*. „Tutaj jestem”. Na moim ulubionym śmieje się do obiektywu, klęcząc w mundurze w śniegu, a na rewersie zapisał: „Śmiech to zdrowie, nawet w woju”. Może chciał w ten sposób uspokoić Else? Miał ładne pismo.

Mam pradziadka z Wehrmachtu. Nie ja jeden. Miliony Polaków mają przodka, który służył w niemieckim wojsku. Według szacunków (precyzyjnych liczb brakuje) walczyło w nim do pół miliona przedwojennych obywateli Polski oraz obywateli Niemiec o polskich korzeniach. Najwięcej z Górnego Śląska, jakieś ćwierć miliona. Oznaczałoby to, że więcej przedwojennych i powojennych obywateli Polski służyło w Wehrmachcie niż w Armii Krajowej (po Górnym Śląsku krąży dowcip, że Afrika Korps to „nasze AK”).

Pradziadek Johann Hajok (po prawej) na froncie II wojny światowej, zima 1939/1940
Źródło: archiwum rodzinne autora

Tutaj ma się przodków w Wehrmachcie, na ogół nie zbrodniarzy wojennych, ale wujków, mężów, braci, sąsiadów, dziadków, pradziadków. Mało kto na wojnę szedł dobrowolnie, szło się pod przymusem. Odmowa mogła oznaczać karę śmierci za dezercję, a do tego – prześladowanie rodziny.

Po wojnie o walce w mundurze barwy *feldgrau* trzeba będzie zmilczeć. Pamiętać po cichu, ostrożnie i tylko w gronie zaufanych. Górnośląska pamięć po raz kolejny stanie się bluźniercza, będzie krążyć w drugim obiegu. Jest pamięcią ekscytującą, ale też często nurzającą się w mitach, niezborną. Każdy pamięta po swojemu, śląska pamięć nigdy nie zostanie do końca ujarzmiona, nie nakreśli się jej granic. To pamięć rozproszona, prywatna, mgławicowa. Nigdy nie zostanie umieszczona w żadnym z państwowych inkubatorów, nie otrzyma akredytacji Ministerstwa Edukacji Narodowej, żeby można było z niej napisać kartkówkę.

Opowiadał mi kiedyś o tym Marcin Wiatr, historyk pochodzący z Gliwic, a mieszkający w Brunszwiku.

– Na początku września 1988 roku, w siódmej klasie, nasza nauczycielka historii zadała nam wypracowanie na temat: „Jak bohatersko nasi dziadkowie walczyli we wrześniu trzydziestego dziewiątego”. Dla większości uczniów to był twardy orzech do zgryzienia. U nas w ogóle nikt nie chwalił się swoimi dziadkami, a ja jako jeden z niewielu w okolicy miałem choć jednego opę. Wtedy nie rozumiałem jeszcze, dlaczego w rdzennie śląskich dzielnicach dzieci dorastały bez nich i gdzie oni się wszyscy podziali. O deportacjach, ostfroncie czy wkroczeniu do Gleiwitz Sowietów dowiedziałem się znacznie później. Gdy przyszedłem nazajutrz do szkoły, okazało się, że niemal nikt nie odrobił zadania. W najlepszym razie dostawało się pałę, w najgorszym – dochodził jeszcze moralny siniak. Niektórzy próbowali bowiem dopytywać w domu, co dziadkowie robili we wrześniu pół wieku temu. Wówczas albo napotykali ścianę milczenia, albo zdecydowaną odmowę rodziców, żeby o tym rozmawiać. Patrząc na to z perspektywy czasu, najbardziej uderza mnie jednak, że nasza nauczycielka – pochodziła gdzieś spod Kielc – za nic nie potrafiła pojąć wtedy, dlaczego akurat tym razem osiemdziesiąt procent klasy nie przygotowało choćby kilku zdań. A czego się spodziewała? Że przyniesiemy rodzinne wspomnienia o dziadku, który we wrześniu 1939 roku walczył w Wehrmachcie? Tego zadania domowego w komunistycznej podstawówce nie dało się odrobić.

23

Wiem, że prababci w trakcie wojny władze zarekwirowały jeden samochód i dlatego drugi zamurowała. Wiem też, że Else i Hans doczekali się czwartego dziecka: Ursuli. Zachowało się jedno jedyne jej zdjęcie. Z Gwiazdki 1942 roku. Uschi jest niemowlęciem. Na rękach trzyma ją moja praprababcia Johanna Kieslich. Na zdjęciu są Hans i Else, ich starsze dzieci Christian, Reinhold i Lieselotte, są lokatorzy z drugiego piętra – rzeźnik, pan Frank, wraz z żoną (nie znam jej imienia), kilka innych osób. To pan Frank zdradzi prababcię i doniesie o zamurowanym samochodzie, ale to dopiero za jakiś czas. Na fotografii nie ma Urbana Kieslicha i to dziwi. Może ma to jakieś znaczenie. Równie dobrze może nie mieć żadnego.

To jedyne zachowane zdjęcie Ursuli, gdyż Ursula niebawem umrze na biegunkę septyczną, a pustki, które w ten sposób uczyni, sprawią, że ja będę mógł dołączyć do tej rodziny i opowiem jej pogmatwane losy. W życiorysie z wiosny 1943 roku Else napisze: „Mam trójkę dzieci w wieku 15, 14 i 3 lat. Czwarte dziecko zmarło 27 stycznia 1943 roku w wieku 9 miesięcy”.

Latem 1943 roku starszy porucznik, trzydziestoletni Iwan Rudenko, dostaje swoje pierwsze odznaczenie wojenne. Dowodząc jedną z baterii 1442 Pułku Samochodowo-Artyleryjskiego w bitwie na łuku kurskim, zniszczył trzy duże czołgi, cztery czołgi średnie i sześćdziesięciu przeciwników. W ten sposób umożliwił radzieckiej piechocie i czołgom utrzymanie swoich pozycji. Za te osiągnięcia otrzymuje Order Wojny Ojczyźnianej II stopnia. Ostatnio Rudenko walczył w swoich rodzinnych stronach, teraz posuwa się na zachód. Kursk od Wójtowej Wsi dzieli 1350 kilometrów.

Słowo ostfront budzi na Śląsku grozę. Babcia opowiadała mi o rozmowie Else z bratem Aloisem, który na nim walczył. Było to już po klęsce stalingradzkiej, Armia Czerwona parła na zachód. Brat miał ostrzec siostrę, że jeśli Sowieci wkroczą i zwrócą się do niej per *choziajka* (gospodyni), ma na nich nie wrzeszczeć i nie mylić tego słowa z „chadziajką” (po śląsku: zołzą, cholerą). A najlepiej, jakby przywitała ich okrzykiem: *Sława Krasnoj Armii!*

Else już nigdy więcej nie zobaczy Aloisa, słuch po nim zaginie. Do końca życia będzie mieć nadzieję, że brat w ostatnich miesiącach wojny przeszedł na stronę radziecką, będzie czekała na jego powrót – jak wiele innych osób na całym Górnym Śląsku. Na jednym z berlińskich cmentarzy wojskowych odnalazłem grób Aloisa Kieslicha, który zginął na froncie 8 maja 1944 roku. Wiele wskazuje na to, że leży w nim ujek.

Jesienią 1943 roku Iwan Rudenko dowodzi swoim 1442 pułkiem już w stopniu kapitana. Przeprawia się przez Dniepr, zdobywa Kijów. Niszczy jeden duży czołg, dwa średnie i sześćdziesięciu dziewięciu przeciwników. Otrzymuje Order Wojny Ojczyźnianej I stopnia. Z Kijowa do Wójtowej Wsi jest 940 kilometrów.

Inny mój ujek też służył w Wehrmachcie na tym samym froncie. Jego dowódca potwornie znęca się nad miejscową ludnością. Pewnego razu ujek wraz z kolegami z oddziału sami wymierzają mu karę. Zabijają go, a zwłoki zakopują.

Latem 1944 roku Iwan Rudenko wraz ze swoim pułkiem szarżuje przez Ukrainę. W sierpniu otrzymuje kolejne odznaczenie, tym razem za zniszczenie kupy sprzętu i ponad trzystu przeciwników. Oraz za bohaterstwo – nie zszedł z pola walki mimo odniesionych ran. Do Wójtowej Wsi ma już bardzo blisko.

W tym czasie powołanie dostaje syn Elisabeth i Johanna, ujek Reinhold. Jako nastolatek trafia na front zachodni. Babcia opowie mi później tylko tyle, że we Francji z kolegą zdezerterowali i ukryci pod sianem w stodole przeczekali, aż przewalą się wojska. Nie zna innych szczegółów. Piszę z prośbą o jakieś informacje do Dortmundu, do jego córki, ciotki Reginy. Odpowiada, że też niczego nie wie.

A w Wójtowej Wsi pod koniec stycznia 1945 roku rekonwalescent Johann Hajok leży w swoim domu przy Passonstrasse 18, gdzie jeszcze niedawno była łąka, a na niej gospodarz Kuwaczka zbierał pieczarki wyrosłe na końskim gnoju.

24

Na Górnym Śląsku wojny nie było od czasów Napoleona Bonaparte. Półtora wieku. Najdłuższa bodaj przerwa w dziejach regionu.

Jeszcze niedawno niektórzy wierzyli, że Armia Czerwona zatrzyma się na Wiśle, że dojdzie do zmiany sojuszy, a Amerykanie, Brytyjczycy i Niemcy wspólnie uderzą na Sowietów. Dziś nie ma wątpliwości, że Armia Czerwona zjawi się tu lada moment, że nie rozegra się już żadna bitwa, która cokolwiek zmieni. Z niemieckiej części Górnego Śląska uciekły masy ludzi (z polskiej – stosunkowo nieliczni). Sowietów już słychać, gliwiczanie uderzają do kościołów taką hurmą, że księża rozgrzeszają ich już tylko zbiorowo.

IPN-owski historyk Adam Dziurok napisze: „Nawiązując do porównania Marcina Zaremby, który stwierdził, że Polacy w obliczu »niemieckiej dżumy« woleli, z dwojga złego, »sowiecką grypę«, można zauważyć, że przynajmniej na terenie Śląska Opolskiego diagnoza »chorobowa« wyglądała zupełnie inaczej. Tutaj »sowiecka dżuma« stanowiła fundamentalne zagrożenie, zaś »niemiecka grypa« wydawała się co najwyżej »lekkim przeziębieniem« lub wręcz stanem normalności”[21].

Radzieccy żołnierze wiedzą dokładnie, w którym miejscu zaczyna się Rzesza. Zupełnie inaczej będą zachowywać się po polskiej stronie przedwojennej granicy, inaczej – po niemieckiej. Tłumaczono im, że ta granica oddziela dobry świat słowiański od złego germańskiego, a Niemiec to jucha niemająca prawa do życia.

Wielu, tak jak kapitan Rudenko, walczy w tej wojnie od początku, czwarty rok. Od dawna gonią Niemców, których ślad znaczy się najgorszymi zbrodniami: spalone wsie, stosy ciał. Niemcy zamordowali dziesięć milionów samych radzieckich cywili. Niektórzy ukraińscy, białoruscy czy ormiańscy żołnierze robią rzeczy straszne, wszyscy cierpią, sypiają w błocie, marzną, nie dojadają, tęsknią, boją się o swoich bliskich, widzą śmierć towarzyszy broni, od lat tkwią w nieustannym napięciu, wybawieniem jest lekka rana i oddech w lazarecie. Po tym wszystkim teraz mają po raz pierwszy wkroczyć do Rzeszy właśnie tu, na Górnym Śląsku. A gdy ją ujrzą, dusze wielu opanuje jeszcze silniejsza nienawiść – na widok

zadbanych ulic, zamożnych domów, dostatku i harmonii. Ten niemiecki świat, który Niemcy urządzili dla siebie, drastycznie kontrastuje ze światem, który urządzili innym. Na Górny Śląsk sołdaci wchodzą zbrukani, zgnojeni, potwornie okaleczeni.

25

Jest południe i Armia Czerwona wkracza do Richtersdorfu. Być może to właśnie teraz pradziadek nerwowo się goli, aby nie drażnić wroga. Na wszystkich zdjęciach wykonanych przed 1945 rokiem nosi wąsik *à la* Hitler, na późniejszych po wąsiku nie będzie już ani śladu. Być może teraz goli się cały Górny Śląsk.

Johann Hajok słyszy hałas. Porusza się firanka. Radziecki żołnierz to zauważa, otwiera w tę stronę ogień, kula trafia w szybę. Radziecki żołnierz sam musi się bać, w mieście tu i tam bronią się jeszcze niedobitki. Czerwonoarmiści wbiegają do naszego domu, Johann jest w sypialni na parterze, wyrzucają go na podwórko, panuje przeszywający mróz. Stawiają go pod ścianę do rozstrzelania.

W tym czasie Elisabeth przyjmuje poród u sąsiadów pod siedemnastką. Ktoś przybiega i mówi, że żołnierze weszli do jej domu. Położna w białym fartuchu biegnie przez skutą mrozem ziemię.

Nie wiadomo, co się teraz dzieje: czy tak jak radził jej brat Alois, krzyczy: *Sława Krasnoj Armii!*, czy pada na kolana, czy rzuca się na żołnierzy. Czy biegnąc tu te sto pięćdziesiąt metrów, obmyślała kolejny krok.

Wiadomo, że na podwórko przy Passonstrasse wchodzi kapitan Iwan Afanasjewicz Rudenko. Za bohaterską postawę i zabicie podczas walk o Górny Śląsk do trzystu pięćdziesięciu niemieckich wrogów wkrótce zostanie awansowany do stopnia majora. Wojna sprawia, że rosyjski żołnierz z oddalonej o tysiące kilometrów wioski u podnóży Kaukazu staje teraz naprzeciw górnośląskiego elektromontera i ma zadecydować o jego losie.

Moja wyobrażona historia rodzinna dzieli się na dwie części. „Przed” i „po”. Między „przed” i „po” jest czekający na śmierć Hans.

Kapitan Rudenko decyduje, że Johann nie zostanie rozstrzelany. Przeżywa koniec świata. Żołnierz armii Stalina ratuje życie żołnierzowi armii Hitlera. Rosjanin Niemcowi. Iwan Johannowi. Noszą to samo imię – po polsku brzmi ono Jan – i to sprawia, że scena jest symboliczna. Oba

imiona w obu społeczeństwach są pospolite i dzięki temu scena jest metaforyczna.

Dzięki Rudence moi pradziadkowie w najgorszych dniach są w miarę bezpieczni, gdyż Rudenko postanawia kwaterować w naszym domu. Na łąkach za płotem, od strony rzeczki Ostropki, zatrzymują się wielkie sowieckie pojazdy.

A najbliższe dni są być może najtragiczniejszymi w historii tego miasta.

Żołnierze dostają kilkadziesiąt godzin na wyżycie się.

Dzieje się wszystko. To, co się wydarza, bardziej niż działania wojenne przypomina klęskę żywiołową, wobec której jest się bezsilnym, której trzeba zejść z drogi. Pożar, wysoką falę, promieniowanie radioaktywne. Albo atak kosmitów. Wszelkie reguły są zawieszone. W ciągu kilku dni zginie około tysiąca gliwiczan. Może nawet co pięćdziesiąty mieszkaniec wyludnionego miasta. W samym Schönwaldzie, skąd do Ostropy przez pola przywędrował niegdyś młody Josef Krauthakel, ginie sto dwadzieścia osób, w tym moi dalsi krewni, reszta ucieka lub zostaje wyrzucona z nowej Polski, siedmiusetletnia kultura schönwaldzka gaśnie tu w kilkadziesiąt godzin.

Górny Śląsk pełen jest cierpienia. Cierpienia i ofiar, i oprawców. Ale Górny Śląsk nie jest w swoim cierpieniu wyjątkowy. Cierpią Pomorze, Warmia, Mazury, Dolny Śląsk, cierpią rzesze ludzi.

Mój sędziwy sąsiad, nazwijmy go Fryderyk, pisze wówczas na kartce z bloku rysunkowego niezdarną cyrylicą „Dom polski” i zawiesza na drzwiach komunikat dla potężnej Armii Czerwonej. Robi to na polecenie wujka, który właśnie wrócił do domu z wojny. Wujek nosił zły mundur – jak wszyscy w tym miejscu. Moje sąsiadki z domu obok najpierw przeczekują najgorszy czas, leżąc na dachu, a potem umyślnie się szpecą, żeby wyglądać na stare omy i nie wzbudzać zainteresowania sołdatów. Choć żołdacy gwałcić będą wszystkich, i kilkulatki, i stojące nad grobem staruszki. Gdy kilka lat później po placach ganiają czasem skośnookie dzieci, nikt nie zadaje pytań.

Rok 1921 podzielił wielu Ślązaków. Ogrom cierpień roku 1945 ich do siebie zbliża.

Po kilku dniach ślepy terror ustępuje miejsca terrorowi zorganizowanemu. Sowieci wykorzystują panujący na zachodnim Górnym Śląsku czas

bezkrólewia, gdy już nie ma tu Niemiec i jeszcze nie ma Polski. Rozpoczynają na skalę przemysłową szaber, który będzie trwał jeszcze długo po przybyciu polskich władz. „Ziemie odzyskane” są odzyskane dla nich, nie dla Polski, stają się ich kolonią i reparacją wojenną. Grupy ekspertów grasują po pałacach i muzeach w poszukiwaniu dzieł sztuki, ogołacane są niemieckie fabryki, huty, kopalnie, młyny, dworce, wszelkie zakłady, a najwybitniejszy gliwicki pisarz Horst Bienek demontuje fabrykę drutu, w której jeszcze niedawno swoim śpiewem majstrowi na nerwy działała nastoletnia Else.

26

Na konferencji jałtańskiej alianci zgadzają się, że reparacją będzie też niemiecka ludność. Kreml wykorzysta Ślązaków do odbudowy Związku Radzieckiego. Pod pojęciem „Niemiec” kryje się każdy miejscowy. Nieważne, czy był powstańcem śląskim, czy nazistą.

Jeszcze zimą w Ostropie na drzwiach stodoły gospodarza Dylonga pojawia się obwieszczenie. Sporządzono je po niemiecku i rosyjsku, tak jakby nikt z obwieszczających nie wziął pod uwagę, że na „odzyskanych ziemiach piastowskich” ktoś może rozumieć po polsku. Na wrotach Dylongowej stodoły stoi, że wszyscy mężczyźni od lat siedemnastu do pięćdziesięciu mają stawić się nazajutrz w wyznaczonym miejscu, aby wykonać prace porządkowe na zapleczu frontu. Każdy powinien zabrać ze sobą ubranie na zmianę, koc oraz zapasy na dwa tygodnie. Karą za niestawienie się będzie śmierć.

Idą. Myślą, że wrócą za kilkanaście dni. Ostropianin Ignacy Kowol po latach będzie wspominał: „Wyszedłem z domu 15 lutego 1945, a wróciłem 23 grudnia 1949 roku”[22].

Urban jest za stary, żeby jechać „do Rusów”, ale w tym czasie dzieje się coś innego, co zmieni jego życie. Nieopodal jego domu Sowieci budują lotnisko polowe. Wówczas jeszcze wydaje się, że nie ma to dla mojej rodziny znaczenia, ale w rzeczywistości ma ogromne.

Do wagonów bydlęcych – krowioków – pakują dwustu siedemdziesięciu dziewięciu ostropian. Resztkę mężczyzn. Tych, którzy nie uciekli przed frontem, nie zginęli, nie są wciąż na wojennej tułaczce, nie są chorzy ani starzy. Porywają ich. Będą niewolnikami w Związku Radzieckim, choć gdyby ludziom kreślącym po I wojnie światowej tutejszą granicę drgnęła ręka o te nieszczęsne dziesięć tysięcy kroków, międzywojnie przeżyliby w Polsce i być może nie musieliby płacić za nazistowskie zbrodnie.

Z sunącego na wschód pociągu co jakiś czas wypadają liściki do bliskich, w których ostropianie tłumaczą tyle, ile sami zdołali przez tych parę dni pojąć. Niektóre trafią do adresatów. Ignacy Kowol powie: „Dla konwojentów kluczowy był stan liczbowy transportu, stąd zdarzały się sytuacje, kiedy z powodu dużej śmiertelności w wagonach na postojach na

miejsce zmarłych zabierano okolicznych zdrowych mężczyzn, tak by »stan się zgadzał«”[23].

Ostropianie jadą głównie do Donbasu, wielu na ziemie, które dziś kontroluje „Doniecka Republika Ludowa”, inni na Białoruś, a moja sąsiadka (kobiety też bywały deportowane) z Wójtowej Wsi trafi do Kazachstanu. Często po przyjeździe sami budują sobie obozy. Stawiają wieże strażnicze, z których będzie można do nich strzelić, otaczają teren drutem kolczastym, który ma ich powstrzymać przed ucieczką, montują bramy. Najlepiej trafić do jednego z obozów, który niedawno zbudowali tu Niemcy, przyjść na gotowe.

Warunki są szatańskie, praca ponad siły w kopalniach węgla, przy karczowaniu lasów czy odbudowie miast, śmiertelność pierońsko wysoka.

Jesienią 2018 roku pojechałem do Donbasu do paru miejsc, do których w 1945 roku trafiali górnośląscy niewolnicy, rozmawiałem z historykami, szukałem informacji, grobów, ale nie udało mi się znaleźć zbyt wielu śladów ich tutaj bytności. Mówię o tym Ołeksijowi Czupie, pisarzowi z poddonieckiej Makijiwki. Ołeksij odpowiada, że jak to – on sam dorastał w domu postawionym po wojnie przez „niemieckich jeńców”. Twierdzi, że jego dzielnica wygląda dzięki temu inaczej niż okoliczne. Na opowieści o „niemieckich jeńcach” trafiam na Wschodzie od lat. Pierwszy raz usłyszałem o nich w armeńskim mieście Goris jako o budowniczych pięknych budynków. Potem podobna opowieść powtarzała się w Kazachstanie, Gruzji, gdzieś jeszcze. Zawsze mówiono o nich dobrze, ceniono niemiecką jakość.

Po pewnym czasie wracają pierwsi ostropianie. Niektórzy z tych, którzy nie giną po drodze, umierają od jedzenia podanego przez żony i matki, żołądki nie wytrzymują normalnych posiłków – Magierę gubi kaczka, a mojego dalekiego krewnego Hajoka talerz gorącej zupy.

Na dwustu siedemdziesięciu dziewięciu ostropian, którzy „pojechali do Ruslandu”, większość nie wróciła. Z Górnego Śląska łącznie uprowadzono około pięćdziesięciu tysięcy osób. Podobny los spotyka ludzi uznanych za Niemców w Czechosłowacji, na Węgrzech i w kilku innych krajach.

27

Pociąg wtacza się na stację w Zdzieszowicach, niewielkim miasteczku pomiędzy Gliwicami i Opolem. Wysiadam. Do przyjazdu namówił mnie Zdzisław Holewa, ten od międzywojennej granicy. Pan Zdzisław powiedział mi, abym koniecznie spotkał się z jego kolegą Franciszkiem Wenckim. „On dużo o tych sprawach powie” – zapewniał.

Wencki mieszka na zboczu Góry Świętej Anny, w wioseczce o tej samej nazwie. Ze stacji kolejowej do jego domu mam dwie godziny na nogach. Idę przez miasto, nieopodal płynie Odra. W tym miejscu spotykają się te dwa symbole: święta śląska góra i święta śląska rzeka. Wychodzę na drogę, kilometr, drugi, trzeci, czwarty, zabudowa jest coraz bardziej przerzedzona, znikają domy, gęstnieją drzewa. W pewnym momencie skręcam w las, droga meandruje, pnie się w górę, ja wraz z nią, wokół zalega coraz więcej śniegu. Nie jestem pewien, czy dobrze idę, więc gdy po następnych kilometrach gubię szlak, zaczynam się martwić, że zabłądzę i pan Franciszek wcale dużo mi o tych sprawach nie powie. Idę na przełaj, kluczę, aż wreszcie – jest: dawna demonstracja siły, wykuty w skale nazistowski amfiteatr na dziesiątki tysięcy miejsc, do którego zabierali mnie kiedyś dziadkowie.

Góra Świętej Anny to symbol śląskiego katolicyzmu, a katolicyzm to dawny symbol polskości Śląska. Znaczenia temu miejscu przydał fakt, że to tutaj stoczono jedyną bitwę z prawdziwego zdarzenia podczas wojny polsko-niemieckiej w 1921 roku. W międzywojniu tereny te należały do Berlina i Niemcom było nie w smak, że na Anneberg sunęli pątnicy z polskimi pieśniami religijnymi na ustach. Niemcy postanowili przyćmić tutejszy klasztor. Znawca miejscowej historii Piotr Smykała tłumaczył „Nowej Trybunie Opolskiej”, że „naziści chcieli zbudować symbol Germanii właśnie na Górze św. Anny – w najwyższym miejscu ówczesnych niemieckich »kresów wschodnich«. Zgodnie z planem Josepha Goebbelsa, inspirowanym starogermańskimi zwyczajami, w całej Rzeszy miano zbudować około 400 amfiteatrów. Miały się w nich odbywać Thingi – spotkania nawiązujące do dawnych zgromadzeń mężczyzn z germańskich plemion”[24]. Co mogę poradzić, że te wszystkie bzdury o nazistach, którzy

próbowali wskrzeszać zmarłych, nawiązywali kontakt z kosmitami i budowali latające spodki, działają mi na wyobraźnię?

Obok postawiono mauzoleum. Po wejściu do wpuszczonej kilka metrów w ziemię Hali Zmarłych wzrok potrzebował chwili, by oswoić się ze skąpanym w mroku wnętrzem. Stopniowo z ciemności wyłaniała się kilkunastotonowa rzeźba umierającego germańskiego wojownika otoczona pięćdziesięcioma sarkofagami. Spoczywały w nich prochy Niemców poległych tu w 1921 roku. Wnętrze mauzoleum musiało robić wrażenie. Po wojnie Polacy zabrali stąd, co się dało, na odbudowę Warszawy, resztę bez zbędnej finezji wysadzili w powietrze, a w miejscu pomnika niemieckości Śląska postawili pomnik polskości Śląska – mniej tajemniczy, równie propagandowy.

Mijam granitowy kloc i wchodzę do wioseczki, która ze wszystkich stron obrosła Anneberg. Po paru chwilach znajduję odpowiedni dom, naciskam dzwonek, wita mnie żwawy osiemdziesięcioześciolatek. Franciszek Wencki przyszedł na świat w 1934 roku w Gleiwitz jako Reinhard Wentzki. Proszę go, żeby opowiedział mi, jak to kiedyś było, a on okazuje się jedną z tych niewielu osób, które radzą sobie z takimi pytaniami.

– Nieraz w marzeniach wspominam swój pokój. I swoją bibliotekę. Dużo czytałem, Karol May to była moja ulubiona lektura. Ja miałem wszystkie sześćdziesiąt cztery tomy własne! To było wszystko obeznane. Albo o bohaterach niemieckich. Jak on się nazywał… Bohater u-bootów… Günther Prien! To się czytało – opowiada pan Franciszek. – Miałem tylko jeden kompleks. Nie wzięli mnie do Deutsches Jungvolk. Byłem jakiś niepewny element. Ale marzenia były! Oni mieli mundury, to było coś. Te fanfary, te opaski, fajne. Nikt tego nie brał, że to wrogowie, okupanci. Oni byli bardziej zaawansowani od nas: my się bawiliśmy klockami, a oni w wojnę, gry terenowe. Chłopcy mieli zawsze kult żołnierza, a ja miałem kult żołnierza niemieckiego, to byli nasi. Ciemiężyciel to był Ruski, to z nim ujek czy ojciec walczyli – mówi.

Kilka tygodni później pojadę zobaczyć dom małego Reinharda Wentzkiego. Urokliwa narożna kamienica przy dawnej Lindenstrasse *zwei* w dzielnicy Stadtwald, dziś Lipowa na Zatorzu. Reinhard w dwupokojowym mieszkaniu miał swój kąt, mieszkali we trójkę z rodzicami. Wokół były same tajemnice. Był cmentarz katolicki z pomnikiem dzieci spalonych żywcem w pożarze miejscowego kina, był

zamknięty przez nazistów cmentarz żydowski, mojżeszowy dom pogrzebowy z żelaznymi bramami i wiszącymi łańcuchami. Wokół ciemny las, ciągnący się aż do Zabrza, w lesie zaś, pod dębem, pochowany miał być legendarny śląski zbójnik Pistulka.

– Z głębi Niemiec sprowadzili do Stadtwaldu robotników, urzędników. My się dziwiliśmy, w naszym kwartale większość nazwisk była polska: Rogocki, Widluch, Wentzki, a tam Hammer czy Nagger. W naszej kamienicy większość jeszcze mówiła po śląsku – mówi Wencki.

Słucham go i przypominam sobie fragment wspomnień pisarza Horsta Bienka z lat nazizmu, kiedy był dzieckiem. Horst urodził się o cztery lata wcześniej niż Reinhard, mieszkał kilka ulic dalej. W książce *Podróż w krainę dzieciństwa* pisał: „Rysowałem drzewo genealogiczne, ale nie wyszedłem poza trzecie pokolenie wstecz. A i do tego momentu było już w rodzinie tylu Bienkowskich, Piatkowskich, Schimanskich, Piontków i Nowakowskich, że wolałem raczej przerwać”[25].

– Rodzice posługiwali się gwarą, gdy dzieci miały nie wiedzieć, o co chodzi – kontynuuje Wencki. – Mój ojciec za młodu demonstracyjnie chodził do szkoły z polskim elementarzem. Może nie wiedział, co to Polak, a co to Niemiec, ale chciał zrobić na złość rechtorowi: „Co ty mnie tu będziesz uczył po niemiecku!”. Brali sobie za żony Niemki, moja mama była Niemką z Deutsch Zernitz. A potem, jakie były imiona w jej pokoleniu? Edeltraud, Margot, Reinhard, Wolfgang. Nie było żadnej Stanisławy. Ale od dziadków, rodziców wiem, że problemów polsko-niemieckich między ludźmi tu nigdy nie było. Byli nasi i obcy, raz przyjechali spod Warszawy, raz spod Frankfurtu. Każdy mówił tak, jak mu gęba wyrosła. Nikt nie miał z tym problemu. Z wyjątkiem nazistów – wspomina.

– Gdyby nie kapitulacja Niemiec, pan byłby pierwszym pokoleniem w historii, które zupełnie nie potrafiłoby mówić po śląsku? – pytam.

– Strach było nas śląskiego uczyć. Albo nie strach: to była przezorność. Nie eksponować tego, że się rozumie. Bo jak się dziecko nauczy, to puści farbę na placu i mogłyby być takie czy inne represje – tłumaczy Wencki.

Gdy pod koniec stycznia 1945 roku Johann Hajok leży chory w domu, Reinhard z kolegami po raz ostatni w życiu wraca z niemieckiej szkoły. Front jest blisko.

– Pamiętam to jak dziś. Nadlatywał fliger i obrońcy Gleiwitz, dwa wozy pancerne, czołg i jakiś samochód, zatrzymali się na skrzyżowaniu pod

moim domem – opowiada Wencki. – Ludzie wychodzili na ulice, pytali: „Chłopcy, czy nas obronicie?”. Oni mówią, żeby się nie bać, ale nagle wskoczyli do auta i odjechali, a chwilę potem uderzyło. W mój dom. Myśmy wtedy wylądowali w piwnicy, z kamienicy wypadły szyby. Zostaliśmy już tam, front przeszedł, Ruscy nas dopiero wygarnęli – opowiada.

Najpierw z mieszkania wypędzają ich Sowieci, którzy zamierzają się w nim skoszarować. Dają Wentzkim – matce z synem, ojciec nie wrócił jeszcze z Wehrmachtu – czas. Mogą zabrać ze sobą, co chcą. Z wyjątkiem łóżek. Wentzcy prędko wyrzucają dobytek przez okno, sąsiedzi pomagają, zbierają, chowają, a później mówią, co u kogo leży. Niektóre rzeczy dotrą do nich dużo później, już na Górę Świętej Anny. Na przykład zdekompletowana porcelana.

Jedenastoletni Reinhard z sześćdziesięciu czterech tomów Karola Maya wybiera jeden: *Skarb w srebrnym jeziorze*. Uznaje, że w rozpadającym się świecie książka o przygodach wodza Apaczów jest najcenniejsza. Nie przychodzi mu jeszcze do głowy, że niebawem książki po niemiecku zostaną zakazane. Wentzcy przenoszą się dwie ulice dalej, do pustego mieszkania po sąsiadach. Tamci porzucili je, uciekając w popłochu przed frontem.

– Najpierw nakazem wojsk rosyjskich należało wywiesić w oknach białe chorągwie. To się prześcieradła wieszało, ulice były białe. Potem nakaz był wywiesić czerwone fany. A potem nakaz, którego ludność tubylcza nie zrozumiała: biało-czerwone. Ludzie kombinowali, co to ma oznaczać: poddaliśmy się – to białe, Ruskim – to czerwone. Kapitulacja Niemiec i poddaństwo Rosji – wspomina.

Po pewnym czasie sąsiedzi, których dom zajęli, wracają do Gleiwitz. Wentzcy muszą po raz drugi zabrać tobołki i się wynieść. Znajdują następny pustostan.

– Stamtąd wyrzucili nas „nasi”. Polacy. Nagle, bo oni, w przeciwieństwie do Sowietów, już niczego nam nie pozwolili wziąć. Musieliśmy po prostu wyjść – mówi. – Ludność tamtejsza więcej ucierpiała od Polaków niż od Ruskich. Bo Ruscy przeszli, tatarstwo, Mongołów była kupa, ludzie rozumieli, że wojna, front, historie damsko-męskie były, ale potem przyszli ci, co bez żadnego uzasadnienia zaczęli się panoszyć – wspomina.

Pytam Wenckiego, jak wcześniej wyobrażali sobie Polskę. Odpowiada, że dla większości gliwiczan Polska była krajem szmuglerskim. Dla jego rodziców Polakami byli ci, którzy mówili tą samą gwarą, ale żyli na niższej stopie, to byli tamci, inni. Podkreśla, że te podziały się dopiero potem wyostrzyły, potem Polacy to byli ci, którzy ludzi wypędzili z mieszkań, okradli zadzierali nosy i myśleli, że ich uczą kultury. Kulturträgerzy.

Pytam, czy nie chcieli jakoś walczyć o swoje.

– Nie było siły, żeby wrócić do mieszkania i powiedzieć, że to jest moje. Panie. Po pierwsze, kompleks zwyciężonych był. Po drugie, ci ludzie to byli zdobywcy, nowi panowie. Tałatajstwo, nie ze Śląska, ale głównie z Będzina, z Dąbrowy, z Zagłębia. Przeciętny tamtejszy górnik czy hutnik chciał tu szabrować. I czas mijał od zakończenia wojny, i śmiałość była większa, a postępowanie bardziej bezwzględne. Od tych ludzi doświadczyliśmy najprzykrzejszych rzeczy. Nie od tego biednego repatriańca, który z krową przyjechał i nikt się nim nie zajął. Myśmy tych „zagłębiaków”, w cudzysłowie, bo to nie tylko ludzie z Zagłębia byli, utożsamiali z Polską – mówi Wencki.

Na ulice wyrzucają też mieszkającą nieopodal ciotkę Reinharda wraz z synem. Cała czwórka nie ma się gdzie podziać. Kobiety mówią: koniec. Od wkroczenia Sowietów minęło pół roku. Jest przełom lipca i sierpnia, pełnia lata.

– Wcześniej myślało się tu: „Pół roku wytrzymamy, a potem się to dziadostwo skończy”. Długo po wojnie utrzymywała się niepewność, czy granica się znowu nie cofnie, czy Niemcy nie wrócą – mówi pan Franciszek. – Na Śląsku rozwijało się skrót NSDAP jako „Nasi są daleko, ale powrócą”. Nadzieje zgasły dopiero po kilku latach. Moi rodzice nie umieli się pogodzić z porządkami, jakie panowały w Polsce.

Latem 1945 roku resztki dobytku pakują na wózek i idą w stronę Ostropy, a stamtąd na Górę Świętej Anny, do dziadka Reinharda, Józefa. Nocują po stodołach, kluczą bocznymi drogami.

– Podszyta grozą była ta wycieczka. Baliśmy się nawet nie wojsk okupacyjnych. Nasi wcale nie byli tacy dobrzy. Jak zobaczyli dwie słabe kobiety, to… Wyzwalają się, nazwijmy to, emocje. Doznał ktoś krzywdy i teraz ma przed sobą osobę jeszcze słabszą. Całe szczęście, że w tym czasie mężczyzn nie było. Wszyscy byli internowani – wspomina pan Franciszek.

Reinhard Wentzki dociera do domu dziadka na Górze Świętej Anny. Zejdzie się tu wielu jego rozproszonych przez wojnę bliskich: oprócz matki

jeszcze cztery ciocie z kilkanaściorgiem dzieci. Wyrzucono ich na bruk. Będą tak mieszkać dłuższą chwilę, w tym czasie do dziadkowego domu przyjdą następni krewni. Dwóch wujków zginie w Wehrmachcie, ojciec Reinharda trafi do sowieckiej niewoli, ale uda mu się wrócić.

Rodzinie Wentzkich po wojnie pomaga opinia, jaką cieszy się dziadek Józef.

– Był tego typu człowiekiem, że jak coś mu się za Niemców nie podobało, demonstracyjnie mówił po śląsku, literackim językiem polskim nie władał – mówi pan Franciszek. – Właściciele gospodarstw dostawali tutaj do pomocy serbskich jeńców wojennych. Dziadek dostał Michała, rozmawiał z nim po polsku. Polubili się bardzo. Prawdopodobnie komuś się to nie spodobało, wie pan, jak to bywa z sąsiadami. I dziadek za sprzyjanie untermenschowi trafił do raciborskiego więzienia. Ułaskawiono go po pół roku, bo miał synów w Wehrmachcie. Pamiętam Michała, dał mi koniem powozić, za wojny przyjeżdżałem tu na ferie. Gdy front przewalcował tę okolicę, dziadka uznali za Polonusa – opowiada.

Ale w nowym świecie nie było miejsca dla Reinharda Wentzkiego.

– Był rok 1946 i nas polonizowali. Na drugie imię miałem Franz i uparłem się, że skoro nie mogę być Reinhardem, to będę używał innego imienia, ale swojego. Tak zostałem Franciszkiem Wenckim – mówi i uśmiecha się szeroko.

Na swoje nieszczęście dwunastoletni Franek na Górę Świętej Anny dociera w sierpniu, akurat gdy posłaniec gminny chodzi po ulicy z dużym dzwonem. Obwieszcza, że z początkiem września dzieci mają zgłosić się do szkoły.

– Ja bardzo nie chciałem iść do szkoły. O nie! Nie umiałem po polsku ani słowa. Mówiłem, że nie będę chodził do polskiej szkoły! – wspomina pan Wencki. – Jak posłaniec chodził z dzwonem, to dziadek Józef wytłumaczył mi, że muszę się tego polskiego nauczyć, no bo jak. Front zastał mnie w czwartej klasie. A po wojnie, skoro ni chu-chu nie rozumiałem, co do mnie mówią, to zaklasyfikowali mnie do trzeciej. Dziwili się, że nazwisko Wencki, polskie, a mówię tylko po niemiecku – opowiada.

W domu dziadka są stare numery pisma „Morze”, wydawanego w II Rzeczypospolitej przez Ligę Morską i Kolonialną. Gazeta roztacza wizję dalekich polskich kolonii. Jeszcze niedawno marzono

o posiadłościach na Madagaskarze, w Liberii, Angoli, Ameryce, teraz Polska sama stała się posiadłością Moskwy.

– Z niej uczyłem się polskiego. Czytałem to tygodniami, a wujek i ciocia, którzy należeli do polskiej części rodziny, poprawiali mnie: „To się, Reinhard, czyta tak a tak” – mówi pan Franciszek – Ja dalej znam płynnie niemiecki, ale w rodzinie z czasem zanikało mówienie w tym języku. Szybko zaczęli nazywać mnie Franek zamiast Reinhard. I tak zostało – tłumaczy.

Koi mnie ta rozmowa. Pan Franciszek jest dobrym i pogodnym człowiekiem. Gra ze mną w otwarte karty. Kiedy mówi o historiach damsko-męskich, do których dochodziło po wkroczeniu Sowietów, i ja wiem, i on wie, o co chodzi, ale taktownie daje mi znak, że w tę uliczkę opowieści wolałby nie skręcać. Jest ciekawym przypadkiem: ani nie opuścił Polski, ani nie został w Gliwicach. Choć tam wrócił: na studia i później jeszcze wielokrotnie.

– Nie kusiło pana, żeby zapukać do swojego mieszkania, zobaczyć, co się z nim stało po tym, jak wyrzucili was Sowieci?

– O, byłem, byłem, ba, nie tylko ja, wnuczkom pokazałem. Dziadek tu mieszkał, poszliśmy na podwórko, tam stoi duży dom, zacny dom.

– Zapukał pan?

– Nie, co ja będę. Tyle lat minęło. Z tych mieszkańców z tamtych czasów nikt nie został, wszyscy się rozpłynęli.

28

Urban Kieslich nie widzi małego Reinharda Wentzkiego, gdy ten ucieka przez Ostropę.

Jakiś czas wcześniej siedemdziesięcioośmioletni powstaniec wychodzi przed swój dom przy Kirchstrasse, która właśnie zmienia nazwę na Kościelną. W tym momencie nadlatuje radziecki samolot, najpewniej podchodzi do lądowania na tym nieszczęsnym lotnisku. I zrzuca jedną jedyną bombę, która kiedykolwiek spadnie na Ostropę. Zrzuca nie wiadomo dlaczego. Tutaj wojna skończyła się już ponad dwa miesiące temu.

Bomba zabija jedną jedyną osobę. Urbana Kieslicha. Trafia go odłamek.

Urban Kieslich ginie 25 marca 1945 roku, a okoliczne dzieci zbiegają się, by oglądać głęboki lej.

Mój prapradziadek czekał na Polskę kilkadziesiąt lat i gdy ta właśnie miała się tutaj umościć, zabili go ci, którzy ją nieśli. Dokładnie tego dnia komunistyczny „Dziennik Zachodni" ogłasza, że niemiecki Górny Śląsk, w tym Ostropa, wraca do Polski: „Zwycięża nie hitlerowsko-faszystowski żołdak, ale sprawiedliwość dziejowa, która bagnetami narodów sprzymierzonych wyzwala podbite ludy, niosąc im WOLNOŚĆ i NIEPODLEGŁOŚĆ. […] Opolszczyzna wróciła do Macierzy"[26].

Być może dla prapradziadka miałoby znaczenie to, że w parafialnej księdze zgonów był jedną z pierwszych osób w dziejach Ostropy, których odejście odnotowano po polsku – przynajmniej częściowo. Wioskę farorz zapisuje już nie jako nazistowski Stroppendorf, ale i nie jako polską Ostropę. Nie wie, jak będzie się ona nazywać, wybiera dawny wariant niemiecki, Ostroppa. Jako zawód Urbana podaje „cieśla i pantoflorz", drugą profesję zapisując po śląsku, choć może mu się wydawać, że pisze po polsku. W rubryce *Vater / Mutter* (bo sama księga zgonów się nie zmieniła, wciąż jest niemiecka) stoi: „Żona: Johanna, rodz. Krauthakel". Na końcu pisze, w jaki sposób mój prapradziadek zginął, ale te kilka zdań formułuje po niemiecku. W przypadku kolejnego ostropskiego parafianina Johanna Różańskiego ta sama ręka tym samym atramentem wypełni tę samą rubrykę już w całości po polsku.

– Grób miał obmurowany, zwykłe stare lastryko, nie czarne, szare więcej – powie mi babcia Marysia, jego wnuczka. – Napisane imię, nazwisko, daty życia. Urban Kieslich. Stał naprzeciw wejścia do kościółka, na lewo od bramy. Obok leżała jego żona Johanna. Nagrobki zlikwidowali w latach osiemdziesiątych. Jeszcze trochę, Zbyszek, a ja tego nie będę pamiętać.

Gdybym jej o to nie spytał, to jeszcze trochę i nikt by tego nie pamiętał.

Z Martyną poszliśmy w to miejsce jesienią 2019 roku. Spotkaliśmy się z proboszczem parafii, która administruje drewnianym kościółkiem, gdzie pokoleniami przysięgali sobie miłość moi przodkowie. Pomyśleliśmy, że warto, abyśmy i my tam sobie przysięgli. Mała drewniana świątynia od stu lat jest zamknięta, otwiera się ją od wielkiego dzwonu. Proboszcz zgodził się na ślub w starym kościółku przy dawnej Kirchstrasse, ale zastrzegł:

– Samochody nie będą mogły wjechać na placyk przed kościołem.

– Dlaczego? – spytaliśmy.

– Bo dalej leżą tam ludzie, nigdy nie przeprowadzono ekshumacji.

Nagrobki zabrał ze sobą czas. To na tym placu leżą mój prapradziadek Urban Kieslich i praprababcia Johanna Kieslich, z domu Krauthakel. I na prapradziadków w dniu ślubu nie możemy najechać autem. Nie możemy, choć prapradziadek tak się asił, tak pękał z dumy, gdy jego obrotna córka sto lat temu zabrała go na samochodową przejażdżkę.

29

Else dobrze będzie wspominać majora Iwana Rudenkę. Ale nie Armię Czerwoną. Inni żołnierze w te styczniowe dni zadali bliskim Else największy ból i największe cierpienie. Największe, o niektórych nie odważę się napisać, bo krewni ofiar nie życzą sobie tego. Później ofiary będą musiały przechodzić przez ulice nazywane na cześć oprawców. Do dziś główne arterie wielu górnośląskich miast upamiętniają te dni, choć są tak zawoalowane, że umknęły uwadze dekomunizatorów: w Gliwicach to Zwycięstwa, a w Zabrzu Wolności.

Sowieci bawią w moim domu jakiś czas. Być może to właśnie wtedy lokator z góry, rzeźnik Frank, donosi na moją babcię, że zamurowała samochód. Pojazd zostaje zarekwirowany. Else miała dwa samochody, podzieliły się nimi dwa najgorsze totalitaryzmy, które w XX wieku nawiedziły Europę.

Wynosząc się z naszego domu, krasnoarmiejcy zabierają, co się da. Nawet dywany. Zawsze się zastanawiałem, co ci żołnierze robili później z tymi wszystkimi rowerami, dywanami, żyrandolami. Czy komukolwiek udało się dotargać je do oddalonych o tysiące kilometrów Kałmucji, Kirgistanu, Jakucji?

Z archiwów odtwarzam dalszy szlak majora Rudenki. W lutym rusza na zachód, zdobywa Grodków, w marcu Koźle, następnie jego jednostka skręca na południe, przekracza przedwojenną granicę niemiecko-czechosłowacką i zbliża się do Opawy. Celem jest Praga, tam skończy się szlak bojowy, a żołnierze z żyrandolami wrócą do domów.

W podmoskiewskim archiwum ministerstwa obrony leży dokument: „Między 24 i 26 kwietnia 1945 roku, dowodząc samodzielnym oddziałem zmotoryzowanym na przyczółku rzeki Opawy w okolicach Kravaře, dał dowód swojej wyjątkowej nieustraszoności, męstwa i odwagi. Hardo, zdecydowanie atakując przeciwnika, znakomicie manewrując oddziałem na polu boju, zadał ciężkie straty, niszcząc żywą siłę i sprzęt, udanie wypełnił postawione przed nim zadania. 26.4.45 roku podczas wykonywania rozkazu bojowego zginął bohaterską śmiercią”[27].

Iwan Rudenko walczył z Rzeszą 1404 dni. Umarł cztery dni przed Adolfem Hitlerem. Gdy wojna od dawna była już rozstrzygnięta.

Szczątki majora Rudenki peregrynują po okolicy, aż w końcu po kilku latach wracają do Wójtowej Wsi – siedemdziesiąt kilometrów od miejsca, gdzie wyzionął ducha, kilkaset metrów od podwórka, na którym uratował mojego pradziadka. Zupełnym zbiegiem okoliczności akurat przy moim domu powstaje cmentarz żołnierzy radzieckich.

Else poszła tam kiedyś i odnalazła grób majora, który uratował życie jej męża i być może również jej własne. Do końca życia będzie odwiedzać mogiłę i zapalać znicz. Ja również tam chodzę.

W czasie wojny kapitan Armii Czerwonej Iwan Rudenko ratuje życie starszemu szeregowemu Wehrmachtu Johannowi Hajokowi, który walczył, aby były tu Niemcy.

W czasie pokoju inny sowiecki żołnierz odbiera życie mojemu prapradziadkowi Urbanowi Kieslichowi, powstańcowi śląskiemu, członkowi Związku Polaków w Niemczech, który walczył, aby była tu Polska.

Iwan Rudenko najpierw ratuje życie niemieckiemu żołnierzowi Johannowi Hajokowi, a później zostaje zabity przez innego niemieckiego żołnierza.

30

Nowe władze odniemczają Reinharda Wentzkiego, a wraz z nim cały Śląsk. Dla nich piastowska ziemia pokryła się nieprzyjemnym niemieckim syfem, ale wystarczy go strzepnąć, aby wychynęła polskość. Piastowscy książęta, Henryk Brzuchaty, Mieszko Plątonogi, Bolesław Rogatka, są dla polonizatorów bardziej realni niż wszystko to, co wydarzyło się tutaj przez ostatnie kilkaset lat. To, co wydarzyło się od czasów Kazimierza Wielkiego, to gazy dziejów, Śląsk starczy wywietrzyć, przeluftować.

Weryfikuje się zdatność Ślązaków do bycia Polakami. Komisja, przed którą stają mieszkańcy przedwojennej rejencji opolskiej, określa, do jakiego narodu należą. Należy skwapliwie przyjrzeć się każdemu, zdecydować, kto jest piastowski, kogo da się odratować, kogo należy się pozbyć. Teraz jest tu miejsce na jeden naród, jeden język, jedną pamięć.

O to, jak wyglądała weryfikacja w Gliwicach, pytam Bogusława Tracza. To miejscowy historyk, autor formacyjnej dla mnie książki *Rok ostatni – rok pierwszy. Gliwice 1945*.

– Wiele zależało od komisji. Starano się, by zasiadali w nich i miejscowi, i napływowi. Ci, którzy mieszkali przed wojną na Śląsku, dobrze orientowali się w lokalnych realiach i wtedy stawiający się przed komisją był w lepszej sytuacji. Członkowie, którzy przyjechali na Śląsk w 1945 roku, najczęściej nie mieli pojęcia o specyfice regionu. Stąd jeśli w komisji nie było nikogo miejscowego, mogło się to źle skończyć. Dla nich Ślązak często był, i to do dziś w Polsce czasami pokutuje, niemal Niemcem. Należy pamiętać, że ówczesna śląszczyzna nie była taka jak dziś w Radiu Katowice. Była najeżona germanizmami, zwłaszcza język fachowy. Pana prapradziadek, spotkawszy się z weryfikatorem spoza Śląska, mógł zostać uznany za element wrogi, Niemca, nawet jeśli sam się za niego nie uważał – mówi Tracz.

Stawiając się przed komisją, należało zadeklarować lojalność wobec państwa polskiego oraz powiedzieć coś po polsku. Często wystarczyło *Ojcze nasz*. Tracz mówi mi, że większość ludzi dostawała pozwolenie na pozostanie, władze nie chciały pozbyć się wszystkich mieszkańców.

Na przedwojennym niemieckim Górnym Śląsku weryfikacja objęła około ośmiuset pięćdziesięciu tysięcy osób. W tym Hansa i Else. Otrzymali pozwolenie na pozostanie. Prababcia przezornie zachowała zaświadczenie o swojej polskości, które do dziś leży w szufladzie. Wystawiono je 9 maja 1945 roku. Nazajutrz po kapitulacji III Rzeszy. Dokument sporządzono po polsku i rosyjsku, a na dole umieszczono złowróżbne zastrzeżenie: „Zaświadczenie niniejsze ma charakter tymczasowy i może być w każdej chwili unieważnione”.

Moi bliscy muszą zrzucić swoje dotychczasowe tożsamości. Nazwisko Hajok jeszcze uchodzi, ale imiona już nie. Elisabeth staje się Elżbietą, Johann Janem, Reinhold Ryszardem, Lieselotte Leokadią Jadwigą, a Christian Krystianem. Pół biedy, jak Johann zostawał Janem czy Elisabeth Elżbietą. Ale Reinhold Ryszardem? Lieselotte Leokadią Jadwigą? To zupełnie co innego.

Do końca 1948 roku zmiana imion i nazwisk objęła na Górnym Śląsku blisko trzysta tysięcy osób. Człowiek mógł tracić nazwisko kilkakrotnie. Na przykład pani Michałek, której nazwisko naziści zmienili na Michaels, a potem po wojnie polonizator spolszczył, ale nie na powrót na Michałek, ale na Michałków – sam przyjechał ze wschodu i Michałków brzmiało mu bardziej polsko.

Dzieje się to, gdyż muszą zniknąć wszystkie ślady świadczące o tym, że kiedykolwiek były tu Niemcy. Trwa wielkie ukrywanie. Latami władza walczyć będzie z każdym niemieckim słowem. Latami krążyć będą komisje, które sprawdzą wszystko: napis na termometrze w szpitalu, na wadze w sklepie, podstawce do piwa w szynku, garnku w domu, widelcu i łyżce.

Oraz książki. Nadchodzi książkocyd. Bernard Linek w *Polityce antyniemieckiej na Górnym Śląsku w latach 1945–1950* podaje, że do powszechnego obiegu dopuszczono istnienie tylko kilkunastu niemieckich autorów, takich jak Thomas Mann czy Erich Maria Remarque. Niszczy się morze, ba, ocean książek. Wiele osób już nigdy nie będzie mogło żadnej legalnie przeczytać, bo zbyt słabo zna polski. Jednocześnie władze są wyrozumiałe dla siebie. W domu znajduję powojenny urzędowy wyciąg z księgi budynkowej, gęsto zadrukowany zakazanym pismem niemieckim, a u góry na maszynie dopisane po polsku: „Uwaga: Ze względów oszczędnościowych używa się aż do wyczerpania zapasów druków niemieckich”.

Elżbieta i Jan chowają wyklęte przedmioty do dużej walizki, a tę na strychu, na którym ja pół wieku później będę wywieszał pranie. Walizka przeleży tam kilkadziesiąt lat. Dopiero w latach osiemdziesiątych moja babcia zauważy w Desie jakiś przedmiot z niemieckim napisem. Powie wtedy do dziadka: „Chyba już można”. Zniosą walizkę ze strychu, na meblościance ustawią porcelanowe pojemniki na klamory z napisami *Gewürz*, *Zucker*, *Salz*. W jednym z nich znajdę pewnego razu dziewiętnastowieczną monetę z cesarzem Wilhelmem II.

Zniknąć muszą nawet mogiły. Na cmentarzu w Wójtowej Wsi znajduję raptem kilka grobów, na których ktoś przeoczył „niemieckie” imiona i nazwiska czy groźnie łypiące *geb*. W rogu naszego ogrodu, przy kompoście, od dziesiątek lat leży kamienna płyta. Nigdy nie zwracałem na nią szczególnej uwagi, aż parę lat temu babcia powiedziała mi, że to płyta nagrobna, którą kiedyś przyniósł jej brat Krystian. Był grabarzem, po coś była mu potrzebna. Większość treści dokładnie skuto. Skuto nawet część cyfr, w dwóch miejscach został rok 1888. Na górze uchował się tylko ślad po trzech zdaniach, pewnie modlitwie. Niżej były dwa imiona: jedno przeszło weryfikację grabarza, brzmi „Mariana”, drugie musiało ustąpić pod naporem nowych czasów (Wilhelm? Franz?). Nazwisko „Kucias” zostało, to stare nazwisko z Wójtowej Wsi. Na polach za nieparzystymi domami jest pagórek, na który mówi się „Kuciasberg”. Chyba słyszałem kiedyś nawet legendę, że jest tam pochowany jakiś powstaniec, ale może mi się zdaje.

– Jeśli pojedzie się do Stryja, Drohobycza, Lwowa, to na grobach są przecież polskie napisy. Tam po 1945 roku, poza nielicznymi przypadkami i cmentarzem Orląt Lwowskich, nikt nie przyjeżdżał spychaczem i nie niszczył wszystkiego. A na Górnym Śląsku tak było – mówi Tracz. – W Gliwicach na wszystkich cmentarzach zacierano ślady niemieckości, z premedytacją nagrobki niszczono lub je polonizowano – tłumaczy historyk.

Okaleczają okaleczeni. Tacy jak Andrzej Ziemilski, późniejszy ceniony socjolog i dziennikarz. Przeszedł przez okupację radziecką, nazistowską, powstanie warszawskie, a teraz z Gleiwitz ma uczynić Gliwice. Jest jednym z siedmiu pierwszych polskich urzędników, którzy w lutym 1945 roku wjeżdżają do miasta. Ma dwadzieścia dwa lata. Po dotarciu na miejsce w gruzach Haus Oberschlesien przy Wilhelmstrasse zobaczy jeszcze ciała

chłopców z Hitlerjugend, którzy myśleli, że uda im się odwrócić losy wojny.

Ziemilski dopiero co wyszedł z akowskiej partyzantki w Tatrach, przez całą przedwcześnie rozpoczętą dorosłość starał się przetrwać. Jest lwowiakiem, więc na domiar złego nie ma dokąd wracać.

Chodzi po mieszkaniach i znowu spotyka się z „Niemcami", ale tym razem to on jest panem. Po latach powie: „Było to przeniesienie naszych klęsk, kompleksów i upokorzeń na triumf nowej przestrzeni, na jej zdobywanie i uruchamianie […]. W pewnym sensie byłem okrutny, wstydzę się tego dzisiaj jako człowiek, ale także trochę siebie rozumiem z tamtego okresu"[28].

W niektórych mieszkaniach widzi zdjęcia mężczyzn w mundurach SS czy Wehrmachtu. Niedawno widział te same mundury na żywo i w kolorze. Gliwiczanom wyrzuca z szaf niemieckie książki, niszczy niemieckie napisy, usuwa z domów osoby takie jak młody Reinhard Wentzki z Lindenstrasse *zwei*. Ziemilski będzie wspominał: „Byliśmy wszyscy obdarci, nie mieliśmy niczego. To, co wywiozłem w czasie wojny ze Lwowa, spaliło się w czasie powstania w Warszawie. I nagle wpadliśmy w sytuację pewnego komfortu, bezpańskie rzeczy, bezpańskie lub prawie bezpańskie mieszkania. Łatwo się było ześliznąć w rabunek"[29].

Kiedyś opowiadała mi o tym profesor Dorota Simonides. Rocznik 1928, Ślązaczka z Katowic, senator kilku kadencji, badaczka górnośląskiego folkloru.

– Zanim miejscowi pojęli różnice między repatriantami ze wschodu a tymi, którzy przyszli tu kraść i szabrować mienie, zrodziła się w nich nieufność do wszystkich obcych Polaków. Bo jaka Polska tu do nich przyszła? Wielu tutejszych tak na nią czekało. Ich dziadkowie pielęgnowali polskość, jeździli na pielgrzymki do Krakowa i Częstochowy, czytali Biblię po polsku, uczyli się polskiej historii w domach, niektórzy należeli do Związku Polaków w Niemczech, a gdy wreszcie przyszli tu pierwsi Polacy, byli to szabrownicy, którzy ciągnęli zaraz za Sowietami i plądrowali domy. Potem przyszli komuniści, którzy woleli niemieckich komunistów niż polskich patriotów. Znajoma opowiadała mi, jak najpierw Sowieci zabrali jej męża, a ją z małym synkiem wywieźli do Czech, później, po powrocie, zastała rozszabrowany dom. Następnie przyszli ubecy i potrzaskali jej obraz, pamiątkę Pierwszej Komunii Świętej. Polski obraz. Wtedy miarka się przebrała. Postanowiła spowiadać się po niemiecku. Na przekór. Mimo

że znane było tu powiedzenie: „W jakim języku grzeszysz, w tym się spowiadaj”. A grzeszyli po polsku – wspominała Simonides.

31

Najpierw przez wiele lat miałem poczucie, że przedwojenne Gliwice nigdy się nie wydarzyły. Później, gdy zacząłem konstruować sobie śląską tożsamość i grzebać w rodzinnej przeszłości, stopniowo nabierałem przekonania odwrotnego: że w styczniu 1945 roku zniknął prawdziwy Górny Śląsk, że to, co mnie otacza, jest atrapą, a my wszyscy daliśmy się oszukać.

Wiele razy wpatrywałem się w zdjęcie wchodzących do śródmieścia Gleiwitz krasnoarmiejców. Ekscytowało mnie. Myślałem: choć żołnierze biegną po tej samej ulicy, to fragmenty, na które jeszcze nie nastąpili, to Niederwallstrasse, a te, po których już przeszli, zmieniły się nieodwracalnie w Dolnych Wałów. Mieli moc niszczenia światów, a ja miałem poczucie, że dzieje dzielą się na przed ich wkroczeniem do Gleiwitz i po nim.

Nie zdawałem sobie sprawy, że międzywojenna granica siedzi we mnie tak głęboko. Że noszę w sobie Czarniawkę. W Katowicach czy Chorzowie nie czułem takiej ekscytacji, ale wystarczało, bym przeszedł na „drugą stronę", do miejsc, gdzie zorganizowano apokalipsę, i byłem podniecony. Bo mnie to wszystko nie smuciło, mnie podniecało, że mam prawo do gniewania się, że dziedziczę prawo do cierpienia. Myślę, że gdyby istniał jakiś groźny i skrajny ruch, który podsycałby te nastroje, w młodości mógłbym do niego przystąpić.

Chodziłem wte i wewte, próbowałem przyłapać historię na przeoczeniu, jak głupi szukałem niemieckich napisów, które mogłyby wyzierać spod sypiących się tynków, śladów dłuta na pomniku. Łaziłem tak i skupiałem się na tych tynkach i dłutach, a mój horyzont myślowy nie sięgał chyba znacznie dalej. Trudno to wytłumaczyć, ale nawet najdrobniejszy przedmiot z 1944 roku budził we mnie ogromne emocje, a choćby najpiękniejszy z 1946 – niewielkie. Pierwszy był prawdziwy, drugi fałszywy.

Nie rozumiałem, że oba przedmioty były tak samo prawdziwe, a to ja fałszowałem rzeczywistość i fetyszyzowałem przeszłość. Chciałem wiedzieć wszystko o Elisabeth i Johannie, ale już powojenne losy Elżbiety i Jana niezbyt mnie, prawdę powiedziawszy, obchodziły. Też wydawali mi się zakłamani. Odmówiłem im prawa do życia, to, że przeżyli apokalipsę,

trochę nie pasowało do moich koncepcji. Nie widziałem ciągłości między Richtersdorfem i Wójtową Wsią, Stroppendorfem i Ostropą, mój wyobrażony górnośląski świat składał się z punktów, nie linii.

Kiedyś czytałem u historyka Ludwika Dubiela o rodach Wójtowej Wsi z 1924 roku. Podawał on, że na przestrzeni wieków gospodarstwa były tu w rękach tych samych rodzin. Wymieniał je: Kożuszkowie (31 rodzin), Jondowie (31), Lebekowie (20), Szydłowie (16), Ciupkowie (15), Dudkowie (11), Hajokowie (10), Grzbielowie (10), Kucjasowie (3), Botorowie (5), Szombierscy (9), Heryskowie (9), Grundowie (7) i Fickowie (3)[30]. Te rodziny żyją tu nadal mimo tych prawie stu lat, to moi sąsiedzi, koledzy, koleżanki. Sam jestem z nich ulepiony. I mimo tej wiedzy wydawało mi się, że dawny Górny Śląsk został wymazany jednym krokiem krasnoarmiejca i kilkoma uderzeniami dłuta. Okazało się, że i ja traktowałem przodków jak nawóz historii, bo gdy uznałem, że historia się skończyła, nie zauważyłem, że ci ludzie przetrwali jej koniec. Byłem naiwny jak polscy komuniści. Oni też uważali, że krok krasnoarmiejca i kilka uderzeń dłuta wystarczą, by wymazać Górny Śląsk z Górnego Śląska.

Aby wszystko to jakoś trzymało się kupy, tworzyłem sztywne koncepcje. Uważałem na przykład, że w moim heimacie nikt nigdy na Polskę nie czekał. To negowanie miało podkreślić późniejszą skalę gwałtu. Jednocześnie wiedziałem, że mój prapradziadek był powstańcem, a w Wójtowej Wsi i Ostropie w plebiscycie większość opowiedziała się za Polską. Znałem fakty, a i tak miałem niekiedy sprzeczne z nimi poglądy. Zaklinałem rzeczywistość, doniemczałem ten górnośląski świat na siłę, na przekór Polsce.

W tym samym czasie jeździłem po krainach na wschodzie i punktowałem nazbyt pojemne tożsamości u innych. Pisałem na przykład o litewskich Polakach, którzy potrafią łączyć sentyment do Związku Radzieckiego i Armii Czerwonej z szacunkiem dla Piłsudskiego i Armii Krajowej. Albo o Rosjanach, którym wiedza o ofiarach Gułagu nie kłóci się z szacunkiem do Stalina. Tych samych paradoksów nie widziałem jednak u siebie.

Były to w zasadzie odruchy dość banalne. Rościłem sobie prawo do odczuwania krzywdy, mimo że żadnej nie doznałem. To poczucie jakoś mnie konturowało, osadzało w górnośląskości. Było mi do czegoś potrzebne. Sam je w sobie wywołałem, w domu było go ledwie odrobinę.

Jakoś podświadomie wiedziałem, że moja górnośląska tożsamość opiera się na bardzo lichych fundamentach, więc nie było w niej miejsca na otwartość, tolerancję, ciekawość. Szlag mnie trafiał, gdy ktoś obcy wprowadzał się do mojej okolicy i rozcieńczał miejscowy żywioł. Albo kiedy stary ceglany dom pokrywał się nową elewacją czy gdy odchodziły przedwojenne roczniki. Wiedziałem, że ten świat już nie wróci, że będzie się tylko kurczyć, że jest bezpłodny i wykastrowany, i dlatego rozpaczliwie muszę trzymać się jego truchła, symboli, które nic już nie symbolizują. Dopiero później zrozumiałem, co Zbigniew Kadłubek miał na myśli, pisząc, że Górny Śląsk trzeba przeżywać, a nie przeżuwać.

Jako Polak miałem tolerancyjny i kosmopolityczny pogląd na świat. Jako Ślązak – ksenofobiczny i agresywny. Jako Polak opowiadałem, że poradzimy sobie bez narodów, że mieszanie się kultur i języków to szansa, a kurczowe trzymanie się symboli szkodzi. Jako zaś Ślązak chciałem bronić tradycyjnych wartości, miałem pietra przed obcymi, obawiałem się, że ich obyczaje rozcieńczą naszą górnośląskość. Moje poglądy zależały od narodowości. Nie tylko miałem inne zapatrywania na różne rzeczy, ale miałem też różną narodowość na różne sprawy.

32

Wojna ledwie się skończyła. Bojszowianie codziennie chodzą ku karczmie i wypatrują, czy chopy wracają z wojny.

Gdy wracają, to zawsze pociągiem, na dworzec w Nowym Bieruniu. Bojszowianie znają godziny kursowania, przyjeżdża zawsze koło trzeciej. Chopy wysiądą z pociągu, pójdą do Bojszów pieszo przez łąki, stawy, na gościniec pszczyński, tam przez most nad Gostynią i jak ktoś się na moście pokaże, to przy karczmie wszyscy patrzą. Starsi po chodzie poznają: „To jest Antek!”, „To Jonek!”.

– Mógłby pan widzieć, co sie działo przy tej karczmie, jak ujrzeli swoich. Jezus! Jaki płacz. Matki, bo żony może niy aż tak, ale matki strasznie płakały. A my, bajtle, sie przyglądali. To ile razy możesz przeżywać coś takiego? – mówi siedemdziesięcioośmioletni Alojzy Lysko.

Gdy Lysko jest małym dzieckiem, wracają zewsząd, od Andersa, z Ruslandu. Ci pierwsi wyglądają jeszcze jako tako, ci drudzy jak siedem nieszczęść i opowiadają straszne rzeczy. Potem się już będzie czekało tylko na tych drugich.

Do Wehrmachtu z Bojszów poszło ich ponad trzystu, lecz na ochotnika zgłosił się tylko Janek Kocur, bo mu się wojowanie podobało. Ujek Paweł pisał potem z Rusyi: „Ja sie nie prosił do tego wojska”. Dla wielu problemem nie było może nawet to, że akurat do Wehrmachtu, ale w ogóle, że trzeba w młodych latach iść do wojska.

I co to znaczy dla rolniczej wioski stracić na parę lat chopów.

– Ôjciec dobrze wiedzioł, że niy bydzie mioł wto ôbrobić pola. Było jich dwōch, ôn i ujek Paweł, i teroz ôba muszōm sie brać na wojna. Wiedzieli, że gospodarstwo z dnia na dziyń bydzie marnieć. A przeca niy mōgło, bo musiało dować kontingynty Hitlerowi! Beztōż żeby pole ôbrobić, matka musiała pracować ponad siły, za trzech – mówi Lysko.

Kilkuletni Lojzik Lysko chodzi ku karczmie wyczekiwać ojca: rok czterdziesty piąty, szósty, siódmy, ósmy…

Wieczorami wtula się w matkę Wichtę i płacze, prosi, żeby mu opowiadała o tacie. Umysł bajtla nie pojmuje. Jak ojciec może być na wojnie, skoro wojna się już skończyła? Dlaczego inni jego rówieśnicy, na

przykład Tyjodorek, mają już ojców? Czy tata wie, że on, Lojzik, na niego czeka?

Ojciec wyruszył na wojnę, gdy chłopiec miał pięć tygodni. Po pół roku, na przepustce, wziął go na kolana i tyle było tych ojcowych pieszczot. Lojzik nie mógł tego zapamiętać.

Niektórzy nie wracali z przepustek, ukrywali się po krewnych i w lasach. Alojzy też chciał uciec, po powrocie z przepustki miał jechać na okryty złą sławą ostfront. Ale Wichta padła na kolana i prosiła męża, żeby nie dezerterował, bo wyda w ten sposób wyrok na swojego syna, na starą matkę. Usłuchał, pojechał. W innym przypadku rodzina mogłaby pójść do obozu, który straszył kilka kilometrów od Bojszów. Auschwitz. Gdy powiało na las pszczyński, swąd był niemożebny. Esesmani na motorach przyjeżdżali i pytali: „Śmierdzi?”. „Nic nie śmierdzi!” – odpowiadali ludzie.

Lojzik z ojcem podczas wojny spotkał się jeszcze innym razem, ale tego też zapamiętać nie mógł. Na dworcu w Salzburgu na peronie stanęły obok siebie dwa pociągi. Teść August Piekorz, żona Wichta i syn niemowlę przyjechali odwiedzić Alojzego w jednostce. W tym czasie Alojzy jechał na ćwiczenia. Z pociągu zauważył teścia i przez okno zakrzyczał: „Auguście!”. Wówczas pociąg z żołnierzami zaczął powoli się toczyć. Wichta wyskoczyła szybko na peron i przez szybę pokazała Alojzemu syna. Pociąg odjechał. Nigdy więcej się nie widzieli.

– Przytulił mnie ino somsiod, dobry Augustek… Na sieroty tupało sie, jak tupie sie na bezpańskie psy. Wto na nos warknął na drodze, my uciekali, bo wiedzieli my, że żodyn nos nie obroni. Przeca ojców my niy mieli. Byli my zdani na siebie – mówi Lysko.

To nie takie proste powiedzieć: „Ktoś nie wraca”. A może jeszcze wróci? Dla czekających przy karczmie wojna wciąż trwa. Ojca mogli przecież wziąć do niewoli i zamknąć w łagrze. Może żyć gdzieś we Włoszech czy w Anglii z nową rodziną, ale pójdzie w końcu po rozum do głowy. Trzeba cierpliwie czekać, może jeszcze wróci. Lojzik po latach nazwie to udręką nadziei. Tak samo było na całym Górnym Śląsku, w Wójtowej Wsi, a także w Ostropie, gdzie Else czekała na brata Aloisa.

Wichta wołała do męża bezsilnie: „Pokaż mi się, Alojz, czy ty żyjesz, czy nie, bo chca coś jeszcze użyć tego świata”. Jak długo Penelopa może nocami pruć?

– Jak w 1947 roku wrōcił sōmsiod Antek Sosna, to było niy do uwierzinio. Ôn mioł piynciu chopcōw. Nojmłodszy był mojim kolegōm. A nojstarszy nōm krowy posoł i za to mu mama dowała mlyko i chlyb. I jak powrōcił jich ôjciec, to moja matka zaniōsła Sosnōm chlyb i pedziała: „Weź, Antek, teroz potrzebujesz”. A on ji ôdpedzioł: „Wichta, niy pokazuj mi tego, bo jak sie ciepna na tyn chlyb, to go cały zjym i umra”. Był ôkropnie brudny. Robił w tajdze, był tōm leśnōm żywicōm przyjdziōny. Wszyscy synowie klynczōm przy nogach ojca, a ôn siedzi i coś godo, niy pamiyntōm już co. Nojmłodszy dorwoł sie do kolan taty. To jo jego ôjca tyż chycił za kciuk u stopy, chciołech to samo ôdczuwać, co ôn. Trzymołech Sosny, a myślołech ô swojim ôjcu i wierził, że mōj tyż kiejś przijdzie – mówi Lysko.

Wichta chce się wydać po raz drugi, potrzebuje silnych rąk do roboty. Bez męża i brata, którzy nie wrócili z Rusyi, trudno oporządzić gospodarstwo. Alojzy Lysko zapamięta matkę z tego czasu jako kobietę, która orze. A jak zaorze, to pod wieczór ten pług musi dać na furę, żeby go na noc do domu przywieźć. Syn zapamięta, jak któryś raz matka próbuje pług załadować, ale nie umie. Więc płacze: „Co jo teraz zrobia? Bydymy tu cheba, synku, nocować”. Dobrze, że sąsiad przejeżdżał.

Chciała się wydać, jednak wydać się po raz drugi – nie taka prosta sprawa. Słyszy w kurii: „Musicie mieć rozwód z piyrszym chopem, bo jeszcze z Ruslandu wracają”. Trzeba było udowodnić, że mąż zginął. Wichta przypomniała sobie, że Alojzy był na wojnie z Józefem Sosną z Miedźnej. Sadza więc Lojzika na koło i jadą przez lasy.

Chłopczyk zapamięta pana z poowijaną głową.

– Wy mnie sie o nic niy pytejcie, bo jo niy umia ani myśleć. Jo był siedym razy ciyżko ranny na froncie.

– Niy musicie nic godać, bele pojedziecie zy mnom do sōndu i pokiwiecie gowom, że Alojz podł, że widzieliście jego śmierć.

– Jo nikaj nie pojada.

I nikaj nie pojechoł.

Wichta bierze więc biskupów na sposób. Zamiast pana Sosny przynosi im Alojzowe listy. W ostatnim mąż napisał:

„Leża w ruskim polu, w dziurze, żono, opisać niy idzie.

Jakbyś mnie teraz widziała, to byś mnie niy poznała. Od bagna jest żech parszywy jak ropucha. Myć się i golić niy ma kaj i czasu, bo nos goniom do zadku bez litości.

A teraz chca pozdrowić wszystkich w doma i wszystkich krewnych. Kochana Żono, wszystkiego nojlepszego od Pana Jezusa miłego. Zostoń z Bogiem.

A ciebie, mój Alojzku, zasyłom kusika…”

Jak się przeprawili przez Dniepr, mąż napisał jeszcze jeden list, ale już się w nim żegnał. Wiedział, że to koniec, że wojska frontu ukraińskiego, w których oddzialikiem dowodził w tym czasie Iwan Rudenko, rozniosą ich w pył.

Alojz zostaje uznany przez kurię i przez pszczyński sąd za zmarłego. Wichta może wyjść za mąż po raz drugi.

Wydaje się za wdowca Ludwika Sitkę. Złoty człowiek.

Z biegiem lat z niewoli wraca coraz mniej ludzi, a bojszowianie coraz rzadziej chodzą wypatrywać ku karczmie. Jakby ktoś pomału zakręcał kurek z chopami.

Kiedyś Alojz Lysko liczy: z około trzystu mężczyzn, którzy poszli, kilkudziesięciu wraca kalekich (bez rąk, nóg, stóp, palców, głusi, zwichrowani umysłowo), kilku umiera wnet po powrocie, jako tako zdrowych wraca około stu osiemdziesięciu.

Jeszcze jak Stalin umarł, pojawia się na moment nowa nadzieja. „Ja, teroz ich puszczom, jak ten pieron, ten dioboł zdech” – bo nikt nie mówi inaczej. I paru przychodzi, ale niewielu, i już są fest poniszczeni. Każdy powrót daje nadzieję, że wrócą następni, ale jak się słucha od tych, co przyszli, o łagrach, krowiokach i Rusach, nadzieję się traci. Cuda nie mogą wydarzać się bez końca.

Babka, matka ojca, mówi Lojzikowi: „Pamiyntoj o ojcu, bo zostołeś som, ojca miołeś dobrego, pamiyntoj o nim! Musisz sie swym życiem dzielić z ojcym. Jak ty żyjesz, to on żyje w tobie. Ty sie radujesz – on sie raduje! Ty płaczesz – on płacze!”.

Mijają lata, Ludwikowi i Wichcie rodzi się córeczka, żyją we czwórkę. Alojz wnika w nową rzeczywistość. W pięćdziesiątym drugim, może trzecim jest w kinie, puszczają *Stalingrad*. Sowieci biją Niemców, Lojzik z radości wiwatuje. W pewnym momencie – prask! Z tylnego rzędu ciotka uderza go w głowę, ruga: „Co sie, guptoku, śmiejesz! Tam ci ojca zabijajom”. On wtedy jeszcze jej nie rozumie („Myśmy byli już małymi Rusami” – wytłumaczy mi).

Potem będzie się fatalnie czuł, słysząc, co mówi się o żołnierzach Wehrmachtu. W pamiętnikach pyta ojca: „A dlaczego ty nie jesteś

partyzantem? Moi koledzy się chwalą, a ja muszę milczeć”. Pyta z żalem, ale to żal nie do ojca, tylko do historii.

W Wichcie mimo wszystko zostaje iskra nadziei. Drugiemu mężowi mówi: „Ludwik, ale jakby tak Alojz wrocił, to jo pójda do piyrszego”. Każdego roku na urodziny piyrszego męża, 2 lipca, luftuje jego łachy. Wyciąga ze szranku wszystkie garnitury, bo „jak Alojz przyjdzie, to w co sie oblecze?”. Ich syn w jednej z książek przytacza wspomnienia matki:

„Mo jich śtyry. Piyrszy z raji biera zawdy czorny, tyn ślubny, z czystej wełny. Radach do niego przytulała gymba, bo był jakiś taki delikatny, wonioł fajnymi cygaretami. Alojz dboł o tyn ancug. Nikaj sie w nim niy smykoł, beztóż niy był pokidany i sflekowany. Czyściutki, jakby dopiyro spod igły wyszeł. Jakech go luftowała, zawdy miałach przed oczami obrozek. Alojz już przyszeł z wojny i w jedna niedziela oblyko sie do tego ancuga i godo: »Tela lot mie niy było, a łon wonio jeszcze weselym…«”[31].

Syn długo miał tylko jedno zdjęcie ojca. Jak szedł front ruski, Wichta włożyła je do krauzy, słoika, i zakopała w gnoju („Bo te Ruchole pierońskie robiły rzeczy bezecne. Zabijali ludzi za fotografije”). Potem Lyskowie je odkopali, ale zdążyło się poniszczyć. Zresztą ojciec ponoć go nie lubił.

Nie ma nawet grobu ojca, nad którym mógłby zapłakać.

– Wszyscy świycili swojim na grobach, a jo niy mioł kaj świycić. A tak sie zdarzyło, że tu były dwa groby nieznane: jedyn pod lasym, a drugi niydaleko lasu, na polach. To sie godōm: Jedyn bydzie od ujka Pawła, drugi od ojca. Ale okozało sie, że niy ino jo se tak umyślił. Jak przyszło Wszystkich Świyntych, to sie nos tam gromada zebrała. „Alojz, co ty tu robisz?” „Niy mom kaj rzykać”. „A to rzykej tu, ale pamiyntej, że jo sie tym grobem opiekuja”. Bo jak w Bojszowach zginęło ponad siedymdziesiąt chopów, to gdzie ci ludzie mieli sie za nich modlić?

Alojzy Lysko zakłada rodzinę, kończy studia, blisko trzydzieści lat pracuje jako nauczyciel górnictwa. Przechodzi na emeryturę.

W 1994 roku w jego bojszowskim domu rozlega się dzwonek. U drzwi stoi Józek z Miedźnej, górnik i klarnecista górniczej kapeli.

– Pan Lysko?

– Tak.

– Zna pan kogoś w Miedźnej o nazwisku Sosna?

Lysko odpowiada mu, że Sosnów zna wielu, miał takich uczniów, pracowników, a po wojnie z matką byli u pewnego Sosny w Miedźnej, ale on już na pewno nie żyje.

– Żyje! To jest mój teść. On ciyngiym o panu godo. On pana szuko!

Następnego dnia Alojzy Lysko z żoną jadą do Miedźnej.

– Opowiedział mi wszystko, jak mój ojciec zginął. On to nosił całe życie.

Alojzy Lysko słucha historii o śmierci swego ojca.

Sowieccy lotnicy strzelali do niemieckich żołnierzy na pontonach, więc Lysko wskoczył do Dniepru, złapał się końskiego ogona czy grzywy i na koniu dotarł na drugi brzeg. Znalazł się na stepie, pustać, zimno jak pieron. Sosna opowiada, że do niektórych żołnierzy rozbitej i zdziesiątkowanej armii krasnoarmiejcy nie strzelali, tylko urządzali sobie „polowania” i rozjeżdżali ich gąsienicami czołgów. Tak zginął Alojzy, ojciec Alojzego Lyski. Sowiecki czołg dopadł go, przejechał po nogach. Józef Sosna chciał go ratować, ale sam został postrzelony i musiał szukać jakiejś drogi ucieczki. Widzieli się wtedy po raz ostatni.

W styczniu 1944 roku Lysko umiera podczas mroźnej nocy. Miesiąc przed drugimi urodzinami syna Lojzika.

Pięćdziesiąt lat później syn wraca z Miedźnej do Bojszów, żeby powiedzieć matce, że osiemdziesięciodwuletni ojciec się już nie zjawi.

– Przychodza do niej i godōm ji, co mie spotkało: „Mamo, byłech u tego Sosny z Miedźnej i wreście żech sie dowiedzioł, jak tata zginął. Czołg go przejechoł, on tam zmorz…”. „Niy godej, niy godej, tak to było?” Dwa tygodnie później matka odeszła. Pogrzebaliśmy ją w piątek. W tym samym dniu po południu patrzę: stoi ten sam młody człowiek, Józek. Zaś na schodach i ze smutkiym oznajmio: „Teść umarł”.

Józef Sosna umiera w dniu pogrzebu Wichty. Przez syna zdążył jej powiedzieć, że już nie musi czekać, że może wreszcie coś mieć z tego świata.

Alojzy Lysko nie od razu zaczął badać losy ojca i innych górnośląskich żołnierzy Wehrmachtu. Ale stale go coś do tego pchało.

Najpierw siedemnastoletniemu Alojzemu śni się babka. Budzi go straszny huk – długa szuflada wypada ni stąd, ni zowąd na podłogę. Chłopak wstaje i wśród rozsypanych papierów znajduje wypłowiały pakiecik. Były to listy, które ojciec słał z wojny. Czyta je po raz pierwszy. Drży ze wzruszenia.

Kilkanaście lat później Alojzy idzie przez las. Na leśnej drodze jest głęboka dziura, do której ktoś wrzucił śmieci. Wśród nich zawiniątko.

To frontowe listy jakiegoś mężczyzny. Alojzy układa je w kolejności i wyłania się z nich człowiek.

Potem wreszcie scena najważniejsza.

– Roz na Wszystkich Świyntych przijechali goście, kawa, ciastko. Ćmiło sie już i jo przepraszōm: „Jeszcze żech niy był na grobie taty na polach, musza tam iść…”. Mżawka, zimno, brzidki czas. Stoja pod lasym, nad żołnierskōm mogiłōm i dumōm. W jednej chwili wołōm: „Tato! Pokoż mi sie! Choć roz sie mi pokoż!”. Byłech dorosłym mężczyznōm, a zapłakołech jak dziecko. Żodyn mi sie niy pokozoł. Ale stało sie coś innego. Głosu ôjca niy słyszołech, ale wyraźnie zza mnie dobiegoł dziwny przekaz. „Jo ci to wszystko teroz ôpowiym, a ty to musisz napisać. Napisz ô mnie i ô tych wszystkich biydokach, co padli na wojnie”. Wiy pan, co to jest w jynzyku jidisz dybuk? To demōn, tropioncy całe życi, to przylgniynci umarłego do żywej osoby. Po prostu, zmarły zawładnie całym twojim życiem. Jezus, jak jo to zrozumioł, stwierdziłech, żech jest „chory na taty”. Kiedyś pewiyn profesor mie spytoł: „Alojzy, a ile ty razy dziennie o ojcu myślisz?”. Jo mu na to: „Chyba ze sto razy”. Niy chcioł uwierzyć. Jo jest opanowany przez ducha mego ojca. Za dużo żech go pragnōn za dziecka.

Lysko pisze artykuł do gazety. Bojszowianie zaczynają do niego przychodzić i mówią: „Alojz, umiesz pisać o swoim ojcu, napisz też o naszych”. Zaczyna pisać o wszystkich ojcach, walczy o pamięć. Pewnego razu z kolegą Ludwikiem idą do farorza i mówią, że chcą w kościele wmurować tablicę o ich ojcach, którzy zginęli na wojnie. Ksiądz odpowiada kategorycznie: „Żadnej polityki”.

Skoro nawet tablicy nie wolno im wmurować, to on musi jako pierwszy głośno powiedzieć „o tych ludziach ofiarach”.

Chodzi po domach i zbiera opowieści. W 1999 roku pisze pierwszą książkę o wojnie: *To byli nasi ojcowie. Legendy rodzinne z Górnego Śląska o poległych żołnierzach Wehrmachtu*.

To rozgrzewka przed znaną serią *Duchy wojny*. Jej pierwsze cztery tomy to fabularyzowana wojenna historia ojca. Odbija się głośnym echem. Tabu Wehrmachtu jest dalekie od złamania, ale coś chrzęści. W wielu górnośląskich miejscowościach ludzie też zaczynają rachować: ilu poszło, ilu przyszło, ilu było okaleczonych, ociemniałych, ile sierot, ile wdów.

Lysko nie przestanie już pisać.

– Godajōm mi ludzie: Napisałeś ô ôjcu, napisz i ô swej matce… Ale czymu mōm ino o swej matce pisać? Tych gdōw u nos było bardzo dużo.

Tak sie pojawiło *W udręce nadziei*, ô gdowach. Tom piąty. Myślołech, że to koniec, ale ludzie przisyłają mi swoji wspomnienia. Wtoś pisze: „A mój ujek, borok, żył bez nóg, ty wiysz, jaki on był liliput, malutki jak dziecia?”. Tak sie pojawiła ksiōżka ô inwalidach. Tom szōsty. Skończyłech ta książka, a tu ludzie dalej: „Dziwię ci się, tyś jest sierota, a nic o sierotach nie piszesz”. Zaczōnech rachować te siyroty: mnōstwo! I pisać. Napisołech. Tom siōdmy. A miesiōnc tymu napisołech o wywiezionych na Sybir, o tragedii górnośląskij. Tom łōsmy…

Sagę pisze po śląsku, językiem swoich bohaterów.

Od wielu lat kolejne tomy wydaje sam, przeważnie z własnych pieniędzy. Gdy szuka wydawcy, słyszy: „O, nie, takich książek tu nie wydajemy!”.

W 2005 roku Alojzy Lysko startuje w wyborach do parlamentu z list Prawa i Sprawiedliwości. Podczas kampanii wybucha bomba. Jacek Kurski twierdzi, że według „poważnych źródeł” dziadek Donalda Tuska wstąpił na ochotnika do Wehrmachtu. „Dziadek z Wehrmachtu” na stałe wchodzi do polszczyzny. Kurski robi coś, co nie udało się Lysce – nagłaśnia problem służby późniejszych polskich obywateli w hitlerowskiej armii.

Gdy wybucha afera, Lysko właśnie ma wydawać kolejną książkę o losach żołnierzy Wehrmachtu. Jako polityk jest na świeczniku, mówi: „Jak ja to teraz ujawnię, jak mnie przyuważą, to będzie druga wrzawa”. Historyk amator z Chełma Śląskiego Rafał Bula zbiera materiały, a koncepcja i teksty są Lyski. Książka *Unicestwieni przez wojnę i kłamstwo 1939–1955* ukazuje się w 2005 roku, ale próżno szukać na okładce nazwiska Lyski. Podpisany jest tylko Bula.

– Byłech w klubie Kaczyńskiego, wiym, co godoł. I myśla se: jak najszybciej uciekać z tego towarzystwa. Pan Bóg mnie wysłuchoł, skrócił kadencjo, choć jako jedyny z PiS-u głosowołech przeciwko jej skróceniu. Ludzie mie wybrali i ludzie powinni mnie odwołać, a niy wy, politykiery.

W parlamencie poznaje historyka Andrzeja Przewoźnika, który 10 kwietnia 2010 roku zginie w Smoleńsku. Przewoźnik podaje pomocną dłoń. Lysko chce odnaleźć szczątki ojca, Przewoźnik mówi mu, z kim ma się skontaktować w Niemczech.

Pan Alojzy każe mi napisać na adres, który dostał od Przewoźnika. Żebym spróbował się dowiedzieć, co spotkało Aloisa Kieslicha i czy Else na swojego brata czekała na próżno.

– Jakiś człowiek pod Kirowohradem znalazł masowy grób niemiecki, a tam wiązkę z dwudziestoma ośmioma Erkennungsmarkami.

Ukrainiec chciał odsprzedać nieśmiertelniki, jeden należał do Alojzego Lyski. Dzięki temu, że jego syn nawiązał wcześniej kontakt z zajmującą się losami żołnierzy Wehrmachtu instytucją, do której skierował go Przewoźnik, Niemcy mogli szybko zawiadomić go o znalezisku: „Otrzymaliśmy informację, że ojciec został odnaleziony we wsi Janki na Ukrainie”.

Alojzy Lysko jedzie do Kirowohradu spotkać się z ojcem. Ojciec czeka w kostnicy cmentarza w pobliskiej wsi Krupskoje. Syna wita opiekun nekropolii – to on poinformował o znalezisku.

– Wloz żech do kostnicy. Podszedł do jednego worka. Czaszka! To była czaszka mojego taty. Chciołech, żeby to była czaszka mojego taty! – mówi mi pan Alojzy.

Ojciec się znalazł, choć miał znaleźć się inaczej, miał w tym czterdziestym piątym czy najdalej szóstym wysiąść na Nowym Bieruniu koło trzeciej, pójść pieszo przez łąki, stawy, na gościniec pszczyński, tam przez most nad Gostynią. A wtedy któryś ze starszych, którzy już spod karczmy po chodzie ludzi poznawali, krzyknąłby: „To Alojz Ochmanów!”. Ojciec miał później sam zapakować pług na furę, powiedzieć Lojzikowi, żeby nie przoł Rusom na wojennym filmie, miał sam sobie te ancugi luftować.

– Widziołech tyn step. Bechnął żech na niego jak długi, objon go. Wzion żech z Bojszów krzyż i pedziołech se, że go przybija do jakigoś ukraińskigo drzewa. Alech ojca znod, tóż tyn krzyż przywioz żech nazod. Prosza sie mu przyjrzeć. A tu mom ziemia z Ukrainy. Mój ojciec tam w nij leży, nad nim ogromny głaz, na którym ciurkiem alfabetycznie lecą nazwiska tych, których zidentyfikowano. Z drugiej strony też. I gdzieś tam jest Lysko Alojzy. Mój ukochany, niyzapomniany ojciec, kierego mi zabrała wojna i zaniosła tak daleko.

33

Wkrótce po wojnie w naszym domu otwiera się lodziarnia, prowadzi ją sąsiad z czynszówki z naprzeciwka, pan Szczepański. Lodziarnia mieści się we wpuszczonym w dom garażu. W tym, w którym Else i Hans zamurowali samochód, zarekwirowany po donosie rzeźnika Franka.

Sądząc po zdjęciu, które wysłała mi ciocia Regina z Dortmundu, interes kręci się znakomicie. Na fotografii rozpoznaję zacienioną ulicę przed moim domem. Niewiele się zmieniła. Jest na niej osiem gryfnych dziewcząt w białych fartuchach, które właśnie wypchały z naszego podwórka wózki pana Szczepańskiego i suną teraz w stronę miasta, żeby sprzedawać słodkie pyszności. Na wózkach wypisane: „Lody. Cena: 5–10 zł”. Wśród dziołszek jest córka Hajoków Lodzia. Niedawno przyjęli ją do szkoły dla położnych (poszła w ślady matki) w zburzonym Wrocławiu. Przyjęli pod jednym wszak warunkiem: komisja kazała jej obiecać, że nauczy się języka polskiego i nigdy więcej nie będzie szprechać. Lodzia słowa nie dotrzyma.

Dziewczyny z lodziarni pana Szczepańskiego w Wójtowej Wsi, druga połowa lat 40.
Źródło: archiwum rodzinne autora

Na początku 1946 roku rodzi się moja babcia, otrzymuje imię Marysia. Rodzina Hajoków się powiększa. Gdy Elżbieta idzie do porodu, wózek z moją babcią zostawia na podwórku, wśród miłośników słodkich maszketów.

Babcia powie mi po latach, że chowała się na lodach. Po kilku latach pan Szczepański zamyka lodziarnię w Wójtowej Wsi, a po kilkunastu nielegalnie ucieka do Niemiec. Zostanie po nim drewniana szopa, którą postawił w naszym ogrodzie, by mieć gdzie trzymać bambetle. Bawiłem się przy niej pół dzieciństwa, a dziś dziadek trzyma tam samochód.

Czasy tuż po wojnie nie są sielskie. Jan długo nie może znaleźć pracy. Tu pomoże na cmentarzu, tam sąsiadom, ale w pierwszych spsiałych powojennych latach ludzie na ogół nie zapłacą niczym lepszym jak jajkami czy mlekiem. Babcia powie mi, że nie chciano go zatrudnić, bo był miejscowy. Gdy w końcu znajduje stałą pracę, spotyka go to, co w tym czasie spotyka wielu Ślązaków: szykany, szczucie. Kiedy tylko w zakładzie coś się zepsuje, w pierwszej kolejności właśnie takich jak on oskarża się o sabotaż („faszyści”, „szwaby”, „hitlerowskie świnie”).

U wielu to, co dzieje się tu w pierwszych powojennych latach, rodzi poczucie odtrącenia. Rozczarowują się Polską i coraz mocniej grawitują ku niemieckości. Z punktu widzenia Ślązaków, przedwojennych obywateli Rzeszy, polska rzeczywistość lat 1945–1956 jest bardziej dotkliwa niż niemiecka lat 1933–1945. Wiele razy usłyszę, że Polska Ludowa zniechęciła ich do polskości skuteczniej, niż zrobili to Bismarck i Hitler. Potem będzie się o Ślązakach mówić, że są jak koszula, którą w zależności od sytuacji można ubrać bądź na lewą, bądź na prawą stronę i stawać się raz Polakiem, raz Niemcem. Ale lepiej takich jak oni opisał Alzatczyk René Schickele: „Moje serce jest zbyt duże dla jednej ojczyzny, ale za małe dla dwóch”.

Obrotowości nauczyła ich historia. Weźmy moich krewnych z Rybnika: za cesarstwa robiono z nich Niemców, w międzywojniu Polaków, za Hitlera Niemców, za komuny znowu Polaków, a gdy część wyjechała po wojnie do RFN, ponownie zanurzyli się w niemieckości. Wszystko w ciągu kilkudziesięciu lat. Ślązacy byli wciąż narodowo rozregulowywani.

Poczucie, że jest się pomiatanym przez historię, uczy ich też ostrożności. Część po czterdziestym piątym obawia się przyjąć polskie obywatelstwo lub wstąpić do polskich organizacji, bo pamięta, jak wysoką cenę przyszło zapłacić za członkostwo w organizacjach niemieckich. Starsi młodszym

w niejednym domu do dziś radzą tu, żeby lepiej się w nic nie angażować, bo to nigdy na dobre nie wyszło. Znajomy opowiadał mi, że gdy kilkanaście lat temu wstępował do Ruchu Autonomii Śląska, z Niemiec specjalnie przyjechał brat jego babci z ostrzeżeniem: „Górnoślązacy niech lepiej unikają polityki, do niczego się, synek, nie zapisuj”.

Plotki o ponownym przesunięciu granic będą krążyły jeszcze co najmniej pół wieku od zakończenia wojny. Wielu będzie mówiło: „Nasi jeszcze przyjdą. Słyszałam w Wolnej Europie, że już idą”. Czeka na to nie tylko część autochtonów, którzy chcą, aby domy, w których mieszkają, ponownie były w Niemczech. Czekają na to też kresowiacy, którzy chcą, aby domy, z których ich wyrzucono, ponownie były w Polsce, a oni w tych domach.

Nadzieje nie biorą się z sufitu. Aż do początku lat siedemdziesiątych telewizja publiczna RFN w prognozie pogody pokazuje mapę Niemiec w granicach z 1937 roku – z częścią Górnego Śląska.

34

Po pradziadku zostało mi tylko jedno powojenne zdjęcie. Jest jesień 1949 roku, pradziadek kończy pięćdziesiąt lat. Na podwórku stoi solenizant, za nim szopa pana Szczepańskiego, przed nim kosze pełne kwiatów. Ze zdjęcia bije spokój, pradziadek sprawia wrażenie, jakby nie robiło na nim szczególnego wrażenia, że zdewastowany przez wojnę świat w bólach nabiera nowych kształtów. Za oceanem powstaje NATO, na Bliskim Wschodzie mordują się Żydzi i Arabowie, Niemcy dzielą się na RFN i NRD, komuniści przejmują władzę w Chinach, wciąż niespokojnie jest w podzielonych Indiach, w Związku Radzieckim odbywa się pierwsza próba jądrowa, pół planety czeka na III wojnę światową, a pradziadek nic, tylko ufnie patrzy w obiektyw. Jesienne słońce łagodnie omiata mu twarz, drzewa zrzuciły już część listowia, przyroda karleje.

Od czasu, gdy ostatni raz widziałem pradziadka, znacznie się postarzał. Włosy się przerzedziły, twarz zmarsowiała. Ale pewnie nie tylko jemu. Miejscowi mogą mieć poczucie, że ostatnie kilka lat trwało lat kilkanaście, kilkadziesiąt.

Obok niego stoi Elżbieta. Trzydzieści lat temu podlotek Hans pisał do młódki Else list pełen czułości: „Jestem w najlepszym zdrowiu i mam nadzieję, że Ty, moja kochana, również. Pozdrawia Cię pozostający Ci wierny Twój Hans”. Ile się od tego czasu wydarzyło! Teraz obchodzą pięćdziesiąte urodziny Jana, już ostatnie, bo Jan jest w zdrowiu zupełnie złym.

Umiera kilka miesięcy później w rytmie hercklekotów. Jego serce w końcu się poddaje. Na surowym grobie, na który wciąż zaglądam, wypiszą temu mającemu „niemieckie skłonności” Ślązakowi polskie imię i graniczne daty, między którymi musiał się nażyć: 22 października 1899 – 24 marca 1950.

W trudnym powojennym czasie Elżbieta zostaje z dziećmi sama. W ciągu kilku lat pochowała córkę Ursulę, ojca Urbana, matkę Johannę, męża Johanna, dwóch braci nie wróciło z wojny. Co tu mówić o dziesiątkach sąsiadów, znajomych i dalszych krewnych, którzy zostali zgwałceni, deportowani lub zabici. Wojna i powojnie to jeden z tych wielu

momentów, gdy górnośląskie kobiety musiały wziąć sprawy we własne ręce. Patrzymy na region przez pryzmat mocarnych górników, lecz tutaj kobiety co rusz zostawały same: gdy chopy szły do Wehrmachtu, gdy ich deportowano lub gdy tych mocarzy zasypywało w kopalniach.

35

W 1947 roku kończy się główna fala przymusowych wysiedleń z Górnego Śląska do Niemiec (w sumie w latach czterdziestych wyrzucono stąd kilkaset tysięcy ludzi). Odtąd Ślązacy coraz częściej sami chcą wyjeżdżać, kara zmienia się w nagrodę.

– Jaka była pierwsza bliska ci osoba, która wyjechała? – pytam babcię.

– Róża Jeziorek. Mieszkała na piętrze u Fulczyków, tu, za płotem, była rok starsza – wspomina. – Wtedy, w pięćdziesiątych latach, jechali ci, którzy się bardziej czuli Niemcami, tak ci powiem. Później już jechali z różnych względów. Róża to była moja najlepsza koleżanka. Tęskniłam za nią. Jej ojciec przed wojną miał piekarnię na starówce, przy Raciborskiej, gdzie teraz jest lekarz. Po wojnie pracował w piekarni w Wójtowej Wsi, a gdy go zwolnili, złożył papiery o wyjazd. Jeziorkowa pięknie szyła. Wysyłali mi później z Niemiec ubrania, gdy Róża z nich wyrastała. To były pierwsze moje paczki z Efyju. Buty, sukienki, sweterki. Dosyć długo słała – opowiada babcia.

Rok później do Niemiec, czyli jak się tu mówi: Efyju czy Efu, wyjeżdża córka Elżbiety, Lodzia, która jeszcze niedawno sprzedawała lody pana Szczepańskiego. Emigruje wraz z mężem Paulem. Po śmierci Ślązaka Paula zwiąże się z Willym, stuprocentowym Niemcem z Bielefeld. W jej domu od samego początku będzie się mówiło po niemiecku – wbrew temu, co obiecała komisji, przed którą zdawała do wrocławskiej szkoły dla położnych. Jej syn to już Niemiec, nie zachował szczególnego sentymentu do Gliwic, które opuścił jako małe dziecko.

Potem przychodzi czas na syna Elżbiety Reinholda. Wyjazdu chce bardziej jego żona Róża, Reinhold po cichu liczy, że dostaną odmowę. Jest związany z matką, ze Śląskiem. Ale gdy tylko zaczynają się ubiegać o pozwolenie, w zakładzie dowiadują się o tym przełożeni i degradują go. To przelewa czarę goryczy. Pozwolenie dostają, zabierają córkę Reginę i w 1967 roku jadą. Emigrują wnuki powstańca śląskiego Urbana Kieslicha, który walczył o Polskę, a po wojnie być może sam by wolał wyjechać do Niemiec. Aż do Zgorzelca pociągiem z Reinholdem jedzie Marysia, żeby

zabrać z powrotem rzeczy, których celnicy nie pozwolą wywieźć. Tam żegna się z bratem.

Co jakiś czas władze uchylają nieco żelazną kurtynę i wypuszczają kolejne transze Ślązaków. To dla komunistów wentyl bezpieczeństwa: im człowiek aktywniejszy, tym chętniej się go pozbywają. Do Enerdówka jedzie niewielu, większość do Efu. Za komuny do RFN wyemigruje około miliona Ślązaków. To trzy Islandie. Motywacji będzie cała gama, jak za powstań. Nieraz dostają bilet w jedną stronę i kilka dni na spakowanie i wyjazd, zostawiają za sobą majątek życia.

Za komuny wyjechać mogą tylko wybrani. Tysiące rodzin bezskutecznie ubiega się o pozwolenie. Ciotka Dorota od trzydziestu lat mieszka w Niemczech, ale przez lata przychodziła tak do mojej babci i mówiła: „Nie jadę, znowu mi dali *Absage*”. Gdyby nie dawali absagów, wyjechałoby jeszcze więcej Ślązaków.

36

Kilka lat po tym, jak moja babcia traci swoją najlepszą koleżankę Różę Jeziorek, paręset kilometrów dalej ważną decyzję podejmuje mój przyszły dziadek – nastoletni Adam Błażejowski.

Była czwórka braci. Od najstarszego: Zdzichu, Adam, Józek i Staszek. Pochodzili z Jabłonnej, wioseczki na Podkarpaciu. Bieda aż piszczała. Chałupa była drewniana, bez kanalizacji, prądu, często nie było butów i chodziło się boso, nieraz burczało w brzuchach, a zimą temperatura w izbie spadała poniżej zera. Byli samowystarczalni. Kupowało się tylko cukier, mąkę, naftę do lampy i zapałki, a te ostatnie jeszcze się przepoławiało, żeby na dłużej starczyły.

Gdy w szkole pojawiło się ogłoszenie, że na Śląsku potrzeba rąk do pracy, dwóch starszych braci pojechało. Werbusi – tak się mówiło o tych, co przyjeżdżali na Śląsk do roboty. Wujek Zdzich pojechał do Tychów, mój dziadek do Gliwic. To był dla nich niewyobrażalny skok cywilizacyjny. Wiele tysięcy osób z całej Polski przez kilkadziesiąt lat postrzega Górny Śląsk jak ziemię obiecaną. Będą tu przyjeżdżać za pracą, zostaną i zsilezjanizują się. Będą tu przyjeżdżać, tak jak zawsze tu przyjeżdżano.

A jechał dziadek zabawnie. Najpierw kupił bilet na pociąg z Sędziszowa do Tarnowa, potem z Tarnowa do Krakowa, z Krakowa do Katowic i z Katowic dopiero do Gliwic. Zawsze do najbliższego miasta, które znał, choć mógł pojechać od razu z Sędziszowa do Gliwic. Ale jechał pociągiem pierwszy raz w życiu i jakoś tak wyszło. Zamieszkał w szkolnym internacie przy dawnym budynku gestapo i przy cmentarzu, na którym spoczywały doczesne szczątki majora Rudenki.

Po paru latach mój przyszły dziadek Adam kończy naukę i zaczyna pracę w kopalni w Ostropie. Z kolegami gnieździ się na stancji u położnej Elżbiety Hajok. Hajoczka ogląda sobie kolejno tych kawalerów, najbardziej do gustu przypada jej Hadom, bo tak na niego tu mówią miejscowi. Hadom nie zagląda do kieliszka, jest pracowity, ułożony. Nie podoba się on jednak Reinholdowi – starszy brat chce, żeby Maryśka wyszła za swojego, nie za gorola. Gdy Reinhold emigruje do Niemiec, prosi na sam koniec jeszcze przyjaciela Wilhelma, aby ten strzegł siostry przed Hadomem. Dziś takie

historie wydarzają się już rzadziej, ale nie zniknęły: parę lat temu moja sąsiadka musiała spotykać się z ukochanym potajemnie, ojciec nie zgadzał się na związek z nie-Ślązakiem.

Uparta Elżbieta zaczyna mimo wszystko aranżować ożenek Hadoma z Maryśką. Do ślubu dojdzie, gdy tylko Adam odsłuży dwa lata w wojsku ludowym. Jest w nim w czasie, gdy armie państw Układu Warszawskiego wkraczają do Czechosłowacji tłumić Praską Wiosnę. W jednostce zmotoryzowanej mój dziadek dojeżdża do wiosek pod Opawą. Nikt nie zwraca wówczas uwagi na to, że w ten sposób Adam Błażejowski przemierza ostatnią część drogi majora Iwana Rudenki.

Dwadzieścia trzy lata po nim.

Obaj uczestniczyli w radzieckiej operacji wojskowej.

Obaj jechali w jednostkach zmotoryzowanych na południe: z dzisiejszego polskiego Górnego Śląska na Górny Śląsk czechosłowacki.

Obaj przed wyruszeniem mieszkali w Wójtowej Wsi w domu Hajoków – rodziny, która sama ponoć przywędrowała kiedyś z dzisiejszych Czech na dzisiejszy polski Górny Śląsk.

Obaj wrócili stamtąd do Wójtowej Wsi. Adam Błażejowski, by ożenić się z Marią Hajok, Iwan Rudenko, by śnić sen wieczny na tutejszym cmentarzu.

Być może to wszystko ma jakieś znaczenie. Równie dobrze może nie mieć żadnego.

37

Kilka lat później Elżbieta jedzie do Efyju, żeby zobaczyć swoje dzieci Lodzię i Reinholda. Ma już ponad siedemdziesiąt lat.

– Strasznie ją namawiali, żeby została – opowiada mi babcia. – Dowiadywali się dla niej o rentę w Siemensie po Johannie. Sporo by dostała. Wszystkie jej koleżanki położne wyjechały. To były w większości Niemki. Widziała, ile one mają, tam położna dobrze zarabiała, tak jak tu przed wojną. Bo w Polsce dostawała jakieś siedemset złotych emerytury na dzisiejsze. Sprzedawała na targu owoce i warzywa, zmuszała ją do tego sytuacja.

Babcia Marysia z matką Else Hajok. Zdjęcie do dokumentów umożliwiających wyjazd do Niemiec po wojnie, 1958

Źródło: archiwum rodzinne autora

Ostatecznie Elżbieta wraca z Niemiec.

Wraca i dożywa swoich dni w domu, który postawiła razem z Johannem na parceli bauera Kuwaczki, jeszcze w zupełnie innym świecie. Umiera w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat, a ostatnim dzieckiem, które z nią

zostaje, jest Marysia. Marysia chowa ją na naszym cmentarzu w Wójtowej Wsi, zaraz obok grobu Johanna. Tuż przy cmentarzu stoi dom, w którym w styczniu czterdziestego piątego Else przyjmowała poród, gdy nagle musiała wszystko rzucić i biec ratować Hansa przed Sowietami.

38

Nieczęsto odbywa się na Górnym Śląsku głębsza dyskusja, na której nie pada nazwisko Michała Smolorza. Szopienickiego dziennikarza i reżysera, górnośląskiego *enfant terrible*, który w swoich rozlicznych tekstach nie pozostawiał na krajanach suchej nitki. Umarł dość młodo, kilka lat temu, lecz przed samą śmiercią zdążył opublikować *Śląsk wymyślony*. Pamiętam, że gdy zaczynałem pracę nad książką, katowicki publicysta Marcin Musiał powiedział mi, że istnieją tylko dwie pozycje o współczesnym Górnym Śląsku, których autorzy – pamiętam te słowa – „wznieśli się ponad poziom fejsbukowych sporów": *Bezbronne myśli* Zbigniewa Kadłubka, na które powołałem się na samym początku, oraz właśnie *Śląsk wymyślony*.

Ten wydany w mikrym nakładzie doktorat stawia świeżą tezę: to, co wyobrażamy sobie, myśląc o Górnym Śląsku, nie istnieje, zostało zmyślone. Górny Śląsk jest oszustwem.

Smolorz twierdzi, że „zdecydowana większość atrybutów śląskiego regionalizmu w postaciach znanych współcześnie jest wynikiem kreacji medialnej dokonanej na przestrzeni XX wieku"[32]. Kolejne władze – od cesarza Wilhelma przez Bolesława Bieruta po Jarosława Kaczyńskiego – miały swoje interesy, w zgodzie z nimi tworzyły obraz regionu. „I tak od blisko stu lat wymyślają nam Śląsk i przekonują, że taki właśnie był, jest i będzie, często nawet sami w to wierzą"[33].

Według autora w latach pięćdziesiątych górnośląskość była bliska zaniku. Wcześniej żywiła się zderzeniem z kulturą germańską, pasła się na dwóch narodowych łąkach, a po wojnie tej symbiozy germańsko-słowiańskiej, pozwalającej wyraziście widzieć swoją odrębność, zabrakło. Zamiast tego Ślązacy otrzymali kuszącą ofertę od socjalistycznego państwa: szybki awans społeczny bez konieczności zniemczenia się, ale za to za cenę spolszczenia. Komuniści chwalili górnośląską ludowość, proletariackość, ale miała ona dla nich wartość jedynie skansenową i propagandową. Choć powoływano zespoły ludowe i obchodzono barbórkę, nie chodziło tak naprawdę o pielęgnowanie odmienności Ślązaków, ale o rozpuszczenie jej w polskości. Zdaniem Smolorza Ślązacy

pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku wciąż mieli mocne poczucie odrębności, ale jednocześnie nie wiedzieli, na czym owa odrębność polega.

W tym momencie pojawia się Kazimierz Kutz. Na świat przyszedł w 1929 roku w robotniczych Szopienicach. To uboga powstańcza rodzina, grawitująca ku polskości. Kutz (a właściwie wówczas jeszcze Kuc – nazwisko zmieni sobie sam nieco później) jako pierwszy w familii ukończy szkołę średnią. Na tym nie poprzestaje. Nie trafia do kopalni czy do huty jak inni szopieniczanie, ale korzysta z oferty nowego systemu. Wybiera łódzką Filmówkę (chciał na polonistykę, ale jego polski był zbyt słaby), wyjeżdża, do domu będzie wracał rzadko. Górny Śląsk nazywa „zmuzułmanionym", „ohydnym", stara się wyzbyć śląskich naleciałości, wykorzenić.

Kręci filmy, odnosi sukcesy, wnika w warszawski światek. Przyzna potem: „Jak na Ślązaka strasznie lubiłem żyć". Jest towarzyski, lubiany, nie wylewa za kołnierz. Zabawa robi się coraz lepsza. Mówi potem: „Jeszcze chwila, a rozbiję sobie mordę o swoje *dolce vita*". W końcu w 1967 roku przyjeżdża po niego do Warszawy brat Henryk i każe mu wracać do domu. Kutz wraca.

Najpewniej, gdyby został w Warszawie, byłby jednym z iluś tam utalentowanych. Dopiero na Górnym Śląsku rozwija skrzydła. Rodzi się Kutz, jakiego znamy.

Przystępuje do pracy. W 1969 roku powstaje pierwsza część tryptyku górnośląskiego: *Sól ziemi czarnej*. Opowiada o klanie Basistów i ich walce o przyłączenie regionu do Polski w dobie powstań. Dwa lata później kolejny strzał: *Perła w koronie*, tym razem o strajku górniczym w międzywojennej Polsce i rozczarowaniu nową ojczyzną. Kilka lat później będą jeszcze *Paciorki jednego różańca* o emerytowanym górniku, który w latach siedemdziesiątych walczy, by nie burzono jego domu i nie przenoszono go do bloku. Tematykę górnośląską Kutz eksploatować będzie jeszcze przez wiele lat, opowiadając o II wojnie światowej czy pacyfikacji kopalni Wujek.

Kutz wobec Ślązaków zawsze jest krytyczny. Twierdzi, że są dupowaci, poddańczy, byle jacy. Zupełnie inny ich obraz przedstawia w filmach. Kutzowscy Ślązacy są w nich bitni, czyści, pracowici, wierni tradycji. Właśnie tacy, jakimi Kutz chciałby, aby byli naprawdę. Reżyser wyzna później, że chciał ich dowartościować i pokazać piękną stronę. Nieco pomijając przy tym tę brzydszą.

To ziarno znakomicie przyjmuje się na wyjałowionej glebie końca lat sześćdziesiątych, o której pisał Smolorz: „Ślązacy, kiedyś pełni kompleksów i małości, przez stulecia żyjący z jedynym pragnieniem trwania, w końcu uwierzyli, iż są najpiękniejszą społecznością w tej części Europy. Że są pracowici, religijni, czyści, wykrochmaleni, po prostu porządni i przyzwoici. Że spędzali stulecia w heroicznych zmaganiach o Polskę. […] A w końcu, że ich kawałek świata nie ma sobie równych, zaś w hałdach i czerwonych murach zaklęte jest niespożyte piękno. […] Filmowy świat stawał się coraz bardziej realny, ludzie na Śląsku zaczęli żyć wedle jego wyobrażeń i uwierzyli, iż tacy byli od zawsze”[34].

Polska za sprawą niezwykle sugestywnych obrazów Kutza zachwyca się Górnym Śląskiem. Aleksandra Klich napisze w biografii reżysera, że tak jak ojciec Kutza przyłączył region do Polski fizycznie, tak Kutz przyłącza go duchowo. Polacy po raz pierwszy tak bardzo interesują się Górnym Śląskiem.

Krzysztof Zanussi: „Po śląskich filmach Kutza wszyscy chcą być Ślązakami”.

Adam Michnik: „Zawsze podejrzewałem, iż takiego Śląska nie ma, że Kaziu go po prostu wymyślił”.

Kutz tworzy mitologię Górnego Śląska, jest dziejotwórcą. Kutzowski Ślązak musi być robotnikiem, mieszkać wśród hałd i kominów, marzyć o Polsce, musi walczyć z niemieckim okupantem i być nieskazitelny. To jego wizja regionu, silnie bazująca na doświadczeniach jego propolskiej rodziny z serca okręgu przemysłowego, a przez to wyrywkowa, niekompletna. Inna rzecz, że jego wizja regionu na ogół pokrywa się z wizją władz i z błogosławieństwem tychże jest propagowana.

Po 1989 roku nawet samemu Kutzowi – twierdzi Smolorz – nie udało się obalić tych kutzowskich mitów. Zabawne, że te wyobrażenia, choć w dużej mierze mityczne, najbliższe prawdy były w jego rodzinnych Szopienicach. Szopienice są pierwowzorem dzisiejszych wyobrażeń o Górnym Śląsku. Szopienicka kopalnia stała się dla Górnego Śląska tym, czym hospoda na Žižkovie dla Czech, Czukotka z białymi niedźwiedziami dla Rosji czy kongijska dżungla dla Afryki.

Zdaniem Smolorza wpływ Kutza na miejscowych był tak silny, że Kutz chwalący nieustannie dwóch polityków – Korfantego i Ziętka – istotnie przyczynił się do tego, iż w 2000 roku w plebiscycie „Wyborczej” na -

Ślązaka XX wieku Korfanty zajął pierwsze, a Ziętek drugie miejsce. Demiurg Kutz zamknął zaś podium jako pierwszy wśród żywych.

Z filmów, a zwłaszcza z publicystyki Kutza wyłania się spójna narracja o regionie. Według niego Polska porzuciła Górny Śląsk setki lat temu, ale u progu XX wieku Ślązacy chwycili za broń, by powrócić do macierzy. W międzywojniu jednak – choć stali na wyższym niż pozostała część II Rzeczypospolitej poziomie cywilizacyjnym – dostali po dupie i rozczarowali się nową ojczyzną: kapitał pozostał w rękach niemieckich, Polacy ich polonizowali, skazywali na los proletariuszy i traktowali region jak wewnętrzną kolonię. Potem wojna, Wehrmacht, volkslista i wreszcie PRL, gdzie Ślązakom przyprawiono gębę nazistów, wysyłano ich na Syberię lub więziono w obozach koncentracyjnych, a przede wszystkim kazano siedzieć cicho i pracować, traktowano jak dojną krowę. Górny Śląsk zawsze się łupiło, zawsze był ciałem obcym – nieważne czy w Niemczech, czy w Polsce. Lata upokorzeń odebrały Ślązakom siłę, którą reżyser starał się przywrócić filmami.

Kutz tworzył mitologię, którą starał się później podważyć Smolorz. Ale Smolorz również pisał swoją mitologię, a ja, punktując Smolorza, piszę własną. I nie potrafię od tego uciec, być może tak musi być. Nie piszę książki o Górnym Śląsku takim, jaki jest, kieruję reflektory na jedne wątki, ledwo zauważam inne, o pozostałych nawet nie wspomnę. I gdy o tym myślę, czuję z jednej strony bezsilność, bo jakkolwiek bym się starał, nigdy nie będę obiektywny, a z drugiej – czuję satysfakcję z mocy kreowania światów.

Mogę napisać na przykład tak. Do 1740 roku Śląsk należał do Austrii. Wówczas wybuchają wojny śląskie, Prusy ostrzyły sobie zęby na bogate prowincje regionu. Uruchamia się system sojuszy, wojny śląskie rozlewają się na cały świat – walki toczą się od Indii, przez Europę po Amerykę. Niektórzy pod względem zasięgu uznają ten konflikt za pierwszą wojnę na skalę światową. Za łby biorą się między innymi Brytyjczycy z Francuzami w Ameryce Północnej, w której oba mocarstwa od dawna rywalizowały o dominację. Wygrywają ostatecznie ci pierwsi, tak rodzi się Imperium Brytyjskie. Dotychczas kontrolowana przez Francuzów północ kontynentu, dziś nazywana Kanadą, zostaje przejęta przez Brytyjczyków.

Nadchodzi rok 1763, walki rozstrzygają się również w Europie. Berlin zagarnia niemal cały Śląsk i utraci go ostatecznie dopiero w 1945 roku.

Kończą się wojny śląskie, ale koło zamachowe historii, które Śląsk wprawił w ruch, nie chce się już zatrzymać.

Mieszkańcy brytyjskiej kolonii, dzisiejszego skrawka USA, od dawna chcieli uniezależnić się od Paryża i Londynu, ale wiedzieli, że nie zdołają stawić czoła dwóm mocarstwom. Teraz, gdy jedno imperium pokonało drugie i samo się wykrwawiło, nadarza się okazja. Kilkanaście lat po zakończeniu wojny brytyjsko-francuskiej koloniści stają do walki. W wojnie wyzwoleńczej nie chcą brać udziału ludzie dziś zwani Kanadyjczykami, natomiast ludzie dziś zwani Amerykanami zdobywają niepodległość. Jest 1783 rok, rodzą się Stany Zjednoczone.

Od teraz Brytyjczycy są zmuszeni kierować swoich skazańców do innego miejsca i szukać nowych lądów. Pięć lat później pionierski okręt z przestępcami przybija do wybrzeży Australii, gdzie Londyn zakłada pierwszą europejską kolonię.

Ta opowieść, jak na mitologię, styka się z rzeczywistością w wielu miejscach. Ślązacy mogliby twierdzić, że gdyby ich region nie był tak wspaniały, nie wybuchłaby wojna austriacko-pruska i nie powstałyby Stany Zjednoczone. Mogliby twierdzić, że gdyby nie oni, nie wybuchłaby wojna, która rozlała się na cały świat, mocno osłabiła Francję i przyczyniła się do wybuchu rewolucji francuskiej. Gdyby nie Śląsk, nie triumfowałyby ideały wolności, równości i braterstwa, nie byłoby praw człowieka, nie rozpocząłby się XIX wiek. Marszałek województwa śląskiego mógłby kokieteryjnie przeprosić świat za wojny napoleońskie lub rdzenną ludność Tasmanii za to, że wytępili ją kolonizatorzy. I tak dalej.

39

Wkrótce po sukcesach *Soli* i *Perły* katowickie władze przechodzą do kontrnatarcia. W Polsce Ludowej jak ognia unika się wszelkiej *heimatliteratur*, „bońskich kresymentalistów", którzy wspominają swoją przeszłość na dawnych niemieckich kresach wschodnich i samym swoim istnieniem podważają odwieczną polskość Śląska. Tymczasem w Katowicach po polsku i w oficjalnym obiegu (lekko tylko uszczuplona o passusy o wkroczeniu Sowietów w 1945 roku) ukazuje się książka zachodnioniemieckiego pisarza Horsta Eckerta *Cholonek, czyli dobry Pan Bóg z gliny*. Eckert – pseudonim Janosch – opisuje w niej swoje dzieciństwo w niemieckim Hindenburgu, dzisiejszym Zabrzu.

Według Smolorza Eckert miał być odtrutką na Kutza. Komuniści chcą, by *Cholonek* stał się przeciwciałem wytworzonym przez proletariacki układ odpornościowy Ślązaków. Nie mogą dopuścić, by autochtoni uwierzyli w kutzowskie brednie o śląskim bohaterstwie i godności. Trochę mogą wierzyć, ale nie nazbyt.

Janosch jest jak znalazł. On się nie roztkliwia. On – choć z troską – kpi ze swojego heimatu. Jego niemieccy bohaterowie na ogół są dwulicowi, ledwo dyszą, biedują w nieludzkich warunkach i śmierdzą im nogi. Ich świat cuchnie kapustą, uryną i kleistym stolcem.

Odmalowaną przez Janoscha komiczną rzeczywistość niemieckiego Hindenburga wypełniają nie waleczni powstańcy, ale pluskwy wygrzebujące się z kałuż sznapsa i obłe biusty rozlewające się po parapetach brudnych od węglowego pyłu. To wyśmiane piekło. Świątkowa specyfikiem Sprühfix psika kozie pod ogon, żeby kozioł chciał ją pokryć. Później umizguje się do swojego zięcia, szarmanckiego nazisty, aby ten zaaplikował jej lewatywę prosto w odbyt. Wariat Gryzok zajmuje się pocieszaniem konających i je zepsute śledzie. Hübner na dancingu podgląda dziołchy w haźlu, a nocami mężczyznom w familoku nie chce się iść do wygódki na plac, więc wyciepują ciuliki z kalesonów i sikają do zlewu na piętrze. Stanik po pijaku daje dziecku na imię Adolf, bo krąży plotka, że ludzie z takim imieniem niedługo nie będą musieli pracować.

Poderwa przy obiedzie rąbie żonę butem w łeb, a potem mu jej żal, bo od tego czasu żona się jąka.

Eckert i Kutz są dwiema połówkami tego samego jabłka.

Są rówieśnikami, obaj rodzą się tuż przed dojściem Hitlera do władzy. To roczniki 1931 i 1929.

Dorastają dwadzieścia kilometrów od siebie. Pierwszy po niemieckiej stronie górnośląskiej granicy, drugi – po polskiej.

Pierwszy w rodzinie grawitującej ku niemieckości, drugi – ku polskości.

W tym samym czasie tworzą swoje górnośląskie dzieła: Kutz w 1969 roku kręci rozpoczynającą tryptyk śląski *Sól ziemi czarnej*, w 1970 Eckert pisze autobiograficznego *Cholonka*.

Plan katowickich władz (o ile Smolorz i Kutz mają rację i plan taki istniał) spala jednak na panewce. Kutz powie po latach w „Wyborczej”: „Grudzień[1] zgodził się na wydanie *Cholonka*, bo myślał, że ośmiesza Ślązaków, że da partii alibi, dlaczego trzeba nas trzymać za mordę. Tymczasem te partyjne aparatczyki w swojej nonszalancji popełniły wielki błąd i zrobiły nam świetny prezent. To rzetelny zapis tej dziwnej śląskości”[35].

Cholonek, zamiast być paszkwilem, doczekuje się kilku wydań i na stałe mości się w górnośląskim kanonie literatury powojennej. Po latach Kutz powie, że jego i Eckerta widzenie Górnego Śląska niewiele się w sumie różni. Kutz obserwuje Ślązaków w przełomowych, historycznych momentach, Eckert – gdy ejakulują po kątach. Ci dwaj przesadzacze i mitotwórcy miło się ze sobą rymują, jeden wyolbrzymia górnośląską wielkość, drugi małość, obaj się mylą i obaj mają rację.

40

Po zakończeniu weryfikacji i wysiedleń Polska oficjalnie jest wolna od Niemców, a nieoficjalnie pozostawia się kilkadziesiąt tysięcy niezbędnych fachowców, żeby nie stanęły huty i kopalnie. Początkowo są bezpaństwowcami, ale ich sytuacja zmienia się pod koniec lat czterdziestych, gdy powstaje Enerdówek. Podział Niemiec każe polskim komunistom odejść od paradygmatu, że wszyscy Niemcy są ścierwem. Teraz będą dobrzy Niemcy w NRD i źli w RFN. Władze zgadzają się na niemieckie szkoły, msze, gazety. Zgadzają się na Niemców.

Ale według polskich władz nie każdy Niemiec to Niemiec. O ile oficjalnie potwierdzają obecność Niemców na Pomorzu i na Dolnym Śląsku, o tyle nigdy nie zrobią tego na Górnym Śląsku – w jedynym regionie, w którym w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, a nawet osiemdziesiątych rzeczywiście sporo osób mówiło po niemiecku, czytało po niemiecku czy jakoś poczuwało się do niemieckości. I tylko tu nie można było uczyć się w liceum niemieckiego (w całym województwie katowickim istniała tylko jedna szkoła z lekcjami tego języka).

W 1956 roku w Komitecie Wojewódzkim PZPR w Opolu głośno mówi się nawet o powołaniu instytucji mniejszości niemieckiej w regionie, pisze o tym „Trybuna Opolska”, ale pomysł raz na zawsze upada po protestach międzywojennych działaczy polonijnych – ostrzegają, że wówczas do mniejszości mógłby zapisać się milion tych piastowskich Ślązaków. Totalitaryzujące państwo nie może sobie pozwolić na takie fanaberie.

Sebastian Rosenbaum to historyk z Instytutu Pamięci Narodowej, bytomianin, rocznik siedemdziesiąty czwarty. Równy chłop, prędko się orientuję, że nadajemy na podobnych falach, odbędziemy jeszcze wiele rozmów, ale pierwsza potoczy się zupełnie inaczej, niż sobie zaplanowałem. Poszedłem do niego jak do gadającej głowy, od której potrzebowałem suchych faktów. Sprawdzam po roku listę pytań i widzę na samym jej końcu opatrzone uwagą „Spytać, jeśli starczy czasu” pytanie: „Pan się czuje Niemcem?”. Rosenbaum sam zaczął o tym mówić i całe szczęście, bo to, co miało być pobocznym wątkiem rozmowy, okazało się w niej najciekawsze.

Jego praszczur, luteranin i Saksończyk Gottlieb Rosenbaum, pod koniec XVIII wieku przybywa do Tarnowskich Gór. Wraz z braćmi Johannem Friedrichem i Wilhelmem Augustem oraz kilkudziesięcioma innymi specjalistami ma doglądać świeżo uruchomionej kopalni. Górny Śląsk wkracza właśnie w epokę przemysłową, która zacznie tąpać dopiero, gdy będę mały. Rosenbaum opowiada:

Jako dzieci żyliśmy za komuny w dwóch równoległych światach, które nie miały punktów wspólnych. I większość z nas nie potrafiła sobie z tym poradzić. W domu w szufladach mieliśmy niemieckość, leżały tam fotografie krewnych w mundurach Wehrmachtu, a na geburstagach starsi wspominali wojnę w niemieckiej armii. Słuchaliśmy tego, patrzyliśmy na zdjęcia i wiedzieliśmy, że coś tu nie gra. Znaliśmy niemieckie szlagiery, czytaliśmy niemieckie książki, rodzice i sąsiedzi nierzadko rozmawiali ze sobą w tym języku. Teraz powietrze nie jest tu już tak przesiąknięte niemieckością, ale wtedy było bardzo. Żyliśmy w ich wyobrażonym świecie i, jak by to powiedzieć… do Niemiec mieliśmy naturalną skłonność. Wszyscy tu. A szczególnie, my, Niemcy. Rodzice w domu nas nie ideologizowali, bali się, ale jednak ta niemieckość była obecna. Bezpieczniej było powiedzieć, że jesteśmy Ślązakami, a na pytanie, czy Ślązoki to Poloki, zaczynało się kręcenie: „No, nie tak blank”.

A później szliśmy wszyscy do drugiego świata, do szkoły, i tam śpiewaliśmy *Rotę*, o złym Niemcu. Ale my po prostu odrzucaliśmy państwo i jego instytucje, pod każdym względem. Wszyscy wiedzieli, dokąd wywożono w czterdziestym piątym. Nasza dzielnica liczyła pięć tysięcy ludzi, a wywieziono siedmiuset. Wszystkich chłopów, którzy akurat nie byli w Wehrmachcie i jakoś się ruszali. A tu wychodzą nauczyciele i pierdolą o przyjaźni polsko-radzieckiej. Albo przychodzą powstańcy śląscy i mówią o walce o odwiecznie polską ziemię. Ci z nas, którzy wiedzieli, jak było, uśmiechali się tylko pod z lekka sypiącym się wąsem, wiedzieli, że to bzdury. Historii uczyła nas Górnoślązaczka, która też wszystko rozumiała. U nas, w robotniczej dzielnicy Bytomia, to był teatr z rolami do odegrania.

Patrzyłem oczami dziecka na Bytom lat osiemdziesiątych, widziałem brud i szarość, i wiedziałem, gdzie jest lepszy świat. Wielu Polaków lokowało nadzieje w mitycznej Ameryce. I nie żebym nie fascynował się Ameryką, to nie tak. Też chciałem znaleźć w garażu ET, nawalać jak Rambo w komuchów, a oglądając Indianę Jonesa, powtarzałem po nim:

Nazis, I hate them. Ale my jednak ten wymarzony świat mieliśmy bliżej, na wyciągnięcie ręki. Mieliśmy Niemcy. Dyj-dy-er zawsze uchodził za szajs, lepszy od Polski, ale szajs. A Ef! Tak mówiliśmy na RFN. Jakoś nawet ten Ef znaliśmy, każdy miał tam krewnych, oni przyjeżdżali do nas, słali paczki, zdjęcia z wakacji na Majorce czy w Wenecji, a nas krew zalewała, bo mogliśmy pojechać najwyżej do Ostrawy. Wiedzieliśmy, że świat może być inny. My do dziś wypowiadamy tu sakramentalne „Choby w Niemcach". To taki nasz greps – patrzysz na coś porządnie zrobionego, mówisz to i sprawdzasz, czy koleś kuma.

Władze potwornie bały się wtedy naszej górnośląskiej historii i tylko powtarzały, że Niemcy nie zrobili tu nic dobrego, a przecież masa ludzi tak Niemców nie odbierała. Niemiecką obecność na Śląsku miejscowi odczuwali jako coś zupełnie naturalnego, wręcz jako błogosławieństwo. Nawet dawni powstańcy mówili: „O taką Polskę żeśmy nie walczyli". Niemcy to był tu dla wszystkich pozytywny punkt odniesienia, bardziej pozytywny niż Polska.

41

Myślę później o tym, co Rosenbaum powiedział mi o swoim dzieciństwie, i zastanawiam się, jaką rolę niemieckość odegrała w moim.

Najpierw był satelita z niemieckimi kanałami. W latach dziewięćdziesiątych domy autochtonów można było rozpoznać po zawieszonych na nich czaszach, a może nie, w każdym razie ja tak to pamiętam. Jednym z moich najwcześniejszych wspomnień są rodzice sprowadzający mnie piętro niżej do dziadków, gdzie oglądałem niemieckie bajki. To działo się rano. Po południu babcia brała pilota i przełączała na *Modę na sukces*, chyba leciała na RTL-u, może na ZDF-ie. Czasem patrzyłem z nią, bo kreskówki z pierwszej połowy dnia przyzwyczaiły mnie, że telewizję można oglądać, nawet gdy nie rozumie się ani słowa. Niemcy emitowali serial z wyprzedzeniem kilkudziesięciu odcinków względem TVP, co dawało babci zasadniczą przewagę nad córką. Nieraz byłem świadkiem, gdy przy popołudniowej kawie babcia nie wytrzymywała i opowiadała, co Brooke dziś wyszprechała Ridge'owi, moją matkę trafiał jasny szlag, a mnie fascynowało to, że babcia zna przyszłość.

Gdy wyrosłem z bajek, zaczęły się skoki narciarskie i walka dobrego Małysza ze złymi Niemcami: ze Schmittem, później z Hannawaldem. Tak jak pokoleniu mojego ojca o odwiecznym antagonizmie słowiańsko-germańskim przypominali Gustlik i Hans Kloss, tak moje pokolenie utrwalało sobie tę prawdę na mamuciej w Harrachovie. Ach, co się działo, gdy czasem polska telewizja traciła sygnał i obraz znikał. Napływowi bezsilnie kipieli ze złości, a autochtoni mieli plan awaryjny, taki sam zresztą jak zwykle – zamianę Polski na Niemcy. Ja też zbiegałem do dziadków i przełączałem się na satelitę. Ale za jaką cenę! Czułem się, jakbym na wojnie rozszyfrował Enigmę i podsłuchiwał wroga. Tam panowały już odwrotne reguły, tam wpatrywałem się w tych samych fruwających skoczków, ale słuchałem opowieści bluźnierczej, tych wszystkich niezrozumiałych „wilkomen-garmisz-partenkirsien-martinszmit-martinszmit-wunderbar-fantastiś-telemark!", zanurzałem się w rzeczywistość heretycką, w której dobry Polak był zły, a źli Niemcy budzili entuzjazm niczego nierozumiejących sprawozdawców.

Sport sprawiał, że polskość i niemieckość bardziej mi się konturowały, bo na co dzień niemieckość była przezroczysta. Niemieckość krewnych i przyjaciół dziadków, ta, którą znałem, była zresztą raczej podkręconą na maksa śląskością i tak jak pokemony miały swoje kolejne ewolucje, tak w moich dziecięcych oczach Niemiec był kolejną ewolucją Ślązaka, ale ewolucją przaśną, a ścieżką dźwiękową tej śląskiej niemieckości było heimat-disco.

Do Niemiec aż do dorosłości nie pojechałem. I dobrze, bo zaburzyłoby mi to naturalny porządek rzeczy. Niemcy były bowiem krainą, z której się wyłącznie przyjeżdżało. Gdy nadchodziły święta, na okolicznych ulicach tłoczyły się audice i ople na blachach z Dortmundu, Bochum i Düsseldorfu, swoim warkotem zwiastowały rychłe przybycie zajączka na Wielkanoc lub Dzieciątka na Gwiazdkę. Ich kierowcy wytaczali się na zewnątrz i mówili o autobanach i tanksztelach, a miejscowi odpowiadali nie wiedzieć czy to po śląsku, czy po niemiecku chóralnym „ja, ja, ja".

Z tymi wciskanymi dyskretnie markami i kawowymi czekoladami Schogetten byli bardziej jak nasi aniołowie stróże niż realni ludzie. Ci zjawiający się znienacka Hatifnatowie z Zagłębia Ruhry prędko znikali, ale nigdy zupełnie. Gdy na przykład mój kuzyn z Butzbach wyrastał z ciuchów, ja je dostawałem. W paczkach były też majtki. Kuzyn podpisywał się na metkach, żeby nie pogubić ubrań na koloniach. Pół dzieciństwa, gdy siadałem na toalecie, widziałem między nogami, na majtkach, pierwszą literę jego imienia i nazwisko, z których jakiś czas po wyjeździe wujostwa do Rajchu zniknęła polska diakrytyka. Krępowała mnie ta jego dyskretna obecność w najbardziej intymnych chwilach dnia. Później szedłem do mojego pokoju, który urządzony był meblami Schmidtów. Nigdy ich nie poznałem, wiedziałem tylko, że zostawili niemal cały dobytek, gdy za komuny nielegalnie wyjechali do Niemiec. Pamiętam też rower, wideo, auta, naczynia. Można było mieć poczucie, że żyjemy w rupieciarni moich krewnych i dawnych sąsiadów.

Z dziećmi tych, którzy wyjechali około 1989 roku, rozmawiałem jeszcze po polsku, ale z prawnukami Else i Hansa nie rozumieliśmy się już ni w ząb, bo oni tylko po niemiecku, ja tylko po polsku. Rodzina rozłaziła się w szwach i tylko babcia Marysia potrafiła czasem skleić te dwa światy. Zna niemiecki, choć do dziś nie potrafi wyjaśnić dlaczego. Nigdy się go nie uczyła, a jakimś cudem swobodnie przeczyta książkę, obejrzy *Modę na sukces*, porozmawia. Skoro niemczyzną przeszła tak bardzo, niemieckość

musiała się unosić w powietrzu, gdy była mała, w domu musiało się jeszcze dużo szprechać. Kilka razy słyszałem, jak plotkowała po niemiecku przez telefon z ciocią Lodzią. Ciocia, rocznik 1928, zmarła dopiero kilka lat temu. Niemal do końca miała dobrą pamięć, mogłaby mi wiele opowiedzieć o Else, Hansie, Urbanie, ale nigdy do niej nie zadzwoniłem, nigdy nie pojechałem, nigdy o nic nie spytałem. Jej dzieci nic mi już nie powiedzą.

42

Jadę na Śląsk Opolski, żeby coś sprawdzić.

Jadę do wioski Cisek położonej między Gliwicami a Opolem.

W 1910 roku spośród 1219 mieszkańców 1206 deklarowało tu język polski (śląski) jako pierwszy. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

W 1921 roku w plebiscycie nigdzie indziej w powiecie kozielskim Polska nie otrzymała tak dużo głosów jak tutaj: sześciokrotnie więcej ludzi było za Polską niż za Niemcami.

A potem – bach. Mija niecałe sto lat i wszystko staje na głowie.

Według spisu z 2011 roku Cisek to jedna z gmin z najwyższym odsetkiem Niemców w całym kraju, za Niemca uważa się co trzeci mieszkaniec.

Jadę do Ciska, żeby się przekonać, co sprawiło, że przez kilka pokoleń – mimo prześladowania Niemców, polonizacji i masowej emigracji do RFN – zanikała tu polskość, a rozkwitała niemieckość.

Wyjeżdżam z Kędzierzyna-Koźla i znów widzę dwujęzyczne, polsko-niemieckie tabliczki: Kobylice/Kobelwitz, Landzmierz/Landsmierz, Roszowicki Las/Roschowitzwald i tak dalej (pierwsza taka tabliczka od wschodu jest przy Ostropie). Słowiańskość wyziera z tych niemieckich nazw tak bardzo, że zaczynam rozumieć, dlaczego naziści kazali je dogermanizować. Zresztą – kto tu kogo chce nabrać, że taki Landsmierz to niemiecka nazwa. To nazwa słowiańska, którą kiedyś po swojemu zapisał Niemiec, a obok ta sama słowiańska nazwa, którą później po swojemu zapisał Polak.

Gdy po osiemdziesiątym dziewiątym miejscowi tu i ówdzie zaczęli przy wjazdach do wsi sami z siebie stawiać niemieckie witacze, wielu Polaków kasandrycznie ostrzegało przed odrodzeniem hitleryzmu. Nie chodziło nawet o to, że na tabliczkach było coś po niemiecku, choć to też. Problem tkwił w tym, że sięgano po ostatnie niemieckie nazwy miejscowości przed wkroczeniem tu Sowietów, zapamiętane z dzieciństwa, a te zostały na ogół wymyślone przez nazistów. Stąd była to w oczach niektórych nie tyle regermanizacja, ile renazyfikacja. Tak samo w Cisku. Gdy padała komuna,

miejscowi napisali na tablicy nie widniejącą tu teraz nazwę Czissek, ale hitlerowską – Friedenau.

Dziś na Górnym Śląsku są setki oficjalnie ustanowionych niemieckich nazw miejscowych. Od mniejszości niemieckiej usłyszę później, że w ostatnich latach kolejne miejscowości spełniały ustawowe warunki, aby taką nazwę otrzymać, ale wnioski od dłuższego czasu zalegają w ministerstwie. Ponoć problemy zaczęły się wraz z dojściem do władzy Prawa i Sprawiedliwości.

Z pekaesu wyskakuję przy głównej ulicy Ciska, Planetorza. Idę przed siebie i mijam bar Enigma z naklejkami: „Piwo, drinki, piwo, drinki". W innym miejscu jego nazwa by mnie nie bawiła, a tu jakoś bawi.

Nieopodal Enigmy, po drugiej stronie ulicy, stoi pomnik. Podchodzę. *Für unsere gefallenen Helden von 1914–1918 die dankbare Gemeinde Czissek*, czyli: „Naszym poległym w latach 1914–1918 bohaterom wdzięczna społeczność Ciska". Pomnik pierwszowojenny.

W Cisku inaczej pamięta się o tej wojnie niż w Białymstoku czy Warszawie. Polaków mniej będzie interesowała sama wojna, bardziej to, co z niej wynikło dla polskiej sprawy. Dzień 11 listopada 1918 roku przyćmi cztery lata walk. Podobny mechanizm zadziała u Ukraińców czy Litwinów. Europa podzieli się na dwa obozy. Co do zasady Europa Zachodnia pamiętać będzie o wojnie, a Wschodnia o tym, co po niej. Ślązacy i Niemcy wpiszą się w umowną pamięć zachodnią. Wyjątkami na Wschodzie będą nieliczne miejsca, takie jak Węgry czy Galicja.

Też wychowywałem się przy takich pomnikach. Stoją w Ostropie, w Wójtowej Wsi. Gdy byłem nastolatkiem, dziwiły mnie, bo I wojna światowa była dla czymś równie odległym jak wojny napoleońskie. Jakoś nie działało mi na wyobraźnię to, że na ostropskiej tablicy były te same nazwiska, które nosili moi przodkowie i sąsiedzi.

W międzywojniu takie pomniki stawiano masowo, niemal w każdej miejscowości, której mieszkańcy zginęli na froncie. Ale głównie po niemieckiej stronie górnośląskiej granicy. Niszczono je potem po 1945 roku albo przerabiano na pomniki katolickie, ale sporo odratowano, trochę napisów skuto, a potem przywrócono, trochę tablic ludzie po szopach poukrywali, potem wynieśli, jak moja babcia te pojemniki na *Gewürz* i *Zucker*. Górnośląski krajobraz zaszarzył się nimi na powrót, gdy byłem dzieckiem. U wielu budziły niepokój. A jeszcze bardziej straszyły te, na których po osiemdziesiątym dziewiątym dopisano po niemiecku coś

o ofiarach II wojny – zarówno cywilach, jak i ludziach w mundurach barwy *feldgrau*.

W 1989 roku to była jednak tu, na Śląsku Opolskim, dziwna historia.

Bonn nadal nie przypieczętowało powojennej granicy Polski. I niby wiadomo, że Niemcy nie będą chcieli odzyskać tego, co stracili, ale granicy wciąż nie uznają, więc nie dla wszystkich wiadomo.

Nie wiadomo też, czy Niemcy się zjednoczą, a zresztą tego zjednoczenia też się niektórzy obawiają, bo z silnymi Niemcami różnie bywało. Jakoś tak zawsze jest, że najpierw jest zbieranie niemieckich ziem, a później wybucha wojna. Ci, którzy się obawiają połączonych Niemiec, to zresztą często ci sami, dla których z granicą nie wiadomo.

Do tego niby od dekad nie ma na Górnym Śląsku żadnych Niemców, a nagle do mniejszości niemieckiej ludzie zapisują się setkami tysięcy. Uśpiony wulkan wybucha. Ludzie dokonują masowego coming outu, wielu zrzuca stare tożsamości, ich lider z Jana Króla nagle staje się Johannem Krollem, jego syn to już nie Henryk, ale Heinrich.

Thomas Urban w książce *Niemcy w Polsce* pisze o transparentach dla Kohla: *Helmut, du bist auch unser Kanzler* („Helmucie, jesteś także naszym kanclerzem"). O wypowiadanych hasłach w rodzaju „Wyrzućcie Polaków" czy „Tu powinien znów wkroczyć Wehrmacht". Albo o wypowiedzi Heinricha Krolla, który wiele lat będzie liderem mniejszości i jej posłem: „My, Ślązacy, jesteśmy tutaj w domu, Polacy są tu gośćmi". Urban pisze też o żądaniach przyłączenia regionu do Niemiec – takie postulaty zgłaszali niektórzy działacze. O jakimś szemranym referendum w tej sprawie. O wybijanych Niemcom szybach, malowanych na ich siedzibach swastykach, obraźliwych hasłach[36].

Pewnie – Śląsk Opolski wówczas nie staje w ogniu. To hasła wyłuskane z wieców, pojedyncze akty wandalizmu, największe napięcia kończą się po kilkunastu miesiącach, gdy NRD przyłącza się do RFN, a powojenna granica polsko-niemiecka zostaje potwierdzona (choć dla niejednego wieść, że już na pewno nie będzie tu na powrót Reichu, jest katastrofą). Ten czas wielu zapadnie jednak głęboko w pamięć, wielu tym bardziej będzie później uważać Ślązaków za farbowanych Niemców i piątą kolumnę.

W Cisku idę do Alojzego Ketzlera, miejscowego Niemca o bawarskich korzeniach, postawnego mężczyzny po sześćdziesiątce. Wita mnie jego małżonka Elżbieta. Jest Polką, ale Ketzler powie mi, że „ich uczucie jest ponadnarodowe". Swoim dzieciom zabronił tylko jednego: śpiewania *Roty*

(„na jednego opę będziemy pluć, a drugiego wycierać?”). Pan Alojzy prowadzi tu agroturystykę i zasiada w radzie gminy. Radnym jest też jego daleki krewny o nazwisku Kecler – część rodziny, której dzieje potoczyły się nieco inaczej, zapisuje się teraz z polska. Siedzimy w restauracji pana Alojzego, z fotografii na ścianach spoglądają na nas jego niemieccy przodkowie. Ketzlerowie są tu już od trzystu lat, może i dłużej.

– Nie przekraczaliśmy granic, to one nas przekraczały – mówi mi Ketzler. – Moi przodkowie nie przyjechali tu jako okupanci, przyjechali w XVIII wieku, bo pruski król zaprosił na Śląsk rzemieślników. Jesteśmy obywatelami Polski, a przy tym jesteśmy narodowości niemieckiej. Jesteśmy u siebie, nie w jakiejś tam diasporze. Chcemy być traktowani jak ktoś, kto tu był i został. Bo kto mi da gwarancję, że za sto lat nie będzie tu innego państwa?

Podczas rozmowy dołącza do nas Zygmunt, przyjaciel Alojzego. Alojzy poprosił go, żeby pomógł mu wyjaśniać. Zadzwonił i pięknie się przywitał: „Szczęść Boże, Zygmuncie”.

– Ludzie już zdążyli się pogodzić, a oni zaś w kotle mieszają. Już było spokojnie, a zaś wszystko wraca, z Niemców robią wrogów numer jeden – mówi Zygmunt. – Zresztą ja się nie utożsamiam z tym czy innym państwem, ale z narodem niemieckim.

Zadaję im pytanie, z którym tu przyjechałem: jak to możliwe, że sto lat temu niemal wszyscy we wsi byli za Polską, a teraz tylu tu Niemców. Czy ci ludzie z Ciska byli za polscy jak na Rzeszę Niemiecką, ale za niemieccy jak na Polskę Ludową?

– Bo ci, którzy głosowali za Polską, wyjechali do Niemiec – mówi Zygmunt. Twierdzi, że to badał.

Wówczas przypominam sobie rozmowę sprzed kilku miesięcy z Pejterem Długoszem, wydawcą śląskojęzycznej literatury i historykiem spod Opola.

– Ci, którzy w 1921 roku głosowali za Niemcami, albo wyjechali, albo zostali wygnani, a ci, którzy głosowali za Polską, założyli mniejszość niemiecką – powiedział. – Till Scholtz-Knobloch przeprowadził badania, z których to jasno wynikało.

Pejter mówi na odwrót niż Zygmunt. Odnajduję więc Scholtza-Knoblocha, dziennikarza z Görlitz. Przekazuję mu, co powiedział Długosz, pytam, czy to prawda.

– Te słowa są i prawdziwe, i nieprawdziwe. Jest wiele przykładów je potwierdzających i wiele im przeczących. To trzeba byłoby opisać na setkach stron. To trochę bardziej skomplikowane – pisze mi Scholtz-Knobloch.

Było warto pojechać do Ciska. Nie po to, żeby otrzymać odpowiedź, ale właśnie po to, żeby zrozumieć, dlaczego nie mogę jej dostać. Bo to nie tylko z Niemcami w Cisku tak jest. Chyba tak jest w ogóle na Górnym Śląsku.

Jedni mówią, że Ślązacy to zakamuflowana opcja niemiecka, drudzy – że nie.

Jedni mówią, że milion Ślązaków pojechał do Reichu dla pieniędzy, drudzy – że z wysokich pobudek.

Jedni mówią, że istnieje naród śląski, drudzy – że nie istnieje.

Tu zawsze jedni mówią tak, drudzy inaczej. A to wszystko jest jednak trochę bardziej skomplikowane.

43

Z Ciska jadę do Opola, do siedziby Komitetu Wyborczego Mniejszość Niemiecka.

Jest późne lato 2019 roku, Polska żyje zbliżającymi się wyborami. Trzydzieści lat temu eksplozja niemieckości odbiła się też w wynikach głosowania.

Najpierw w 1990 roku Niemcy przejmują na Opolszczyźnie władzę w szeregu gmin, szans z Polakami nie mają tylko w dużych miastach. To odwrócenie sytuacji z doby plebiscytu, kiedy w tutejszych wsiach na ogół sprzyjano Polsce, a w miastach Niemcom.

Później, w 1991 roku, nastają pierwsze wolne wybory do parlamentu. Mniejszość Niemiecka deklasuje rywali i wygrywa w województwie opolskim. Otrzymuje dwadzieścia sześć procent głosów – dwukrotnie więcej niż będąca na drugim miejscu Unia Demokratyczna. Mniejszość wprowadza do sejmu siedmiu posłów i jednego senatora. Thomas Urban przywołuje sondaż z tego okresu: tylko piętnaście procent Polaków nie sprzeciwiało się, by osoby pochodzenia niemieckiego zajmowały najważniejsze stanowiska w administracji państwowej.

Siedziba Mniejszości mieści się nad Odrą, w urokliwym zakątku opolskiej starówki. Mam jeszcze trochę czasu, mogę powłóczyć się po małych uliczkach i podwórkach. W Polsce ładniejsze podwórka ma tylko Łódź, a za granicą Petersburg i Wilno. W dwóch ostatnich miastach – oraz nie wiedzieć czemu w Opolu – podwórka są osobnymi ulicami. Idę w miejsce, dokąd sto lat temu dotarła Else i skąd pisała listy do Hansa. Idę do dawnej szkoły położnych, do której przyjeżdżały kobiety z całej Rzeszy, by rodzić z dala od złych języków.

Stoję chwilę, a później skręcam w Staromiejską, Świętego Wojciecha, idę przez Rynek, wchodzę w Książąt Opolskich, Katedralną, następnie w Batorego, Konopnickiej i jestem. Czeka na mnie trzydziestoletnia Joanna Hassa, kandydatka na posłankę. Na klatce schodowej w oczy rzuca mi się informacja o Bund der Jugend der Deutschen Minderheit – Związku Młodzieży Mniejszości Niemieckiej.

Wchodzę, witamy się, siadamy.

– Czytałem, że wasz Związek Młodzieży to druga co do wielkości organizacja młodzieżowa po harcerstwie – zaczynam.

– O, to dawne dzieje. Kiedyś należało do niego kilkanaście tysięcy osób, ale to było w głębokich latach dziewięćdziesiątych – opowiada Hassa. – Bezpośrednio po osiemdziesiątym dziewiątym w ogóle wiele rzeczy było inaczej. Wszyscy myśleli wtedy, że jak się zapiszą do mniejszości, to dostaną wiele, łącznie z pieniędzmi. Krążyły plotki: zapiszesz się do mniejszości, dostaniesz marki. Ktoś kiedyś to puścił w obieg i do dziś dzwonią do nas ludzie, i pytają, czy jak się zapiszą, to im wypłacimy. Nasza popularność była związana też z tym, że według innej plotki zapisanie się do mniejszości miało ułatwić wyjazd do Niemiec – ale to w konsulacie nie ma najmniejszego znaczenia. I wciąż tacy przychodzą. No i kiedyś związki ziomkowskie z Niemiec przekazywały dużo darów, pieniędzy, koła mniejszości miały dzięki temu po transformacji dużo większe możliwości niż jakakolwiek polska organizacja pozarządowa. I to również powodowało, że ludzie myśleli: w mniejszości są kokosy, trzeba się zapisać.

Później z wyborów na wybory było im coraz trudniej. Nigdy nie osiągną już takiego rezultatu jak w 1991 roku.

Po otwarciu granic pustoszały całe wioski, znikali niemieccy wyborcy. Ponoć w Strzelcach Opolskich wyemigrował cały personel i musieli zamknąć szpital. W Cisku pan Zygmunt mówił mi, że z jego klasy z dwudziestu sześciu osób nie wyjechały tylko dwie, mało kto wrócił.

Z latami wielu przestało głosować na Mniejszość, bo się nią rozczarowało, zdało sobie sprawę, że nie załatwi Bóg wie czego. Dla wielu określenie się jako Niemcy początkowo było sposobem na odreagowanie komuny, złapanie haustu wolności, potem życie wróciło na dawne tory. Innym pozwoliło wreszcie publicznie pielęgnować swoją niemieckość.

Liczebność deklarujących się jako Niemcy drastycznie spadła. Bezpośrednio po 1989 roku przebąkiwano nawet o milionie, a w spisie powszechnym w 2011 roku określiło się tak już tylko nieco ponad sto pięćdziesiąt tysięcy. Profesor Maria Szmeja, socjolożka, latami badała tożsamość mieszkańców Płużnicy Wielkiej – wsi na pograniczu województw opolskiego i śląskiego, nieopodal Gliwic.

– Najpierw przyjechałam tam u schyłku PRL. Większość, pytana o tożsamość, określała się jako Ślązacy, a w dalszej kolejności mówili na przykład: rodzice lub ja urodziliśmy się za Niemca, to muszę być Niemcem,

albo: mieszkam w Polsce, to muszę być Polakiem. Przyszedł 1989 rok, wracam do Płużnicy, a tu nagle wszyscy są Niemcami, o Kohlu mówią „nasz kanclerz”. To był szok. Potem przyjechałam po paru latach. Jedna z kobiet mówi mi: „No tak. Zapisałam się do mniejszości, a oni każą mi płacić składki”. Myślano, że akces do mniejszości będzie oznaczał same profity. Opowiadali mi też, że jak byli w Niemczech, to spotykały ich nieprzyjemności, na przykład wymyślano im od Polaków, upokarzano. Idealny obraz Niemiec zaczął się kruszyć, jednocześnie wzmacniała się śląska tożsamość. A kiedy przyjechałam do Płużnicy w 2015 roku, tożsamość śląska była już podstawą i nikt się nawet nie zająknie o narodowości polskiej czy niemieckiej – podsumowuje swoje badania socjolożka. Dodaje, że w regionie liczba ludzi deklarujących narodowość niemiecką będzie się wciąż zmniejszać na rzecz tożsamości śląskiej.

Dziś w wyborach parlamentarnych Mniejszość dostaje kilkakrotnie mniej głosów niż zaraz po osiemdziesiątym dziewiątym, a kiedy rozmawiamy, Joanna Hassa nie wie jeszcze, że nie zostanie posłanką. Co innego władze wojewódzkie – w wyborach do sejmiku Mniejszość zawsze jest na podium, a obecnie przewodniczącym sejmiku jest jej lider Rafał Bartek.

– Już jako nastolatka działałam w mniejszości, ale, wie pan, jak miałam osiemnaście czy dziewiętnaście lat, to Niemcy mnie zaczęli denerwować – opowiada mi Hassa. – A akurat Polska w piłkę grała z Niemcami, to mówię sobie: nie, teraz niech Polacy wygrają. I ja byłam za Polską. Nie wiem, czemu się na nich tak zawzięłam, ale mówiłam, że Niemcy nie są mi do niczego potrzebni, że żadnego związku z nimi nie czuję.

– Czyli równie dobrze mogłoby się to tak ułożyć, że pani by w tym buncie wytrwała i była dziś szczęśliwą Polką?

– Tak, tak.

– I kto ten mecz wygrał?

– Niemcy. Ale tu tyle paradoksów. Proszę spojrzeć, mam jednego brata, on urodził się jedenastego listopada i mieszka w Niemczech. A ja dwudziestego kwietnia, w urodziny Adolfa Hitlera, i mieszkam w Polsce.

– A kim pani się czuje? Pisała mi pani przed spotkaniem, że nie robiłaby rozróżnień, która tożsamość jest pierwsza, która druga.

– Jesteśmy śląskimi Niemcami. Nam nie zależy do końca na naszym faterlandzie, Niemcach, na Śląsku nam zależy.

– A republika federalna jest wam potrzebna?

– Tak samo możemy o Polsce powiedzieć: po co nam jest Polska potrzebna?

– Żeby studzienki ściekowe działały i sygnalizacja świetlna się zmieniała.

– No tak. Dla mnie w każdym razie Śląsk jest na pierwszym miejscu.

– Pani czuje związek z ludźmi z Pszczyny czy Rybnika, którzy się deklarują jako Ślązacy?

– Czuję się bardziej związana mentalnie ze Ślązakami niż z Polakami. Ale bliżej jest nam do Niemców. „Polski Ślązak” to coś nowego, z ostatnich lat. Zawsze był po prostu Ślązak. Śląskość, wie pan, kojarzy mi się z Niemcami, nie z Polską. Jak ktoś mówi „polski Ślązak” czy „śląski Polak” to ja się zastanawiam: jak mam to rozumieć?

– Ślązak ducha polskiego to na przykład ktoś, kto czuje odrębność od Polaków, a jednocześnie nie ma wiele wspólnego z kulturą niemiecką. Ktoś, u kogo w domu się nie mówiło po niemiecku, nie jeździło do Niemiec, nie obchodziło tamtejszych świąt.

– I to mnie dziwi.

– Pani ma jasną kulturę, swoich pisarzy, historię. A ja jestem ze śląskiej rodziny, ale niewiele mam z Niemcami wspólnego. Mogę opowiadać, że tam są moi krewni, że przodkowie żyli w Niemczech, ale co mnie na dobrą sprawę z Niemcami łączy? Czuję się polskim Ślązakiem. Musiałbym sobie tak skonstruować niemieckość, jak pani francuskość czy włoskość.

– Pan mówi o sobie, że jest polskim Ślązakiem?

– Czuję się i Polakiem, i Ślązakiem. Tym drugim od kilku lat. I szukam odpowiedzi, czym jest ta śląskość. Może czyśćcem? Poczuciem odrębności od polskości i niemieckości, zawieszeniem między nimi. I ja teraz obserwuję, jak ta śląskość się tworzy. Pojawiają się pisarze, trwają dyskusje, spory, z roku na rok to się rozwija.

– I to jest ta różnica. My, Niemcy śląscy, odwołujemy się do czegoś, co było. A śląskość taka, o jakiej pan mówi, polska śląskość, dopiero się odkrywa, może się dopiero tworzy. I może dlatego tego nie rozumiem.

44

Jak wyglądałby Wiedeń, gdyby na sto lat stał się częścią Słowacji? A jak wyglądałby kontrolowany przez Kosowian Belgrad albo Petersburg jako stolica Finlandii?

Czasem pakuję plecak i jadę na kilka dni do historii alternatywnej. Bo jeśli spojrzeć na naszą okolicę z perspektywy mojego pradziadka Johanna sprzed stu lat, to wszystko to, co się tu stało, nie mogło się wydarzyć, to, co się tu stało, jest jedną wielką historią alternatywną.

Johann mógł tylko fantazjować, jak wyglądałaby rumuńska prowincja, gdyby ją pół wieku sowietyzować, a potem pozwolić jej rządzić się samej. A my możemy pojechać do Mołdawii i sami to zobaczyć.

Jak wyglądałaby Polska, gdyby stała się częścią państwa radzieckiego, a potem Białorusi? Jedźcie do Grodna.

Kim byliby Węgrzy, gdyby sto lat przyszło im żyć na Słowacji? Zapraszam do Gabčíkova lub Štúrova.

Jak wyglądałoby węgierskie miasteczko, gdyby stało się czechosłowackie, potem radzieckie, a w końcu ukraińskie? Jedźcie na Ruś Zakarpacką, najlepiej do Mukaczewa.

Jacy byliby Polacy, gdyby przez kilkadziesiąt lat byli sowietyzowani, a następnie rusyfikowani i lituanizowani? Powłóczcie się po Wileńszczyźnie, najlepiej po Solecznikach.

Kręciłem się po tych wszystkich ślepych kiszkach Europy z wywieszonym językiem, ale nigdy nie wpadłem na to, że to samo mam parę minut jazdy autem od rodzinnego domu. Że tym samym są polscy Niemcy z Gogolina, Opola czy Ciska – nieprawdopodobnym wariantem historii, który jednak się odbywa.

Polscy Niemcy nie są ani Polakami, ani bundesdeutschami, RFN jest dla nich na ogół tym, czym dla Australijczyka Anglia.

Polscy Niemcy mają własną niemieckość, tak jak mają ją Luksemburczycy, Austriacy, Niemcy siedmiogrodzcy, kazachstańscy czy „wilcze dzieci” na Litwie. Nie są w diasporze, bo znikąd nie wyjechali. Czyni ich to zresztą jeszcze bardziej niemieckimi, gdyż niemiecką cechą jest przywiązanie do heimatu często większe niż do centrum. RFN nie jest

dla większości tutejszych Niemców wzorem, do którego trzeba równać i do którego trzeba dojrzeć (tym bardziej że na przykład Niemcy z Cieszyna czy Bielska w Prusach ani Niemczech w ogóle nie żyli).

I wszystko wskazuje na to, że są skazani na wymieranie. Choć pewnie nie na wymarcie. Tak jak na całym świecie mniejsze społeczności rozpływają się w większych. Dzieje się to zawsze tym szybciej, im mniej różni mniejszą od większej, a tutejszym Niemcom nie pomaga w niewymieraniu fakt, że ich *muttersprache* to częściej słowiańska godka niż niemiecki, że dzieci z mieszanych małżeństw nie znają już często niemieckiego.

Ale póki żyją, są fenomenem. Jak Serbołużyczanie w Niemczech, tylko zupełnie na odwrót. Tak jak góry powstają jako wypiętrzenia po zderzeniu płyt tektonicznych, tak oni powstali po słowiańsko-germańskim zderzeniu, powstali przez osmozę, wskutek wiecznych abordaży jednych do drugich. I może są jednym z ostatnich reliktów tej mitycznej górnośląskiej pograniczności.

Trudno powiedzieć, kim są tutejsi Niemcy. Tutaj krew jest zmelanżowana do granic możliwości. Historia uczy, że gdy chce się o jakiejś grupie powiedzieć, kim jest, zawsze się ją krzywdzi. Mówiąc Kutzem, wszyscy jesteśmy paciorkami jednego różańca. Germanie i Słowianie (same te pojęcia trącą średniowieczem) od setek lat rozsiewają w okolicy swoje geny, zmieniają nazwiska z Novák na Neumann, z Neumann na Nowok, z Nowok znów na Neumann, a potem nagle na Nowak. Dwieście z czymś lat temu to były jedne lasy i pola, pisali w diariuszach podróżnicy, że jechali przez tę puszczę i ledwo żywą duszę wypatrzyli, potem dopiero się nas naroiło. Tutaj wszyscy jesteśmy imigrantami, jedni świeższymi, inni starszymi, ci świeżsi stają się potem starszymi, mówią, że są tu od niepamiętnych czasów, co jest proste, bo tu mało się pamięta, mówią, że są z dziada pradziada, ale pradziad mógł tu raptem kilkadziesiąt lat temu przypełznąć ze Lwowa, i dworują sobie ze świeższych, tak jak w wojsku najpierw się jest koconym, a później koci. Chyba nawet szybciej można zostać uznanym przez Polaków za Polaka niż przez Ślązaków za Ślązaka.

Tu na forach, w dyskusjach co rusz ktoś wykazuje swój rodowód, rachuje pokolenia. Tak jak to było ostatnio: dyskusja o języku śląskim, koło setki dusz na widowni, starszy pan wstaje, peroruje, ile archiwów kościelnych on przetrząsnął, ile ksiąg odczytał, przekonuje, że ma

dokumenty i może je pokazać każdemu, kto będzie chciał ujrzeć, bo w dokumentach niezbite są dowody, że jego przodkowie tu od tego a tego stulecia zamieszkują. Opowiada rozwlekle, aż w końcu, wykazawszy swoje prawo do zabierania głosu, krótko kwituje: „Tak że tak. A ja chciałem od siebie podziękować za ciekawą dyskusję”. I siada.

45

Czasem kupię sobie dobowy za czternaście i jeżdżę po aglomeracji cały dzień bez celu. Albo dwa dni. Za czternaście mam bilet do dziesiątek wiosek i miasteczek o zamazanych granicach. Jeżdżę tak kilkanaście przystanków wte, kilka wewte, wysiadam, gdy spodoba mi się budynek czy gdy nie zdążę doczytać napisu. Raczej nie sprawdzam trasy, nie wiem, na którym z 3325 aglomeracyjnych przystanków wyląduję. Jeżdżę, żeby jeździć, nie żeby dojechać.

Ale czasem jest inaczej, czasem staję na przystanku, czytam rozkład i wybieram, dokąd pojadę, z tym rodzajem podniecenia, który czuje się, patrząc na tablice lotów na lotnisku. I tak jak na Okęciu wyświetlają się Kair, Nowy Jork i Moskwa, tak ja na rozkładzie przy bytomskim placu Sikorskiego czytam o pięknych Szombierkach, tajemniczym Chebziu i dalekim Maciejowie. Tylko że na Okęciu nigdy nie ma się wyboru, a na placu Sikorskiego wybór jest.

I jeżdżę, bo na Górnym Śląsku tylko jeżdżenie tramwajami i autobusami ma sens. Jeśli jedzie się autem po tych szybkich i czystych drogach zalaminowanych ekranami akustycznymi, wszystko wydaje się piękniejsze, niż jest w rzeczywistości. A gdy jedzie się koleją – bardziej dziadowskie. Przemysł wyrastał wzdłuż torów, a odkąd przemysł padł, za pociągowym oknem widać coś między *Mad Maxem* a Prypecią. Coś nie tylko brzydkiego, ale i pięknego – i na tym polega ikonograficzne przekleństwo Górnego Śląska. Opuszczone hale zakładowe, ogromne wieże ciśnień z pozapadanymi dachami, obdrapane familoki – te nasze kolosea są tak fotogeniczne, że na ogół tylko je fotografują fotografowie, kręcą filmowcy, rysują rysownicy. I już nie szukają niczego więcej. Rozumiem to, bo nie sposób zobaczyć po raz pierwszy familoka i nie zrobić mu zdjęcia. Górny Śląsk jest tak zaklęty w tych oczywistościach, że choć już mało tu górników i hutników, trudno znaleźć opowiadające o regionie programy telewizyjne czy widokówki, na których nie pojawiłaby się kopalnia czy huta.

I jeżdżę. Na przykład na styk Gliwic i Zabrza. Stoję na granicy. Jest gęsto, zwarcie, między dwoma budynkami tabliczki obwieszczają koniec jednego miasta i początek drugiego. Tabliczki mogłyby być sto metrów

wcześniej, pięćset później, dla oka to bez znaczenia, bo tu budynek stoi przy budynku, miasta nie łagodnieją, dochodząc do swoich krańców, nie łysieją, przechodząc od bujnych centrów do przerzedzonych przedmieść. Aglomeracja górnośląska to taka Warszawa, której wszystkie Pragi, Mokotowy, Żoliborze nigdy nie zlały się w jeden organizm. Aglomeracja to wielkie miasto, ale ulepione według odmiennej logiki niż inne polskie miasta, przypomina raczej Donbas czy Zagłębie Ruhry. Śląskbas. Zagłębie Górnośląskie. Tutejsze miasta i wsie pasożytują na sobie i trwają w symbiozie.

Tu mało jest miejsca na pustkę, tu pustka się nie mieści, bo miasta rozepchały się do granic możliwości. Tu granice są nieintuicyjne, jak jakieś rubieże Sudanu czy Algierii, które kolonizatorzy wyrysowali na mapach jednym pociągnięciem ołówka.

Moja matka całe życie mieszka w Wójtowej Wsi, ale do szkoły chodziła do Gliwic, później do Zabrza, zajęcia na uczelni miała w Rudzie Śląskiej, Bytomiu i Świętochłowicach, podyplomówkę robiła znowu w Zabrzu, a od lat codziennie dojeżdża do pracy do Katowic. Tutaj chorzowianin, chcąc zażyć kultury, wybiera między bytomską operą, katowickim muzeum i gliwickim teatrem. Świętochłowiczanin, robiąc zakupy, objeżdża M1 w Zabrzu, Forum w Gliwicach i Silesię w Katowicach. Bo pociąg z Rudy do Zabrza jedzie cztery minuty, a z Chorzowa do Katowic siedem.

Zwartość kilkunastu miast wytworzyła u Ślązaków poczucie związku z całym regionem, nie tylko ze swoją miejscowością. Najpewniej nikt w Polsce nie jest tak związany ze swoim heimatem.

I jeżdżę po tej megalopolis na bilecie dobowym. Ciekawi mnie to górnośląskie przelewanie się miast jednych w drugie, ale też sprawia, że z przekory chcę wyszukiwać różnice, żeby nadać sens istnieniu miast i dzielnic. Jadę na granicę katowicko-chorzowską i spędzam na niej Bóg wie ile czasu, szukając czegoś, co nadałoby tej granicy sens. Łażę tak w jedną stronę, w drugą i porównuję.

A różnica jest. Na przygranicznym katowickim Załężu okoliczne mury są przystrojone zdobnymi napisami opowiadającymi o sportowej i moralnej przewadze GKS Katowice nad Ruchem Chorzów. Są kaligrafowane, ich barwy skrzą się żywymi kolorami. Widać, że artysta, kreśląc śmiałe sentencje o chorzowskich kurwach i katowickich panach, pewnie prowadził dłoń, przez nikogo nieniepokojony mógł oddać się swej benedyktyńskiej posłudze. Jego chorzowscy adwersarze na ścianach załęskich familoków

odpowiadają z rzadka, gdzieniegdzie tylko wdają się w spór. Zabierają głos, ale już nie wielobarwnymi farbami, ale surowym sprayem, brzydzą się niuansem, a tylko pod mocarnymi napisami o potężnej Gieksie dopisują lakoniczne „to chuje”, odmieniając w ten sposób drastycznie sens tego, co katowicki artysta miał na myśli. Jeśli nawet na załęskich placach chorzowianie odważą się głosić wielkość własnej drużyny, wyrażają się we frazie nader zwięzłej, nagryzmolonej nerwowo, płochliwą dłonią. Tylko na kilka chwil wbiegli na terytorium antagonistów, by następnie szybko stamtąd uciec. Jedynie czasem widzę mury zdobne w ekumeniczne zawołania do policji społem jebania.

Poczekajcie jednak tylko, gdy przekroczą granicę zlanych miast. Tu widać potęgę granicy administracyjnej. O ile bowiem na Załężu chorzowianie prowadzą wojnę partyzancką, asymetryczną jak dżihadyści, o tyle nieopodal, na placu własnym, przystępują do kontrofensywy. Ich pismo nabiera staranności, zyskuje misterny krój, a fraza staje się bardziej wnikliwa, rzutka, niepozbawiona urody koniunktiwu.

A najciekawiej ogląda się napisy na murach w Rudzie Śląskiej, bo w Rudzie nie ma mocnej miejscowej drużyny i dlatego kibicowsko rozszabrowali ją Ruch i Górnik. Działają tu wszelkie reguły światowej rywalizacji imperiów. Dwa kluby zabiegają o swoje strefy wpływów, kolonizują sąsiada, prowadzą tam wojnę zastępczą, jak kiedyś mocarstwa prowadziły je w Wietnamie czy Korei, a dziś w Syrii i Jemenie.

W Gliwicach co do zasady centralne dzielnice są za Piastem, a pierścień dzielnic okalających centrum za Górnikiem. Ponoć wzięło się to z faktu, że na wsiach na obrzeżach więcej sympatii odczuwano do klubu górniczego, gdyż więcej pozostało tam ludności rodzimej, a w centrum do zespołu nawiązującego do tradycji kresowej, bo tam z kolei napłynęło wielu osadników. Piast zachował barwy Pogoni Lwów i jakoś tam miał być jej przedłużeniem.

Mój ojciec wychowywał mnie na kibica Górnika Zabrze. Nie stanowiło dla niego problemu to, że sam był z Gliwic. Jeździliśmy całe lata na mecze i słuchałem na stadionie o tych wszystkich balach i szpilplacach. Jeździliśmy na Górnika, nie zdając sobie nawet sprawy, że siedzimy na stadionie imienia Adolfa Hitlera. Niedbalstwo klubowych władz sprawiło, że aż do początku lat dwutysięcznych tego nie zmieniono, a reprezentacja Polski, nieświadoma tej nazwy, rozegrała tu kilka spotkań.

Siedziałem na stadionie i słuchałem o tym, że żaden inny region w Polsce nie jest tak utytułowany piłkarsko jak Górny Śląsk, że kiedyś pochodził stąd co drugi pierwszoligowy zespół. Słuchałem żalów, że później wszystko się zawaliło, bogaci sponsorzy – kopalnie, huty, zakłady – przestali łożyć na piłkę. Toczące Górny Śląsk rozgoryczenie na stadionach atakowało ze szczególną siłą.

46

Albo jadę na granicę Szopienic i Sosnowca. Szopienice i Sosnowiec oddziela Brynica. Rzeczka przez długi czas była jedną z trwalszych granic międzypaństwowych w Europie. I poza bałtyckim wybrzeżem bodaj najtrwalszą polską granicą w dziejach.

Chodzę między Szopienicami i Sosnowcem. Oglądam budynki po jednej i drugiej stronie rzeki i, nie powiem, widzę różnicę. Po roku znajdę swoją notatkę zapisaną na marginesie gazety: „w Sosnowcu czuję się jak w Kielcach". Czyli obco, kongresówkowo.

Od dziecka słyszałem, że z Zagłębiakami jest coś nie halo. Nawet nie wiem, kto tak mówił, unosiło się to w powietrzu, w żartach, napisach na murach. Gdy pytałem antagonistów, co konkretnie jest nie halo, padały najróżniejsze odpowiedzi: „bo Sosnowiec to już był inny zabór", „bo w czterdziestym piątym te chadziaje przychodziły z Ruskimi i szabrowały", „bo Gierek bardziej dbał o Sosnowiec niż o nas", „bo z Zagłębia za komuny zwożono tu milicjantów, dyrektorów, a my rąbaliśmy węgiel". I tak dalej.

To były sprawy między naszymi dziadkami, pradziadkami, bo już nawet z rzadka rodzicami, a na pewno nie nami. Sprawy dorosłych, które powinny były ulec przedawnieniu, niektórzy postanowili je jednak odziedziczyć. Może jeszcze ktoś się o to tłucze, ale to pewnie bardziej sprzeczki sąsiedzkie czy kibicowskie. Znajoma opowiadała mi, że u niej w Pszczynie ci z sosnowieckimi rejestracjami stoją na podporządkowanej po dziesięć minut i nikt ich nie puści. Dla mnie i moich przyjaciół to jakaś regionalna ciekawostka jak krakowskie wychodzenie na pole.

Problem w tym, że Zagłębie jest pierońsko fascynujące. Zagłębie to alternatywny Śląsk, Śląsk, którego losy się nieco inaczej potoczyły – tak jak Śląsk to alternatywne Zagłębie. I dlatego zaimpregnowanie części Ślązaków na zagłębiowskość ich czegoś pozbawia tak jak – z zachowaniem proporcji – Polaka zubaża, gdy obraża się na niemieckość, Ukraińca – na rosyjskość i tak dalej. Te niechciane pokrewieństwa odbierają dystans. Dobrze to ujął pisarz z Iwano-Frankiwska Jurij Andruchowycz w wierszu *Moskwa*: „Boże, / jak chciałbym być Anglikiem, / Niemcem, Francuzem, / nawet Japończykiem, / bylebym tylko mógł / lubić Moskwę prawdziwie! //

Jako coś wielkiego, zajebiście bogatego, / egzotycznie odległego, obcego, / położonego w bezpiecznej oddali / niczym Rio, Szanghaj czy Nowy Jork”[37].

Dla Kutza Sosnowiec nie był w bezpiecznej oddali. W *Powrotach hanysa* reżyser mówił o Brynicy: „To zza niej spadło na Śląsk nieszczęście. Tu stykały się dwie cywilizacje: łacińska i bizantyjska. Mój świat lepiony był na model niemiecki, rządziła nim familijność i pracowitość. Po tamtej stronie królowało cwaniactwo, przekupstwo i donosicielstwo. I ten świat, w mundurach UB i garniturach partyjnych aparatczyków, wkroczył po wojnie na Śląsk i wdeptał go w ziemię. Komuna w najgorszym swoim wydaniu”[38].

W śląskich drwinach z Zagłębia, jak to z drwinami bywa, brakowało zawsze drugiej perspektywy. Jakby nikt nie chciał wczuć się w Zagłębiaków. A jak mieli się poczuć w takim Będzinie, gdy kilkadziesiąt lat temu Ślązacy wjeżdżali im do miasta w mundurach Wehrmachtu? Jak mają nie czuć się obco dziś, gdy Ślązacy czują się od nich lepsi, kpią z nich, generalizują?

Wielu Zagłębiaków uwiera już sama nazwa województwa śląskiego. Może nawet niektórzy z nich chcieliby być Ślązakami, jakoś do tego aspirują, ale co począć, skoro odmawia im się prawa do śląskości. Co jakiś czas wraca zresztą pomysł zmiany nazwy województwa – ostatnio na śląsko-małopolskie. Podobnie jak są województwa pomorskie, zachodniopomorskie i kujawsko-pomorskie lub śląskie i dolnośląskie. I coś w tym jest, bo górnośląskie ziemie stanowią jedynie czterdzieści osiem procent województwa. Reszta to Małopolska: Zagłębie, ale też Jaworzno (na Facebooku działa popularny profil „Jaworzno – małopolskie miasto w woj. śląskim”), Jura, ziemia częstochowska, Żywiecczyzna. Trzy największe miasta województwa to Katowice, Sosnowiec i Częstochowa, ale tylko pierwsze należy do historycznego Górnego Śląska.

Tak. Większość województwa śląskiego nie jest śląska.

Wszystko to może drażnić umowną małopolską większość podszczypywaną przez górnośląską mniejszość. Ta ostatnia stosuje przemoc symboliczną, narzucając jej śląskość na każdym kroku: w wojewódzkim herbie, fladze, polityce pamięci czy nazwach instytucji. Ślązacy się polonizują, a jednocześnie silezjanizują Małopolan, którzy po Będzinie, Sosnowcu i Dąbrowie Górniczej jeżdżą tramwajami z napisem „Tramwaje Śląskie”, pociągami z napisem „Koleje Śląskie”, należą do śląskiego

oddziału NFZ, wodę dostarcza im Górnośląskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i tak dalej. Zewsząd śląskość, śląskość, śląskość. Silezjanizacja odciska piętno. Andrzej Nycz ze stowarzyszenia Beskidzki Dom opowiadał w „Dzienniku Zachodnim”, jak dzieci w jednej ze szkół na Żywiecczyźnie, spytane przez nauczyciela, w jakim mieszkają regionie, odpowiedziały chórem: „Na Śląsku!”. To tak, jakby warszawskie dzieci twierdziły, że żyją na Podlasiu.

Ale najlepiej istotę stosunku Ślązaków do Zagłębiaków – pełną swego rodzaju czułości – oddała sytuacja z lata 2019 roku. Prezenter Filip Chajzer napisał na Facebooku: „Szukam do materiału w *Dzień dobry TVN* 30-latków (bądź więcej), którzy nigdy nie byli za granicą naszego pięknego kraju […] P. S. Sosnowiec się nie liczy”. Zakpił z Sosnowca, ale Ślązacy mu napisali, że „to są nasze gorole i tylko my się możemy z nich śmiać, a warszawiakom od nich wara”. Jak w *Samych swoich*, gdy Pawlak odpowiada żonie na uwagę, że Kargul to wróg najgorszy ze wszystkich: „Wróg? A wróg! Ale mój, swój, nasz – na własnej krwi wyhodowany!”.

47

Lubię też jeździć tramwajem do centrum Chorzowa i stamtąd w pół godzinki na nogach dojść do Świętochłowic. Nie tylko katowicki Nikiszowiec i Giszowiec, ale i tutejsze robotnicze Lipiny i Chropaczów służyły Kutzowi za scenografię jego górnośląskich filmów.

Mógł je tu kręcić, bo Świętochłowice wyglądają tak, jak ludzie w całej Polsce wyobrażają sobie, że wygląda Górny Śląsk. A Górny Śląsk dość rzadko wygląda jak Górny Śląsk. W większości jest lesisty, polny, małomiasteczkowy, a aglomeracja to niewielki spłachetek ziemi. Ale tak, w Świętochłowicach pełnych hałd, familoków i kominów Górny Śląsk wygląda jak należy.

Osiedle górnicze Nikiszowiec, Katowice, 1990

Fot. Piotr Cieśla / agencjaforum.pl

Świętochłowice, 1971
Fot. Aleksander Jałosiński / agencjaforum.pl

Najbardziej lubię tu budynek przy Katowickiej 30, dawną siedzibę Generalnej Dyrekcji Kopalń i Hut Donnersmarcków. Zbudował ją pod koniec XIX wieku Guido Henckel von Donnersmarck, jeden z najzamożniejszych magnatów w Cesarstwie Niemieckim, a ponoć i w Europie. Działo się to w czasie, gdy siedmiu z dziesięciu najbogatszych Niemców było z Górnego Śląska.

Jeżdżę tam i łażę wokół jak zaczarowany. Budynek dyrekcji jest olśniewający, masywny. Dziś zarządza nim nie ród Donnersmarcków, ale Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Lokalowej. Główne wejście jest zaryglowane, wskazówki wielkiego zegara na frontonie budynku wyrwane. Całość wygląda jak Hagia Sophia na miarę naszych możliwości. Tak jak Osmanowie po zdobyciu Konstantynopola zmienili wspaniałą świątynię prawosławną w meczet, tak świętochłowiczanie zmienili gmach miejscowych bogaczy w lokale mieszkalne. Przy kilku bocznych wejściach do budynku w stylu północnego neorenesansu są domofony z nazwiskami zdobywców: zamiast Donnersmarcków Niedurny, Krzywda, Tokarz, Śliwka. Tak jak Turcy zbrukali kościół minaretami, tak świętochłowiczanie naznaczyli budynek czaszami telewizji satelitarnej. Starsza kobieta myje plastikowe okno, obok są delikatesy Nadia, pawilon handlowy Honorata, kebab Kapadokia i samochód firmy Meble Gibon. Wygląda to wszystko, jakby Wandale bawili się na gruzach Rzymu, choć to zupełnie nie tak.

Kilka przystanków dzieli świętochłowicką Hagię Sophię od rodzinnych ogródków działkowych w dzielnicy Zgoda. Sympatyczne działki powstały na terenie powojennego obozu koncentracyjnego, jednego z tych, o które toczy się spór: czy można nazwać je obozami polskimi. Marek Łuszczyna w książce *Mała zbrodnia* opowiada o Dorocie Boreczek, która jako nastolatka trafiła do Zgody. Mówiła mu o tym, co zrobiła w 2001 roku: „Złożyłam ofertę. […] Napisałam do wiceprezydenta miasta inżyniera Andrzeja Porady pismo, w którym zwróciłam się z propozycją, że ja ten podobóz KL Auschwitz… – szuka słowa – nabędę. […] Kiedy pierwszy raz przyjechałam do Świętochłowic, w 1989 roku, i poszłam na teren Zgody, zobaczyłam dwie grupy ludzi: małe dzieci, które bawiły się w piaskownicy, i mężczyzn pijących piwo. Rekreacja. Piaskownica dla maluchów była w miejscu, w którym stał bunkier, karcer wielkości sławojki, z lodowatą wodą sięgającą do piersi. Stamtąd wyciągali już tylko trupy. Powiem panu: szlag mnie trafił”[39]. Władze miasta terenu podobozu sprzedać nie chciały.

Obóz w Zgodzie istniał od lutego do listopada 1945 roku. Powiedzieć, że był piekłem na ziemi, to nic nie powiedzieć. Naziści porzucili go ledwie kilka tygodni wcześniej. Gdy przyszli komuniści, wszystko było gotowe. Nic, tylko wejść i mordować. Łagier pod klucz. Miał to być obóz pracy, ale stał się przede wszystkim katownią. Komendantem był Salomon Morel, dwudziestoszścioletni Żyd, który na wojnie stracił matkę, ojca, brata, sam cudem przeżył. Gnębiony z dnia na dzień stał się gnębicielem.

Morel nowych więźniów witał na placu apelowym słowami: „Wy hitlerowskie kurwy, Oświęcim to było przedszkole w porównaniu z moim sanatorium”.

Zdecydowaną większość katorżników stanowili okoliczni mieszkańcy (często starcy, kobiety i dzieci). Wszystkich jak leci Morel uznał za nazistów i przypisał im odpowiedzialność za straszne cierpienia, których sam doznał podczas wojny.

W Zgodzie spośród około pięciu tysięcy osadzonych zginął przeszło co trzeci. Doszło do katastrofy humanitarnej. Świętochłowicki obóz był kilkukrotnie przepełniony. Ludzie głodzeni, gwałceni, nieustannie katowani na najbardziej wymyślne sposoby. W publikacji IPN-u czytam: „Jedną z metod znęcania się szczególnie uciążliwego dla więźniów było zmuszanie ich do ustawiania się parami naprzeciwko siebie i wzajemnego bicia się. Jeżeli ktoś nie chciał bić współwięźnia lub robił to zbyt słabo, był katowany przez personel obozowy. Więźniowie ulegali i bili się wzajemnie”[40]. Czasem do wzajemnego bicia się zmuszano syna z ojcem.

W niewielkim obozie w samym sierpniu czterdziestego piątego – gdy w tych apokaliptycznych warunkach szalała epidemia tyfusu – umarło sześćset trzydzieścioro dwoje więźniów. Kilkadziesiąt osób każdego dnia. Ludzie co rano budzili się obok trupów, wyrzucali je przez okno. Jedna kobieta okazała się potem żywa, ale gdy jej ciało wyrzucali przez okno, nie miała sił dać o tym znać. Boreczek wspomina: „Kobiety biegały z kijami po baraku i polowały na szczury. Zresztą te szczury były tłuste. Żywiły się do syta w tym baraku trupiarni”[41].

Niektórzy tego nie wytrzymywali. Raz jeszcze Boreczek: „Kobiety szły pojedynczo, coraz wolniej i wolniej się do ogrodzenia zbliżały, a potem chwytały szybkim ruchem te druty i już tak zostawały, potem wyłączano zasilanie i załoga je wyplątywała”[42]. Dziesięć tysięcy woltów, kilkadziesiąt razy więcej niż w gniazdku.

Tego, co działo się w Zgodzie, było zbyt dużo nawet dla komunistów. Przyjechała komisja, obóz zamknięto. A Morel w najlepsze kontynuował karierę penitencjarną (obronił na Uniwersytecie Warszawskim pracę magisterską *Praca więźniów i jej znaczenie*). Gdy w latach dziewięćdziesiątych usłyszał zarzuty dokonania zbrodni przeciwko ludzkości, twierdził, że w jego obozie panowały warunki sanatoryjne. By uniknąć zemsty więźniów i więzienia, uciekł do Izraela. Polska zażądała

jego ekstradycji, ale Izrael odmówił. Morel umarł spokojnie w 2007 roku, a Rzeczpospolita do samego końca wypłacała mu emeryturę.

Przez obozy działające w Polsce w latach 1944–1956 przeszło około trzystu tysięcy osób, z czego nie przeżyło co najmniej dwadzieścia pięć tysięcy. Być może nawet co dziesiąty z nich wyzionął ducha w świętochłowickiej Zgodzie, górnośląskim archipelagu Gułag.

Jadę pod ogródki działkowe. O Zgodzie przypomina tam tylko odzyskana z wysypiska brama obozowa – jedyna pozostałość po obozie – garść zniczy i trzy lakoniczne tablice. To do tego miejsca od dziesięciu lat Ruch Autonomii Śląska organizuje Marsz na Zgodę, którego uczestnicy przechodzą pieszo kilkugodzinną trasę z centrum Katowic. Tą samą drogą byli tu kiedyś transportowani więźniowie.

Monika Kassner uczy historii i pisze kryminały, których akcja osadzona jest w międzywojennych Świętochłowicach.

– Tutaj o Zgodzie się wie. Wielu miało w rodzinie kogoś, kto zginął na Zgodzie albo kogoś, kto tam był – mówi. – Ale ten obóz to wciąż tabu. Nie mówi się o nim. W rodzinach to zostaje. Wie pan czemu. Mama koleżanki powiedziała mi na przykład, że nigdy nie powie tego nikomu, bo nie chce, żeby córki były tym obarczone. Bo musiałaby obciążyć mnóstwo ludzi, którzy do niedawna żyli i którzy coś znaczyli w Świętochłowicach. Też znam krewnych strażników ze Zgody. Zupełnie nieprzepracowana pamięć.

Sama dowiedziała się o powojennych losach swojej rodziny dopiero jako dorosła kobieta.

– Dziadek nie mówił nic. Dopiero od wujka kilkanaście lat temu dostałam dokumenty. Dał mi je, ale nie dlatego, żebym pielęgnowała pamięć, ale na wypadek, gdybym chciała się ubiegać o niemieckie obywatelstwo. Dziadek milczał, choć deportowano go do Donbasu, więziono półtora roku na UB, oskarżono o zdradę narodu polskiego i chciano wyrzucić z Polski. Ale do końca bał się mówić, kolejne pokolenie też nie chce o tym rozmawiać.

W styczniu 2020 roku sejm przyjął uchwałę upamiętniającą ofiary tragedii górnośląskiej, czyli dramatycznych wydarzeń, które rozegrały się tu w pierwszych powojennych latach. Dowiaduję się, że autorem projektu uchwały był śląski publicysta Marcin Musiał.

Musiał mówi mi, że sejm dokonał istotnych ingerencji w przygotowany przez niego tekst. Tłumaczy, że wycięto wszystkie elementy, które łączyłyby tragedię górnośląską z późniejszymi wydarzeniami. Zniknął na

przykład passus: „Milczenie to zbudowało mur między Ślązakami a państwem. Nie można przecież traktować jako własnego państwa, przed którym nie można publicznie dać wyrazu swojemu cierpieniu”.

Kassner podkreśla, że na Zgodzie nigdy nie pojawił się żaden istotny polski polityk. Tymczasem wielu Ślązaków powtarza, że strażnicy mówili po polsku, obóz należał do państwa polskiego i od tego państwa właśnie oczekują słowa „przepraszam”.

48

Co rusz słyszę tu, że „nas truli”, „nas traktowali jak Murzynów”, „nam zdewastowali przyrodę”. Chcę się czegoś o tym dowiedzieć, aż pewnego razu natrafiam na informacje o Jolancie Wadowskiej-Król. To lekarka, która w latach siedemdziesiątych ratowała dzieci z najbliższych okolic huty cynku w katowickich Szopienicach.

Umawiam się na spotkanie, choć osiemdziesięcioletnia lekarka twierdzi, że nie ma mi nic ciekawego do powiedzenia. Gdy jadę ją odwiedzić w domu w Panewnikach, czytam akurat biografię Kutza. Znajduję tam fragment: „Gdy wieje na niebiesko, to znak, że wytapiają cynk. A jak na biało – to ołów. Niekiedy nad domami wiszą fioletowe chmury, a liście opadają z drzew już w lipcu. »Długi czas nie wiedziałem, że powietrze jest bezbarwne« – przyzna po latach Kutz”[43].

– Całkiem niedawno, proszę sobie wyobrazić, dostaję telefon i dzwoni jeden z moich podopiecznych z Szopienic z tamtych lat – zaczyna doktor Wadowska-Król. – Pojechałam do niego i to był dla mnie szok, jak oni wyglądają. Ale o tym nie ma co mówić. Co by pan chciał wiedzieć?

– Chciałbym wiedzieć, jak wyglądają.

– Proszę pana, ich było ośmioro dzieci w domu. Piątka zmarła przed pięćdziesiątym rokiem życia. Trzech braci przeżyło, ale nie pracują, chorują, na pewno w związku z tym, co tam się działo. Jeden ma porażoną kończynę. Ich koledzy też bardzo chorują.

– A co tam się działo na początku lat siedemdziesiątych, gdy pani dostała w Szopienicach rejon jako lekarka?

– Na tych ulicach wokół kominów mieszkali biedni ludzie, byle co zarabiali w tej hucie cynku. Domy stały jeden koło drugiego, podwórka były ciasne, malutkie, tak jak izby. Ołów wyrzucany z kominów huty był wszędzie. Nie dało się przed nim uciec. Dzieci go wdychały, zjadały. Do wód gruntowych też na pewno to przechodzi. Szyby trzeba było ciągle myć, ale one nie były brudne, tylko takie siwawe. Powietrze było żółtawoszare.

– Jedzono z przydomowych ogródków?

– O ogródkach przydomowych nie było mowy. Nie rosło tam nic, nie było żadnej trawy. Ogródek pierwszy był już dalej, ponad pół kilometra. Uprawiał go jeden człowiek, który sprzedawał pietruszeczkę, jarzynki, moja mama kupowała, bo miałam małe dziecko, myślała, że jak z ogródka, to zdrowe. A było zatrute.

Mąż pani Jolanty Zbigniew, też lekarz, czasem włącza się do rozmowy, a gdy słyszy o tych jarzynkach, którymi karmiono ich syna, mówi, że nawet nie chce o tym myśleć.

– Było takie zanieczyszczenie, że zwierzęta nie dawały rady – kontynuuje doktor Wadowska-Król. – Tam ptaki nie żyły, małe pieski od razu padały, kotów nigdy nie widziałam. Bardzo duże były za to szczury. Podobno rekordowej wielkości.

Ludzie wiedzieli, że ołów leci w powietrze, ale nie wiedzieli, że jest to niebezpieczne. Mieszkali kilkadziesiąt, kilkaset metrów od dymiącego komina. Szkoła była przy samych domach i przy samej hucie. Dzieci miały swój ołowiany mikrokosmos, z którego nie było ucieczki.

Lato 1974 roku. Pacjent zero tej historii to cierpiący na przewlekłą anemię Karolek. Najpierw jest leczony w Szopienicach, następnie trafia na obserwację do Zabrza, tam zajmuje się nim profesor Bożena Hager-Małecka. Lekarka nabiera podejrzeń, niedawno za granicą spotkała się z podobnym przypadkiem. Myśli, że to może być ołowica, a jeśli tak, chorować może więcej dzieci.

Zabiera Karolka z powrotem do Szopienic. Rozmawia z lekarką z miejscowej przychodni, młodą, trzydziestokilkuletnią doktor Wadowską-Król: „Proszę zrobić badania jeszcze kilkorgu dzieciom mieszkającym przy kominie. Ale po cichu”.

– Zorientowałam się, że to tak zabójcze miejsce, dopiero gdy zobaczyłam te wyniki. Przerażające. I wtedy pojechałam do swojego dyrektora, doktora Urbana, i mówię mu, jaka jest sprawa, że będę musiała dalej robić badania. On mówi: „Jak chcesz, to rób, ale mnie w to nie mieszaj”.

Ołowica powoduje, że dzieci są słabe, bolą je brzuchy, głowy, stawy, mdleją, wymiotują, mają biegunki, sczerniałe zęby. Często pojawiają się też problemy w nauce, gdyż ołów atakuje układ nerwowy. Według dzisiejszych norm ołowicę miało wówczas od dziewięćdziesięciu do stu procent szopienickich dzieci, a co siódme dziecko mieszkające w pobliżu kominów było upośledzone umysłowo.

Huta dymiła już za kajzera, szopieniczanie byli okaleczani od niepamiętnych czasów. Lekarka przyznaje, że najpewniej to z powodu sąsiedztwa huty cynku już od czasów Cesarstwa Niemieckiego w Szopienicach istnieje szkoła specjalna, obok jest też szpital psychiatryczny.

Wadowska-Król z pielęgniarką Wiesławą Wilczek roznoszą po domach wezwania do stawienia się na badania. Jedna idzie lewą stroną ulicy, druga prawą, chodzić muszą same. Początkowo roznosili listonosze, ale wezwań było zbyt wiele i się zbuntowali.

Hager-Małecka ostrzeże szopienicką lekarkę: „Przygotuj się na to, że możemy siedzieć". Ujawniać katastrofy ekologicznej nie wolno, bo w Polsce Ludowej nie ma ołowicy, nie ma zatruć ani epidemii. W Polsce Ludowej wszystko jest cacy, a górnośląski proletariat tryska zdrowiem. W Polsce Ludowej to, że wdychanie dymu z huty cynku szkodzi zdrowiu, jest tajemnicą państwową.

Wadowska-Król robi badania błyskawicznie. Dzieci jadą do szpitali. Zabrze. Ligota. Sosnowiec. Okoliczne placówki prędko się przepełniają. Zostają pobliskie sanatoria. Istebna cała jest ich. Rabka. Jaworze. Bucze. Tam też wnet brakuje miejsc, a wypisać dzieci nie można, nie mogą wrócić do szopienickiej zony, bo tam czeka na nie ołowiany dym. W sanatoriach dostają kroplówki, witaminy, są na świeżym powietrzu, mają ruch, ołów się wypłukuje. W pierwszym rzucie na leczenie trafia tysiąc dzieci, te mieszkające najbliżej komina. W ciągu dziesięciu miesięcy przebadanych zostanie pięć tysięcy.

Doktor Hager-Małecka prosi, żeby na skierowaniach nie pisać rozpoznań, nie używać słowa „ołowica", bo ołowica nie istnieje, tylko: „podejrzenie". Na wypisach lekarze notują zaś: „podejrzenie pozytywne". Stosują szyfr. By w razie gdyby władze przechwyciły kartkę, nie było dowodu.

– Doktor Hager tłumaczyła, jak leczyć dzieci, bo wtedy nie było wiadomo, co z tym zrobić. Takie wyniki nikomu nie były znane. W prasie anglojęzycznej opisano przypadek, że dzieci dotykały ołowianych żołnierzyków lub oskubywały i jadły farby z podkładem ołowiowym. To ileż tam mogło być tego ołowiu? Odrobina. A moje dzieci jadły naraz kilka gramów. I lekarze pisali na Zachodzie, co z tym robić, ale to nie były te liczby. To w ogóle do niczego w świecie nie pasowało. Nigdzie nie stało się coś takiego jak w Szopienicach – mówi mi doktor Wadowska-Król.

To wyścig z czasem, trzeba wziąć na badania jak najwięcej dzieci. Jeśli dużo uda się przebadać i leczyć, sprawy nie będzie się już dało wyciszyć. Jeśli zaś ten wyścig przegrają, trafią do więzienia, a ołów i partia zatriumfują.

Lekarka prosiła rodziców, żeby nie puścili pary z ust, ale ludzie puszczają, po dwóch miesiącach władze orientują się, co w trawie piszczy. Sprawy poszły już jednak za daleko, nie da się ich zatuszować. Zmieniają się reguły gry. Teraz to władze chcą wyciszyć sprawę, a Wadowska-Król ją rozdmuchać.

– A rodzice wiedzieli, jakie to poważne?

– Ja odpowiem historią. Tam twierdzili, że w hucie założyli filtry. Ale w nocy, opowiadają miejscowi, strasznie się dymi, z kominów i tak idzie żółte powietrze. Jeden hutnik mi mówi, ojciec dzieci: „Pani, jakbyśmy wszystko robili z tymi filtrami, tak jak nam kazali, tobyśmy nic nie zarobili. W nocy musimy luft dać, żeby normę wyrobić". To mówił ojciec dzieci, a pan pyta o ich świadomość? Ja panu zresztą pokażę filtr. – Wychodzi z pokoju, szuka filtra po domu, po chwili wraca z serwetką. – Proszę spojrzeć. To mi podarowała jedna z pań, która tam mieszkała.

– Nic nie rozumiem, to jest serwetka.

– To jest filtr, takie zakładali w hucie. Materiał z dziureczkami, a jak były już zapylone całkowicie, to zabierali je ludzie, prali i obrusy sobie z tego robili.

Helena Kowalik pisze w 1983 roku w „Ekspresie Reporterów": „Z tajnego archiwum KW wydobyto protokół spisany w roku 1974 podczas narady w sprawie dzieci z ołowicą. Wtedy po raz pierwszy wyszło na jaw, że filtry zainstalowane w kominach szopienickiego kombinatu to atrapa, trzysta pięćdziesiąt metrów od fabrycznych murów zapylenie powietrza przekracza normę tysiąc razy"[44].

– Czyja to wszystko była wina? – pytam lekarkę, którą ktoś z rządzących nazwał kiedyś pogardliwie Matką Boską Szopienicką.

– No, czyja. Huty. Rządu. Wiedzieli, że trują pracowników i wszystkich wokół. Oni sobie nie zdawali sprawy?

– To jak władza mogła na to pozwolić?

Milknie. Boję się, że zadając zbyt naiwne pytanie, tylko ją rozeźliłem.

– Zbyszek! Na pomoc! – krzyczy do męża. Mąż przychodzi, grabił liście przed domem. – Pan zadał mi pytanie, odpowiedz. Dlaczego władze do tego dopuściły?

– Chyba liczyła się dla nich tylko produkcja. A ludzie? Co tam ludzie. I tak są zatruci, to niech się trują dalej.

– Ja tak samo uważam. – Wadowska-Król kiwa głową.

– Prymitywni robotnicy, niech pracują – kończy pan Zbigniew.

Sprawę trzeba zanieść wyżej, przeskoczyć gubernatorów i dotrzeć do cara. Ojciec doktor Hager-Małeckiej znał się z dawnych czasów z katowickim wojewodą Jerzym Ziętkiem. Lekarka ma w nim oparcie, Ziętek jej podpowiada: „Przyjeżdża wnet Gierek, to idź do niego, daj mu wyniki badań osobiście”. Hager-Małecka łapie Gierka, mówi mu, co dzieje się w Szopienicach.

Po paru miesiącach władze decydują: domy z najbliższego otoczenia kominów wyburzyć. Znikają ulice Makarenki, Rzemieślnicza, wysokie numery Westerplatte. Ludzi rozrzucają po okolicy. Hutę stopniowo wygaszają. Udało się.

Doktor Hager-Małecka namawia doktor Wadowską-Król, aby ta opisała wyniki swoich badań w doktoracie. Lekarka pisze doktorat, nie używa w nim nawet zakazanego słowa „ołowica”, nie podaje, że za choroby odpowiada huta, ale recenzje i tak są miażdżące, w Polsce Ludowej taka praca nie może być obroniona. Matka Boska Szopienicka płacze z bezsilności.

– Ale pełnych wyników nigdy nie podaliśmy, nawet w moim doktoracie. Tych liczb nigdy nie ujawniono. Ani ja, ani doktor Hager, ani nikt.

– Dlaczego?

– Bo to były zbyt tragiczne wyniki. Nikt nigdy się tego nie dowie.

– Czemu pani nie chce ujawnić?

– Bo tego się nie da powiedzieć, bo to były takie wyniki, że jakby się ktokolwiek dowiedział ze świata, to nie wiem, co by było.

– Co by było?

– No nie wiem, co by było. Jakby się ktoś dowiedział, że się takie rzeczy u nas działy…

– …to był nasz śląski Czarnobyl.

– Tak.

Pozostaje mi jej uwierzyć. Intuicyjnie czuję, że mówi prawdę.

49

Od katowickiej Sendlerowej jadę do Pszczyny, tam czekają na mnie mój kolega Wojciech Śmieja – reporter i profesor literatury – oraz jego dziesięcioletni syn Michał. Z Wojtkiem znamy się ładnych parę lat.

To bard górnośląskich hałd, dużo opowiadał mi o nich kilka tygodni wcześniej, gdy go odwiedziłem (nieco struchlały, bo akurat w tym czasie media ostrzegają, że po ziemi pszczyńskiej grasuje puma zbiegła z czeskiego ogrodu zoologicznego. Mariusz, mój przyjaciel z pobliskiego miasteczka, wysyła mi słowniczek z „Faktu", który tłumaczy, jak zwracać się do czeskiego drapieżcy: *Pěkná kočička. Vrat' se do České Republiky*). Nigdy nie zajmowały mnie zbytnio hałdy, ot, kupa syfu nawiezionego z okolicznych kopalń i zakładów. Ale Wojtek mówi o nich z takim - uczuciem!

– Jedne są piękne, jak Szarlota w Rydułtowach, inne piekielne, jak ta w Czerwionce. Najbardziej lubię hałdy w okręgu rybnickim, są stożkowe, wulkaniczne, tam moglibyśmy pojechać – mówił wtedy.

I namówił mnie na podróż po hałdach. Ucieszył się i oświadczył, że zabierze jeszcze syna, bo chce go zarazić swoją pasją. A teraz, kilka tygodni od tamtej rozmowy, jedziemy do Rydułtów zobaczyć matkę górnośląskich hałd, Szarlotę.

Odwracam się do rezolutnego Michałka siedzącego na tylnym siedzeniu Wojtkowej terenówki.

– Michał, a co to są te hałdy?

– To są, proszę pana, usypane góry.

Michał początkowo wcale nie palił się do wycieczki. O nie. To ostatni ciepły weekend jesieni, wolał do kolegów. Jedzie, bo tata obiecał mu, że te góry będą dymić. Jak wulkany.

Hałda Szarlota, 2003
Fot. Arkadiusz Gola

Hałda to ogromne cmentarzysko wszelkiej maści odrzutów i bubli. Przed stu laty w warszawskim *Słowniku języka polskiego* zdefiniowano je tak: „Kupa kamieni pustych i ziem płonnych, z kopalni wydobytych i w pobliżu szybu leżących”[45].

Hałda Szarlota ma ponad dwieście lat. Dziś ma czterysta siedem metrów nad poziomem morza. To mniej więcej tyle, co piramida Cheopsa. Hałdy to właśnie takie nasze górnośląskie piramidy i zikkuraty. Jest ich tu ponad sto.

Od podstawy mierzy sto trzydzieści cztery metry. Gdyby leżała na Białorusi, prześcignęłaby Górę Dzierżyńską i była najwyższym szczytem tego nizinnego kraju. Rydułtowska hałda byłaby dachem Białorusi.

Dojeżdżamy do Rydułtów. I jest – Mount Charlotta. Widzimy ją, góruje nad krajobrazem. W tym momencie nawigacja staje się bezużyteczna, nie ma do niej oficjalnego dojazdu, dociera się tam jakimiś chaszczami, łączkami, zagajniczkami, ale my nie znamy drogi, więc kluczymy, pakujemy się w kolejne wertepy, ślepe dukty, żwirówki, ale żadne z nich nie prowadzą do celu. Krążymy po wiosce, pytamy miejscowych, pokazują palcem tam, sam, jedziemy, wracamy, tak w kółko, hałda to znika nam

z oczu, to znów się pojawia. Sytuacja z pogranicza jawy i snu, coraz bardziej wątpimy, czy ona istnieje.

Po chodniku idzie mężczyzna z wózkiem na złom czy węgiel. Pytamy, on wie, pokazuje. Może sam ciuła jakiś grosz na hałdzie. Od wielu pokoleń istnieje kultura hałdziarzy, którym hałda nie pozwala zginąć.
W pokopalnianych resztkach jest oddany na wieczyste składowanie żużel, gruz, skały, ale też węgiel czy inne skarby. Tutaj trwa od pokoleń gorączka węgla, hałdy są naszym Klondike.

Kazimierz Kutz opowiadał kiedyś w *Powrotach hanysa*, jak kręcąc jeden z filmów w świętochłowickich Lipinach, statystów zebrał w „plemieniu". Byli to łachmaniarze mieszkający w norach wykopanych w hałdach. Urządzili sobie tam małą osadę, hałda ich grzała, żywiła, a oni pili sobie spokojnie denaturat, zwany tam „ss-likier". Pasożytowali na hałdzie. Nie oni jedni. Tadeusz Kijonka zwracał się do niej w swoim wierszu: „Tyś co dnia ściernisko kopalnych pokłosów – Głodnych śmietniku święty"[46].

– To równie ważny element dziedzictwa górnośląskiego jak kopalnia Guido czy Nikiszowiec. Ale nie wszyscy to czują. Dla wielu to hasiok, śmietnik. Tymczasem hałda żywiła i truła zarazem – mówi Wojtek. – Są trzy fazy życia hałdy i relacji człowieka z nią: usypywanie, potem kohabitacja, gdy dzieci się na niej bawią, ludzie z niej żyją, i wreszcie zamieranie, kiedy resztki węgla się kończą. Wtedy zaczyna być widziana jako zagrożenie. Od narodzin przez życie aż po śmierć. To cykl życia hałdy: inhalowanie trucizną i utrzymywanie się z niej. W ten sposób staje się ona nośną metaforą Górnego Śląska.

Błądzimy dłuższy już czas, aż w końcu czwarty przechodzień tłumaczy jasno, jak dojechać na Szarlotę. Tłumaczy, a ja zachwycam się melodią słów, gdy Wojtek, pytając o drogę, płynnie przechodzi na śląski.

Jest. Stajemy u podnóża Szarloty, parkujemy auto w chaszczach, wchodzimy do zony jak stalkerzy u Tarkowskiego. To świat dziur w płotach, obsuwających się kamieni, zapadlisk. Wejście tu jest zabronione.

Wchodzimy pod górę, ale jest nam coraz trudniej. To ogromny nasyp, ślizgam się, potykam. My, hałdziani Kukuczkowie, zdobywamy ten nasz szczyt, szukamy szlaków, ale tu nie ma szlaków, trzeba je sobie wychodzić, tu, w tych skałach, gdzie żużel jest mezozoikiem, a pył węglowy – paleozoikiem.

Przed nami kawałek płaskiego terenu lub jak ujmuje to Wojtek Śmieja – *plateau*.

– A Szarlota dymi? – pytam.

– Ona akurat nie, jest uśpiona.

– Ale zawsze może zapłonąć.

– To prawda.

I natychmiast po tych słowach stajemy przed popękaną ziemią, z której trzewi zieje gęsty i ciepły dym. Hałda w środku płonie, spalają się nawiezione tu syfy, dym nas truje, ale i wabi. Michałek jest wniebowzięty, ma to, po co tu przyjechał, oto nasz górnośląski Wezuwiusz w Rydułtowach obok Radlina.

Hałda Radlin, 2014
Fot. Arkadiusz Gola

Kilkadziesiąt metrów dalej naszym oczom ukazuje się jeszcze większe kuriozum: kilkumetrowy krater wyrzucający z siebie licznych posłańców tablicy Mendelejewa. Można przysiąść sobie na brzeżku, pupę omiecie przyjemne gorąco. A według Kutza „najlepszym miejscem na miłość są hałdy rozgrzane węglem”[47].

Ale z wyziewami trzeba uważać. „Trybuna Górnicza” ostrzega: „W ogóle nie należy chodzić po hałdach, jeśli objęte są one procesem

termicznym. Grozi to bowiem ugrzęźnięciem w tworzących się pustkach, nieraz bardzo głębokich. Panująca w nich temperatura sięga nawet 100 st.”. W środku są setki tysięcy, miliony ton odpadów, płoną, uspokajają się na dziesiątki lat, po czym wybuchają znowu, są jak wulkany, z tym że czasem uśpione, ale nigdy wygasłe.

Obok cuchnących niemożebnie wyziewów ścieli się dziwna roślinność. Nigdy takiej nie widziałem, korzeń tkwi w podziemnym kotle, łodyga jest długa, obrośnięta żółtą, gęstą sierścią, całość wykrzywiona.

– Te odpady są toksyczne niesłychanie, więc wyrasta endemiczna roślinność, niespotykana nigdzie indziej – tłumaczy Wojtek. – A wiesz, co na hałdzie najlepiej rośnie? Pomidory i marihuana. Dobrze ponoć rosną też grzyby. W Rudzie Śląskiej jest hałda, gdzie trafiają odpady miejskie, wszystkie gówna. Jest niezwykle żyzna.

Wspinamy się coraz wyżej, a Wojtek żartuje sobie z Michałkiem, że zaraz wyskoczą dwumetrowe zmutowane wiewiórki.

Wreszcie stajemy na szczycie. Niżej kursują wywrotki, które z pobliskiej kopalni zwożą kolejne odpady i dosypują górę, orogeneza rydułtowska nie czeka na ruch skorupy ziemskiej, jej ojcami i matkami nie są fałdowania i wypiętrzenia, ale jelcze i stary.

Z tego szczytu widać cały górnośląski kosmos, Górny Śląsk zielony, gdzie krajobraz tworzy przyroda, i czarny, gdzie tworzy go jej deformacja. Zielony ma swój święty szczyt, Górę Świętej Anny, a czarny, historia alternatywna zielonego, ma swoją Szarlotę.

O, Szarloto, nasza Góro Tabor, gdzie brud przemienia się w piękno, sami sobie ciebie usypujemy, sami stawiamy zabytki z tego, co zbywa, ty Szarloto, stworzona z ludzkiego i nieludzkiego, zawieszona między naturalnym i sztucznym tak, że nie wiadomo już, które jest które. Hałdo, ty nasz górnośląski Frankensteinie, osierocony kwilisz ku szybom i chodnikom, tkwisz w łańcuchu hałdzianym, tym kopalnianym bidulu, symbolizując walkę przyrody z człowiekiem, gdzie pozorne zwycięstwo odniósł człowiek z wywrotkami marki Scania, ale wystarczy pojechać do tych wszystkich Szopienic (bo nie jedne Szopienice nawiedziła katastrofa ekologiczna), posłuchać ludzi i już wiadomo, kto przegrał.

– W Europie takie widoki są jeszcze tylko w Walii, Francji, Niemczech i Donbasie. Francuzom udało się wpisać swoje zagłębie Nord-Pas de Calais, w tym tamtejsze hałdy, na listę UNESCO. Hałdy na liście UNESCO! Obok Luwru i zamków nad Loarą – emocjonuje się Wojtek. – Nord-Pas de

Calais uczynił z hałd swój symbol, też tożsamościowy. A naszą Szarlotą podsypują autobany i za jakiś czas zniknie. Mimo że jest po prostu piękna. Pozbawiamy się kolejnego symbolu, choć symbole, które dziś mamy, barbórka, orkiestra górnicza, są archaiczne. Symbolem Górnego Śląska powinna być hałda.

Stoimy dłuższą chwilę i gapimy się na dwa Górne Śląski, które tu, na ziemi rybnickiej, akurat się przenikają. Michałek wierci się coraz bardziej, nudzi mu się, wracamy.

50

Wojna o symbole trwa tu od trzydziestu lat. Jej umownym otwarciem był spór o marszałka na Kasztance z jądrami i fallusem.

W Polsce jest osiemnaście miast wojewódzkich. Tylko w jednym Józef Piłsudski nie ma upamiętnienia w nazwie ulicy, bulwaru, parku czy ronda. To Katowice.

W Polsce jest też dwadzieścia miast niebędących stolicami województw, których liczba ludności przekracza sto tysięcy. Piłsudski nie ma takiego upamiętnienia również tylko w jednym z nich. To Chorzów.

Nieprzypadkowo. To dwa największe miasta międzywojennego województwa śląskiego. Wielu tutejszych Ślązaków nie przepada za II Rzecząpospolitą. Mimo to po śmierci Józefa Piłsudskiego II Rzeczpospolita postanowiła Ślązakom sprezentować pomnik marszałka, a III Rzeczpospolita zadbała o erekcję.

Jadę spytać o to profesor Ewę Chojecką. To guru śląskich historyków sztuki. Mieszka w Bielsku, kilkaset metrów dalej płynie rzeka Biała, która rozdziela historycznie śląskie Bielsko i galicyjską Białą. Bielsko i Biała od kilkudziesięciu lat tworzą jedno miasto, różnice między nimi już niemal się zatarły. Pewnie taki sam los czeka Katowice i Sosnowiec.

Chojecka przyjmuje mnie w swoim domu. Urodziła się w nim w 1933 roku – niedługo po przeprowadzce rodziców z Wielkopolski. Jej umysł: żyleta. Jest wytworna i serdeczna. Wypytuje mnie o rodzinę, zainteresowania, poglądy. Choć zawsze staram się przestrzegać zasady, że reporter powinien powiedzieć coś o sobie, żeby móc oczekiwać, że bohater odwzajemni się tym samym, to nie jestem w tym dobry. Lepiej czuję się w rozmowach o faktach, gromadzę je, a później staram się sam je ułożyć w nieoczywisty sposób. Gorzej idzie mi traktowanie rozmówcy nie jak encyklopedii, ale jak żywego człowieka. Tak mam.

Ale tym razem trudno mi skupić się na rozmowie nie tylko dlatego, że Chojecka jest mnie ciekawa. W salonie, w którym siadamy, każdy przedmiot to dzieło sztuki. Energiczna historyczka co rusz będzie wychodzić do któregoś z sąsiednich pomieszczeń, żeby pokazać mi kolejne książki i albumy. Podczas wywiadów na ogół przeglądam w tych krótkich

momentach notatki albo sprawdzam, czy dyktafon nagrywa, ale teraz każdą chwilę wykorzystuję na zwiedzanie tego niezwykłego wnętrza.

– Mówi się, że wszystko zaczęło się w osiemdziesiątym dziewiątym, ale to nieprawda. Wiele spraw wyzierało już dekadę wcześniej, od osiemdziesiątego, kotłowało się, kiełkowało. Rozpoczęliśmy sklejanie pamięci z okruchów. Musieliśmy walczyć o ciągłość tej pamięci, żeby nie być wykorzenieni. Wie pan, ja to widzę tak, że wszyscy jesteśmy pielgrzymami, którzy muszą coś przekazać dalej. Na początek wzięliśmy się za II Rzeczpospolitą, a później, już w latach dziewięćdziesiątych, znikały bariery czasu i przestrzeni: przeszliśmy na drugą stronę dawnej granicy, do Opawy, Gliwic czy Opola, schodziliśmy coraz głębiej, badaliśmy pałace dziewiętnastowiecznych magnatów, śląski barok, sztukę protestancką. Układaliśmy z tego historię. Ale pęknięcie pamięci uwidoczniło się w pełni po raz pierwszy, dopiero gdy ludzie przyszli do mnie w sprawie pomnika Piłsudskiego – opowiada Chojecka.

Rozpisany przez sanacyjne władze w 1936 roku konkurs na pomnik dla Katowic wygrywa chorwacki rzeźbiarz Antun Augustinčić. Artysta kończy dzieło, mocarny pomnik ma trafić na Śląsk jesienią 1939 roku, ale nie trafia. Wybuch wojny sprawia, że marszałek przepada.

Mija wojna, stalinizm, komuna, okazuje się, że Piłsudski przetrwał. Ktoś pojechał na wakacje do Jugosławii i zauważył go na dziedzińcu muzeum w prowincjonalnym chorwackim Klanjcu. W 1989 roku katowiczanie decydują się odzyskać swoje. Delegacja udaje się do Jugosławii, żeby zabrać rzeźbę.

Jest tylko jeden szkopuł: czy Augustinčić zdążył otrzymać od Katowic honorarium za marszałka? Nie zachowały się żadne dokumenty, Chorwaci pomnika mogą nie oddać.

– Jechałam z duszą na ramieniu: co będzie, jeśli w muzeum zażyczą sobie przedwojennych pokwitowań? Bałam się do ostatniej chwili, spotkaliśmy się, negocjowaliśmy, ale gdy oni się w końcu zgodzili, gdy podpisaliśmy już wszystkie dokumenty, zebrałam się na odwagę i spytałam Chorwatów: „Panowie, ale nie zażądaliście potwierdzenia przelewu”. Oni się wtedy roześmiali: „Droga pani, przecież my wiemy, że pieniądze przyszły. Augustinčić nimi zadysponował. Na początku wojny przekazał je komunistycznej partyzantce Josipa Broza-Tity. Był patriotą!” – wspomina Chojecka.

Z półwiecznym poślizgiem pomnik trafia do Katowic. Przyjechać ma też cokół, ale wybucha wojna – tym razem nie w Polsce, ale w Jugosławii.

– Aliści, gdy rozeszło się, że mają stawiać w Katowicach pomnik Piłsudskiego, zaczęło się coś ważnego. Uwidoczniło się pęknięcie, ludzie zaczęli upominać się o swoją pamięć. Przyszli do mnie korfanciorze i powiedzieli: „Protestujemy! Ten pomnik jest dla nas obrazem sanacyjnej władzy! I jeśli tu stanie, przyjdziemy i go zniszczymy!”. Oni chcieli, żeby zamiast tego postawić pomnik Korfantemu, ale my nie mieliśmy Korfantego, mieliśmy tylko Piłsudskiego.

Część katowiczan chce Piłsudskiego, który był uosobieniem sanacji, część – Korfantego, którego sanacja zniszczyła. To spór w swojej logice podobny do sporu zwolenników Piłsudskiego i Dmowskiego. Fundamentalny.

Pomnik marszałka jest poddawany renowacji, gdy (o tym wątku opowie mi innym razem ówczesna asystentka Chojeckiej Irma Kozina) wojewoda śląski Wojciech Czech dowiaduje się, że może zostać niebawem odwołany. Cokołu wciąż nie ma, ale on wie, że jeśli nie postawi Piłsudskiego teraz, marszałek może już nigdy nie ujrzeć światła dziennego i utknąć w magazynie.

Wojewoda stawia czym prędzej Piłsudskiego na kawałku betonu, bez cokołu. W tym momencie oczom przechodniów ukazuje się niespodziewany widok. Otóż ukochana klacz marszałka między nogami ma członek oraz dwa jądra. Tak zwane ogierze puzdro. Wnet zjawia się banda łobuzów, którzy, wierni historycznym niuansom, kastrują Kasztankę. Później władza genitalia wałachowi dosztukuje i do dziś Józef Piłsudski na katowickim placu Chrobrego dosiada hermafrodycznego konia.

– Po kilku latach obok postawiono pomnik Korfantego. Do dziś stoją tak naprzeciwko siebie. Piłsudski przedstawiony jest jak tradycyjny rzymski wojownik na koniu, a Korfanty stoi z opuszczonymi ramionami, przegrany, bezsilny. Czytani razem stanowią memento – wspomina Chojecka.

– Jakie? – pytam.

– Że historia nie jest czarno-biała.

51

Trzy dekady temu komunistyczna propaganda tajała, na wierzch wychodziły pęknięcia pamięci. Była jednak jeszcze inna pamięć. Bo o ile pamięć korfanciorzy czy piłsudczyków mieściła się w pamięci polskiej, o tyle pamięć znacznej części autochtonów się jej wymykała. W kanonie krajowym nie było miejsca na dziadka z Wehrmachtu czy powojenne obozy koncentracyjne. Pamięć autochtonów potrzebowała zatem nieco więcej czasu, by wyjść z geburstagów, laub i się wykrzyczeć.

Często o tym myślę. Zazdroszczę tym wszystkim Krakowom, że mają pamięć ciągłą, zazdroszczę im nawet tego zakłamanego Lajkonika, który osiemset lat temu za mongolskiego najazdu gwałcił i mordował, a potem został tak oswojony, że dziś jest miłym symbolem miasta. To tak, jakby po ośmiuset latach nazista był sympatycznym symbolem Auschwitz. Brakuje mi przeszłości, choćby miała być legendą, i dlatego wzruszam się, gdy dostaję w prezencie spisane dekady temu wspomnienia mojego sędziwego sąsiada – powiedzmy, że nazywa się Fryderyk.

Otrzymałem kiedyś niewielki pamiętnik dziewięćdziesięcioletniego dziś sąsiada, który opowiadał mi o moim pradziadku Johannie doglądającym budowy naszego domu na końskiej mierzwie. Najbardziej poruszył mnie fragment o życiu religijnym w międzywojniu: „Zdarzały się nawet odwiedzenia innych sanktuariów, zwłaszcza dla przemieszczających się po Europie żołnierzy, odwiedzających także Częstochowę. Niektórzy sobie nawet przypominali, że w ten sposób realizują ślubowanie przodków z 1626 roku”.

Mowa o ślubowaniu złożonym przed czterystoma laty, w czasie wojny trzydziestoletniej, gdy pod bramy katolickiego miasta podeszła protestancka armia. Gliwiczanie zgromadzili się w kościele farnym i powierzyli miasto Matce Boskiej. W zamian za ratunek obiecali pielgrzymować na Jasną Górę. Według legend, gdy wróg podszedł pod mury, mieszczanie stawili zaciekły opór, a mieszczki wylewały najeźdźcom na głowy gorącą kaszę oraz proso. Matka Boska miała ukazać się obrońcom i uratować ich, podobnie jak Polakom w Częstochowie w walce ze Szwedami czy trzysta lat później w Bitwie Warszawskiej z bolszewikami.

Wróg został odparty, a miasto otrzymało herb z wizerunkiem Matki Boskiej, którego używano aż do wkroczenia Sowietów i Polaków. Wówczas nagle tę pamięć zerwano. Nasze liczne legendy przykryła jedna legenda o setkach lat udręki śląskiego ludu piastowskiego, który czekał na powrót do macierzy. Zerwaliśmy ciągłość, sami siebie zapomnieliśmy, pamięć sięgająca choćby paru pokoleń w głąb to w Gliwicach luksus. Sam, pisząc tę książkę, ustalam, że jesteśmy związani z schönwaldzkmi Niemcami, dowiaduję się, co prapradziadek robił w powstaniu śląskim czy pradziadek w Wehrmachcie. Tu wszystko stoi na głowie, mnie nikt tej pamięci nie ofiarował, to ja ofiarowuję ją mojej babci i matce.

I dlatego wzrusza mnie, że mój sąsiad wciąż przechowuje w sobie tę cząstkę dawnej pamięci, bo skoro już pisane nam było stać się nawozem dziejów, to szkoda te dzieje stracić. Tutejsza historia to wojny husyckie, wojna trzydziestoletnia, wojna prusko-francuska. To nie moja wina, że gdy Polska walczyła z Krzyżakami, my byliśmy po drugiej stronie. Co na to poradzę, że Polsce Fryderyk II Hohenzollern przyniósł rozbiory, a nam kominy i cywilizację. Choćbyśmy chcieli, żeby było inaczej, to my nie przegraliśmy powstania styczniowego, za to I wojnę światową już tak. Dla nas 1945 rok był początkiem wojny, nie końcem. Ktoś przekazał mi swoją pamięć, Ślązaków potraktował jak przeszczep do polskiego organizmu, który teraz wszyscy z troską oglądają, czy się przyjął.

52

Jest rok 2019, w Katowicach wnet ma się rozpocząć demonstracja, na której tysiąc z kawałkiem Ślązaków będzie domagać się przywrócenia województwu międzywojennej autonomii. Jak co roku, od kilkunastu lat. O poprzednim marszu TVP przygotowała materiał pod tytułem *Niebezpieczny separatyzm*.

Idę na plac Wolności, skąd zaraz ma wyruszyć marsz. Plac jest jedną z niezliczonych ofiar tej wulgarnej środkowoeuropejskiej palimpsestozy. Niemcy zbudowali miasto i postawili tu pomnik niemieckich cesarzy, Polacy odbili miasto, zburzyli pomnik niemiecki, postawili pomnik walczących z Niemcami powstańców, Niemcy przejęli miasto, zburzyli polski pomnik, Sowieci zajęli miasto, powstał pomnik radzieckich żołnierzy, a parę lat temu zdemontowano pomnik radziecki i rozgorzała dyskusja, co powinno się stać z pustym cokołem. Patrzę na niego tego dnia i widzę w nim pomnik pomników. To mi się podoba. Plac Wolności powoli zachodzi Ślązakami. Autonomiści dają mi ulotkę.

Ulotka domaga się przywrócenia międzywojennej autonomii, wywiązania się z *pacta conventa*, które Piłsudski złożył Ślązakom.

Ulotka uspokaja, że autonomiści spod znaku Ruchu Autonomii Śląska nie są separatystami, pozostaną w granicach Rzeczypospolitej.

Ulotka informuje, że chcą mieć Sejm Śląski, który decydowałby o sprawach województwa – z wyłączeniem polityki zagranicznej i obronnej, to zostawią Polsce.

Ulotka pyta, dlaczego w innych krajach wpływy z VAT pozostają w regionach, a w Polsce nie. Wylicza: w przypadku Hiszpanii pozostaje pięćdziesiąt procent, Niemiec – czterdzieści trzy procent, w Polsce – zero.

Ulotka proponuje Rzeczypospolitej układ: sześćdziesiąt procent wpływów z VAT zostaje w Katowicach, czterdzieści idzie do Warszawy. Śląsk syty i Polska cała.

I jeszcze zmiana granic. Miałoby powstać województwo obejmujące większość historycznego Górnego Śląska z koniecznymi dodatkami takimi jak Zagłębie.

Na marsz idę z Łukaszem Tudzierzem, katowickim publicystą. Pytam Łukasza, po co tu w ogóle przyszedł.

– Wiesz, dobre pytanie… Tak chyba trzeba. Trudno to wyjaśnić. To jedyny raz w roku, kiedy Ślązacy mogą się spotkać i razem przemaszerować. Choć może warto zmienić szyld. Idea autonomii już się wypaliła i wszyscy wiedzą, że żadnej autonomii nam nie dadzą.

Na czele marszu będzie sunąć platforma z transparentem „Międzygalaktyczny Dworzec Olkusz". W dwóch językach, po polsku i rosyjsku, żeby wskazać, że Kongresówka decyduje o Ślązakach. Chodzi o rządowy projekt budowy w okolicach małopolskiego Olkusza dużego węzła kolejowego – część komentatorów twierdzi, że w ten sposób katowicki dworzec przestanie być głównym dworcem regionu, a Górny Śląsk straci na znaczeniu. Platforma tkwi na lawecie, a lawetą kieruje znudzony pan z firmy Auto-Król z Mysłowic.

Pochód rusza na plac Sejmu Śląskiego. Atmosfera jest wesoła, przekrzykują się napisy niemieckie, polskie, śląskie (notuję: „Skocz mi na pukel", „Gryfny karlus", „Nie nerwuj hanysa"). Ktoś jak co roku niesie portret Dietera Przewdzinga – zamordowanego parę lat temu w niewyjaśnionych okolicznościach niemieckiego burmistrza Zdzieszowic, leżących u podnóża Góry Świętej Anny.

Ale RAŚ potrzebował wiele czasu, żeby wyprowadzić ludzi na ulice. W latach dziewięćdziesiątych w województwie katowickim – inaczej niż niemieckość w opolskim – śląskość nie eksploduje. Pełza. Ruch Autonomii Śląska powstaje już u progu transformacji, ale wówczas to partia kanapowa, tworzą ją ludzie nie najmłodsi, spośród których niejeden pamięta międzywojenną autonomię. To idealiści bez doświadczenia politycznego, którzy uchodzą raczej za dziwaków, mają opinię grona zamkniętego, nieufnego wobec obcych. Ruch skupia się nie na wszystkich mieszkańcach regionu, ale na Ślązakach „z dziada pradziada". Ton debacie regionalnej nadają wówczas inne środowiska, prezentujące bardziej ugrzecznioną i szerzej akceptowaną wizję regionu, jednoznacznie wpisującą śląskość w polskość.

Mimo wszystko Ruch Autonomii Śląska wielu niepokoi. Interesują się nim służby, boją się, by Ruda Śląska nie stała się drugim Groznym, Świętochłowice – Srebrenicą, a RAŚ nie zmienił się w ETA i nie wysadził Spodka. Profesor Marek Szczepański, socjolog z Uniwersytetu Śląskiego, wspominał swoją znajomość z Ryszardem Kapuścińskim: „Kiedy pojawiły

się pierwsze żądania autonomii, odbywał ze mną długie rozmowy o tym, czy nie oznacza to oderwania Górnego Śląska od Polski. Ten wybitny pisarz nie miał pewności, a co dopiero pomyśleć o ludziach, którzy nie znają tego regionu”[48].

W połowie lat dziewięćdziesiątych w szeregi RAŚ wstępuje rzutki, dwudziestopięcioletni Jerzy (Jorg) Gorzelik. Pisze doktorat u Ewy Chojeckiej (temat: *Etapy przemian sztuki barokowej w opactwie cysterskim w Rudach Wielkich koło Raciborza*). Jest jednym z historyków, którzy starają się posklejać nową narrację o regionie.

– Gdy postulowałem większy dynamizm w działaniu, spotykałem się z opinią, że sukcesem jest już to, że RAŚ istnieje i wolno głośno mówić, że Górny Śląsk powinien mieć autonomię – opowiada mi Gorzelik. Siedzimy w barze w teatrze Korez. Przed wejściem stoi pomnik Korfantego, obok Piłsudskiego. – Z perspektywy starszej osoby, która za komuny o autonomii mogła mówić co najwyżej szeptem w kuchni, rzeczywiście to był sukces, ale wkraczającym w dorosłość po osiemdziesiątym dziewiątym tyle nie wystarczało. Ówcześni liderzy RAŚ nie widzieli realnej możliwości wywalczenia autonomii.

Z Gorzelikiem pijemy piwo Żywiec, a ja żałuję, że idąc do baru, nie spytałem go, które woli: tyskie czy żywiec. To z jednej strony nie ma znaczenia, ale z drugiej dla wielu Ślązaków jest kwestią honoru, żeby zamówić śląskie tyskie, a nie małopolskiego żywca.

Gorzelik w 1997 roku staje na czele Związku Ludności Narodowości Śląskiej, energia RAŚ skupia się od tego czasu na rejestracji w Polsce nowego narodu. Autonomiści ożywają.

– Dyskusja o narodzie była katalizatorem przemiany ruchu górnośląskiego. Młodym się to podobało, bo pokazaliśmy wizję górnośląskości niepokorną, niekoncesjonowaną. Odwoływaliśmy się też do silnego wśród wielu Ślązaków poczucia odrębności od Polaków, nadawaliśmy temu poczuciu ramy. Z czasem mieliśmy coraz większe wsparcie, na przykład od Kutza – wspomina Gorzelik.

Polskie sądy nie są jednak narodem górnośląskim szczególnie zainteresowane i odmawiają rejestracji stowarzyszenia. Sprawa trafia do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu i tam upada.

Gorzelik nie odpuszcza. Wraca ze Strasburga i na pytanie, czy czuje się zdrajcą ojczyzny, wypowiada słowa, które echem niosą się od dwudziestu lat: „Jestem Ślązakiem, nie Polakiem. Moja ojczyzna to Górny Śląsk. Nic

Polsce nie przyrzekałem, więc jej nie zdradziłem. Państwo, zwane Rzecząpospolitą Polską, którego jestem obywatelem, odmówiło mi i moim kolegom prawa do samookreślenia. I dlatego nie czuję się zobowiązany do lojalności wobec tego państwa”[49].

Niedługo po tym, jak projekt rejestracji ZLNŚ upadł, w 2002 roku, rozpoczyna się pierwszy niezależny powojenny spis powszechny. RAŚ organizuje pogotowie spisowe – ludzie mogą dzwonić, jeśli rachmistrz odmówi wpisania w rubryczkę „narodowość” słowa „Ślązak”. Telefon odzywa się ponad osiemset razy.

Mimo to wynik szokuje nawet największych śląskoentuzjastów: sto siedemdziesiąt trzy tysiące deklarują, że są narodowości śląskiej. Ślązacy prześcigają Niemców, stają się największą mniejszością w kraju. A w majestacie prawa wciąż nie istnieją.

Na fali sukcesu stery w RAŚ obejmuje Gorzelik. Nie jest jowialnym Bercikiem wyjętym z kabaretu Masztalskich, ale inteligentnym i ułożonym doktorem historii sztuki. Pracuje na uczelni, włada kilkoma językami. Sprawny mówca, natura prowokatora, wielu widzi w nim młodego Leppera po szkołach.

RAŚ wnet przestaje być miejscowym folklorem, porzuca co bardziej radykalne hasła. Gorzelik zmienia reguły gry: od teraz Ruch nie będzie reprezentował już tylko autochtonów, otwiera się na wszystkich mieszkańców regionu. Od teraz Ślązakiem można się stać, nie trzeba urodzić.

Gorzelik sam jest mieszańcem, jak o sobie mówi – krojcokiem. Od strony ojca górnośląskie korzenie sięgają głęboko, ale od strony matki już nie. Pradziadek Zdzisław Hierowski przyjechał na Górny Śląsk po I wojnie światowej w ramach akcji polonizacyjnej. Zwalczał autonomistów, twierdził, że Śląsk jest odwiecznie polski, a Ślązacy to Polacy. Poglądy o sto osiemdziesiąt stopni inne niż prawnuka. W domu Gorzelika pierwszym językiem był polski, rodzice pilnowali, żeby mówić bez śląskich naleciałości, później musiał dopiero sam się śląskiego nauczyć. Ożenił się z Aleksandrą, Polką z Łodzi.

Obok żądania autonomicznego województwa RAŚ domaga się uznania narodowości śląskiej, języka śląskiego, propaguje swoją wizję historii w takich sprawach jak polskie obozy koncentracyjne czy Ślązacy w Wehrmachcie. W latach dwutysięcznych tworzy narrację dla wielu spójną i atrakcyjną. Gorzelik daje twarz nabierającej kształtów górnośląskości.

RAŚ staje się *cool*, ciągną do niego młodzi. Ton RAŚ zaczyna nadawać pokolenie dorastające już po 1989 roku.

Marsz sunie przez Katowice, dochodzi na plac Sejmu Śląskiego, pod pomnik Korfantego. Autonomistów zebrało się niewielu, plac jest duży, może dlatego RAŚ zorganizował tu dziś targ staroci, dzięki temu zrobiło się bardziej tłoczno. To ważne, bo minęło już kilka lat od piku śląskiego hurraoptymizmu, na coroczne marsze przychodzi znacznie mniej ludzi.

Pomaszerowali, pokrzyczeli, teraz rozpoczyna się festyn: śląskie szlagiery, krupnioki, piwo. Snuję się po placu. Nagle zauważam Gorzelika. Marsz odbywa się kilka miesięcy przed naszą rozmową w teatrze Korez, podczas marszu jeszcze się nie znamy. Ja wiem, kim jest on, on nie wie, kim ja jestem. Snuję się po placu i nagle widzę, jak nerwowo tłumaczy coś jednemu ze straganiarzy. Podchodzę, kłócą się o niemieckie odznaczenie wojenne ze swastyką, które leży na straganie. Nasłuchuję.

– No niech pan to schowa, kręci się tu telewizja narodowa, przyjdą i tylko to sfilmują – gorączkuje się Gorzelik.

– Nie schowam, ja to sprzedaję – odpowiada straganiarz.

– To niech pan chociaż obróci do góry nogami, niech nie będzie widać swastyki, bo oni tylko to sfilmują z całego marszu – piekli się lider RAŚ.

Sprzedawca po dłuższej chwili daje się przekonać i kitra odznaczenie z hakenkreuzem. Myślę, że Gorzelik obawia się gęby neonazisty. Kilka różnych gęb już ma.

Gorzelik nie raz, nie dwa wypuszczał język na długi spacer. Gdy przypomniał słowa brytyjskiego premiera, który po I wojnie światowej oświadczył, że dać Polsce górnośląski przemysł to jak dać małpie zegarek – i Gorzelik uzupełnił tę wypowiedź: „Widać, że małpa ten zegarek zepsuła”[50].

Gdy mówił: „Nie rozumiem, dlaczego dzieci śląskie mają czytać Sienkiewicza i uczyć się o polskich uniesieniach. Ta kultura jest nam kompletnie obca”[51] (marszałek Adam Matusiewicz z PO powie mu: „Jurek, jak się nie uważasz za Polaka, to nie możesz jeździć po naszych wieszczach”).

Albo kiedy prowokuje, powtarzając, że gdy Polska gra w piłkę z Niemcami, kibicuje Mannschaftowi, reprezentacji niemieckiej. Bo Górny Śląsk obok takich miejsc jak Barcelona czy Banja Luka to jedno z największych ognisk kibicowskiego separatyzmu na kontynencie – miejsc, gdzie peryferie często nie kibicują swojemu formalnemu centrum.

Lub gdy nominowany przez PiS wojewoda Jarosław Wieczorek mówił: „Odnoszę wrażenie, że faktyczny cel główny RAŚ to nie autonomia, ale oderwanie Śląska od Polski”[52]. Wówczas Gorzelik postanowił przebrać się za separatystę: zjawił się pod jego siedzibą w niemieckiej czapce wojskowej z atrapą karabinu, sfotografował się i zamieścił w internecie zdjęcie z cytatem z Majakowskiego: „Słowo ostatnie ma dzisiaj towarzysz Mauzer”.

Gorzelik lubi prowokować. Widać, że go to kręci. I wie, w które struny uderzać. Nie trzeba zresztą wiele wysiłku, by poznać czułe struny Polaków: wystarczy w Google wpisać frazę „Śląsk to”. Wśród pięciu pierwszych wyszukań będą: „patologia”, „nie Polska”, „Niemcy”. Być może nie przypadkiem pokrywa się to z dwiema głośnymi wypowiedziami Jarosława Kaczyńskiego – o Ślązakach jako zakamuflowanej opcji niemieckiej oraz o Górnym Śląsku jako miejscu, gdzie natężenie patologii jest bardzo wysokie.

– Wielu tak myśli, nie tylko w PiS. Choćby Komorowski. Gdy był prezydentem, zrobił spotkanie na zamku w Wiśle, była tam wierchuszka PO i Ślązacy jedynej słusznej opcji. Tematem było zagrożenie ze strony RAŚ. Komorowski nie ukrywał, że je dostrzega. Powiedział, że jeśli Ślązacy otrzymają autonomię, w następnym spisie zadeklarują się jako Niemcy i będą chcieli przyłączenia do Niemiec – opowiada mi związany z RAŚ Pejter Długosz.

Gorzelik jest świadom, że RAŚ ma łatkę separatystów, niemieckiej piątej kolumny. Pytam go, czy wolałby, żeby Górny Śląsk należał do Niemiec.

– A kto by nie wolał należeć do Niemiec? – uśmiecha się Jorg.

Dobrze mi się z nim rozmawia, Gorzelik wydaje się wyluzowany, jest błyskotliwy, chętnie balansuje na granicy prowokacji i szczerości – jak z tym należeniem do Niemiec. Wie, że dziennikarze to lubią. Mam jednak wrażenie, że maskę zdjął przy mnie tylko raz: na marszu, gdy spytałem go o strofowanie straganiarza. Po jakiejś godzinie od tej sytuacji, w dniu marszu, podszedłem do Gorzelika, przedstawiłem się, poprosiłem o krótki wywiad. Wówczas rozmawialiśmy po raz pierwszy.

– Skąd bierze się w RAŚ obawa przed otrzymaniem łatki organizacji proniemieckiej? Choć i tak ją macie – zagadnąłem.

– Nie powiedziałbym, że jest taka obawa.

– To czemu pan podszedł do straganu i poprosił, żeby krzyż żelazny zniknął?

– Ooo. Pan to wyłapał, tak? – powiedział i zawahał się przez moment. Wówczas przez chwilę widać było w nim emocje. Ale prędko wziął się w garść i wrócił w wyjeżdżone koleiny: że nie boi się łatki organizacji proniemieckiej, a łatki neonazistów, że bliżej mu do niemieckiej kultury niż do polskiej, że kibicuje niemieckiej reprezentacji, a nie polskiej i tak dalej. Przeczytałem chyba wszystko, co napisał i powiedział, znam to na pamięć. Gdy rozmawiamy kilka miesięcy później przy piwie w teatrze Korez, znów daje mi tyle, ile chce dać, na niewygodne pytania nie odpowiada, zbywa mnie bon motami, myśli, że na tym poprzestanę. I poprzestaję, bo nie znoszę rozmawiać z politykami, nawet nieco wypalonymi, jak on dziś. Nie mam umiejętności zastawiania sideł, zapędzania ich w kozi róg. Irytuje mnie to.

W 2009 roku Gorzelik wyprzedza Barbarę Blidę, Jerzego Buzka i Zbigniewa Religę w plebiscycie głównej gazety regionalnej, „Dziennika Zachodniego”. Zostaje Ślązakiem dwudziestolecia. Rok później w wyborach samorządowych RAŚ odnosi spektakularne zwycięstwo. W sejmiku wojewódzkim zostaje czwartą siłą po PO, PiS i SLD, wchodzi w koalicję z PO i współkieruje województwem. Partia rządząca legitymizuje w ten sposób jego działalność. Jeszcze parę lat wcześniej brzmiałoby to jak *political fiction*. Rozpoczyna się „górnośląska wiosna”.

Gorzelik ogłasza cel: zmiana granic wojewódzkich i autonomia dla Górnego Śląska do 2020 roku.

– Byliśmy z Kutzem w kancelarii premiera. Zapewnili nas, że jeśli zmobilizujemy Ślązaków, jeśli Warszawa zobaczy, że na Śląsku jest poparcie dla idei autonomii, to oni są w stanie nam pomóc – mówi mi Gorzelik.

Idea autonomii chwyta, niedługo po sukcesie Ślązaków powstają ruchy autonomii Mazur, Podlasia, Kaszëbskô Jednota.

RAŚ to symbol, przykład szerszego procesu. Gorzelik rzuca się w oczy, ale marzenia o autonomii wśród mieszkańców województwa podziela garstka. Większość o żadnej autonomii nawet nigdy nie słyszała. RAŚ odnosi sukces nie dzięki postulatowi niezależności, ale dlatego, że ma dobre ucho do procesów, które toczą się już od jakiegoś czasu. Mnie te procesy umykały zupełnie.

53

W tych latach z Górnym Śląskiem mam niewiele wspólnego, odwiedzam tylko czasem dom rodzinny. Wchłania mnie Kraków, wchłania Europa Wschodnia, swobodniej poruszam się po Erywaniu, Kijowie, Mińsku niż po Katowicach czy Chorzowie. Z regionem nie czuję jeszcze silnego związku.

Zresztą w Gliwicach, odkąd pamiętam, czuliśmy się inni od całej aglomeracji, lepsi. Śmialiśmy się głównie z Zabrza („Zabrze żebrze”), trochę z Rudy Śląskiej, lepsi czuliśmy się nawet od Katowic. Ja, Ślązak, gnoiłem innych Ślązaków, tak jak Samuel L. Jackson w *Django* gnoił innych czarnych.

Katowic nigdy nie traktowałem jak swojej metropolii, do niczego nie były mi potrzebne. Nie przyszło mi do głowy, że mogę tam studiować, żyć. Katowice kojarzyły mi się z dworcowymi przejściami podziemnymi, o których krążyły opowieści, że napadają tam przechodniów narkomani ze strzykawkami w rękach. Katowice kojarzyły mi się z patolą, brudem, syfem. Nawet na wagary się tam rzadko jeździło. Łatwo można było dostać w twarz. Może w Gliwicach dystansowaliśmy się od reszty Śląska, bo rozpaczliwie chcieliśmy zaprzeczyć, że sami mamy z nim coś wspólnego?

Na przełomie lat dwutysięcznych i dziesiątych Muzeum Śląskie zamówiło badania, aby sprawdzić, co Polacy wiedzą o Śląsku. Okazało się, że nie wiedzieli niczego. Ich skojarzenia to brud, zdewastowana przyroda, śmieszny język, jakiś przemysł, Mordor zionący pomiędzy Krakowem a Wrocławiem.

Gdyby Muzeum i mnie wtenczas przeankietowało, odpowiedziałbym podobnie. Bo nie rozumiałem, co się wokół dzieje. Nie widziałem jako dziecko, że śląskość gotowała się pod pokrywką, nie zauważyłem jako student, że zaczęła kipieć. Górnośląska popkultura powoli raczkowała i nawet jeśli wszyscy się z niej śmiali, to Ślązacy oswajali się wtedy ze śląskością, pokazali, że w telewizji, radiu czy w książce może pojawić się śląskość inna niż dotychczas koncesjonowany folklor: cepelia, zabawna mowa, prapolski obyczaj. To było pokazanie, że śląskość taka, jaką jest naprawdę, może pojawić się publicznie, tak jak pierwszy raz pojawili się kiedyś homoseksualista czy kobieta. Tabu powoli zaczynało kruszeć.

Na przełomie lat dwutysięcznych i dziesiątych śląskość eksploduje. Ja nawet co nieco z tego widzę, ale traktuję początkowo jako ciekawą pierdołę, o której opowiem znajomym w Krakowie.

Tymczasem język śląski wdziera się na deski miejscowych teatrów, na najważniejszych scenach przybywa spektakli wystawianych od A do Z po śląsku. Zainteresowanie widzów jest ogromne.

Rodzi się śląskojęzyczna Wikipedia. Gdy piszę tę książkę, ma już ponad pięćdziesiąt tysięcy haseł, a najnowsze to *Kot ôd Schrödingera*. Pod względem liczby haseł plasuje się obok irlandzkiego i suahili, zajmując dziewięćdziesiąte pierwsze miejsce na dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć wersji językowych.

Wieża wyciągowa i budynki kopalni węgla kamiennego, Katowice, 1948
Źródło: CAF/PAP

Pojawiają się kolejne przekłady światowej literatury, od Ajschylosa przez Dantego po Dickensa i Borgesa. Po raz pierwszy w dziejach Ślązacy mają wybór: przeczytać klasykę literatury po polsku czy po śląsku.
A czasem nie mają wyboru i muszą czytać po śląsku, gdyż wydawane są coraz lepsze książki oryginalnie pisane w tym języku.

Naukowcy i aktywiści powoli kodyfikują śląszczyznę, liczba zwolenników przyznania jej statusu języka rośnie, dyskusje przetaczają się przez parlament, uniwersytety, media.

W ogólnopolskich wydawnictwach ukazują się książki o regionie, ale już nie tylko folklorystyczne bajania o barbórce i roladach, tylko literatura mierząca się z przemilczanymi tematami – Ryszard Kaczmarek pisze *Polaków w Wehrmachcie*, Szczepan Twardoch *Dracha*, Kazimierz Kutz *Piątą stronę świata*. Dzięki nim myśl, że śląskość nie musi się równać polskości, powoli przebija się do głównego nurtu.

Zmienia się powoli uliczny krajobraz, szczególnie w Katowicach, Rybniku czy Świętochłowicach. Ludzie zaczynają chodzić w koszulkach ze śląskojęzycznymi napisami, na szybach aut pojawiają się nalepki w rodzaju *Daj pozōr, bajtel we aucie*, z budynków coraz częściej zwisają żółto-niebieskie flagi. W kolejnych urzędach miejskich i gminnych władze zapewniają obsługę po śląsku.

Liczne marki, między innymi Auchan, Coca-Cola, Leroy Merlin, Tchibo czy IKEA, zaczynają się reklamować po śląsku. Dochodzą do wniosku, że na śląskim można zarobić.

Śląskojęzyczna muzyka to już nie tylko przaśne szlagiery, ale też choćby metalowy zespół Oberschlesien, który najpierw zajmuje drugie miejsce w polsatowskim *Must Be the Music*, a potem robi furorę na Woodstocku.

Moda na górnośląskość przetacza się przez internet. Powstaje mnóstwo fanpejdży z memami, których popularność wykracza daleko poza region, po śląsku można korzystać z kolejnych programów i stron, między innymi z Firefoxa czy Facebooka. Pojawiają się pierwsze śląskojęzyczne napisy do filmów.

Umyka mi, że wiele z tego nie jest tworzone dla beki. Że to szerszy proces, który od dekad toczy się na świecie. Podobnie oswoić sobie swój język i tożsamość muszą Walijczycy, Ukraińcy, Czarnogórcy, Słowacy, Kazachowie, Kurdowie, Białorusini czy Mołdawianie. Peryferie pokazują faka metropoliom, pełza dekolonizacja.

Umyka mi też to, że „górnośląskiej wiosny” nie przeprowadzają wyłącznie Ślązacy z dziada pradziada. A długo wydawało mi się, że podział na prawdziwych i napływowych jest tu rozstrzygający.

Ale kim są ci niby-prawdziwi? Dziś Ślązacy o korzeniach przedwojennych stanowią tutaj mniejszość, dziś prawdziwymi Ślązakami,

Ślązakami statystycznymi, są osoby o korzeniach gulaszowych. Gorole, nie hanysy, Zdzisław i Józef, nie Erwin i Achim.

Dawnych mieszkańców regionu przez ostatnie sto lat ciągle ubywało (a ich przodkowie i tak na ogół pochodzili z daleka, tak jak moi). Górny Śląsk stawał się szczerbaty, szczerby pojawiały się wraz z I wojną, powstaniami, wyjazdami po podziale, II wojną, deportacjami i wysiedleniami, potem wraz z exodusem do Niemiec. Miejsce autochtonów zajmowali przybysze, którzy prędko się integrowali – choć wobec wciąż spadającego odsetka rodowitych Ślązaków trzeba się zastanowić, kto z kim się integrował. Krew górnośląska mieszała się z krwią napływową, galwanizowała.

Wielu się tego boi. I wielu z lękiem udowadnia w kółko swoje prawo do śląskości, tę śląskość traktuje się jak żydowskość i rzeczywiście śląskość ma coś z żydowskością wspólnego, obie musiały się okopać i zakonserwować, uczynić się elitarnymi, zakon tajemny sobie stworzyć, do którego dostęp mieli tylko ci, którzy wiedzieli, jak zrobić koszerną roladę według przepisu omy, musieliśmy się koszarować, żeby jakoś te wieki przetrwać, nie rozcieńczyć się, a to dało nam dystans w obserwowaniu świata. Oddzielność, ale wewnątrz większej całości. I teraz ci śląscy aborygeni dalej się boją, tak jak ja się boję, że się roztopią, potracą. Tu tyta i skat nie zastąpią bar micwy i obrzezania, barbórka chanuki, nikt nie oskarży nas, że potajemnie rządzimy światem, świat tańczy do *Hava nagila*, ale nie będzie tańczył do *Poszła Karolinka do Gogolina*, nie mamy swojej ziemi obiecanej, nam nic nie obiecano, więc musimy się jeszcze trochę pokisić między Mysłowicami i Nysą, przedryfowaliśmy sobie przez dzieje i naszym osiągnięciem jest istnienie, przetrwanie, w przetrwaniu się wyspecjalizowaliśmy, ale teraz nie wiemy nawet, jak się zostaje Ślązakiem, czy po kądzieli, czy po mieczu, nie wykonturowaliśmy sobie śląskości jak Żydzi żydowskości, jesteśmy tym całym pograniczem, choć trudno już powiedzieć, co od czego odgraniczamy, i dlatego drzemy koty ze sobą, kto jest bardziej Ślązakiem, niepewni, na czym ta przeklęta śląskość w ogóle polega, i błądzimy po omacku. Zastanawiam się nawet, czy na pewno wiemy, po co jeszcze istniejemy, czy nie lepiej sobie tę śląskość już odpuścić, cisnąć ją w diabły, zrzucić barwy ochronne i zostać porządnym Polakiem czy Niemcem.

Wielu się boi i rozumiem ten odruch części Ślązaków, których XX wiek zgwałcił. Rozumiem, że wolą się okopać, wyrysować jasną granicę między

„nimi” i „nami”, bo łatwo się dziś kulturom mniejszym rozpłynąć w większych i zniknąć. Ślązacy czują, że ich dni mogą być policzone, stąd coraz mniejsze różnice między „nimi” i „nami” podnoszą do niebywałej rangi. Boją się, że jeśli nazwą mieszkającego tu od pokoleń lwowiaka czy sosnowczanina Ślązakiem, śląskość znów się rozrzedzi, znów podryfuje w stronę polskości, a oni staną się wasser-Ślązakami. Chcą chronić swoje tradycyjne wartości, interes narodowy, wzmacniać śląskie rodziny. Zapętlają się wobec Polaków tak samo, jak Polacy wobec uchodźców. Uchodźcy z kolei w Europie wzywają często do otwartości, a w swoich konserwatywnych Syriach i Czeczeniach zamykają się na tamtejszych obcych. I tak się wszystko kręci.

54

Czekam na Dominika Tokarskiego, właściciela kultowej knajpy KATO. Przychodzi w bluzie z kapturem, łysy, na oko ma czterdziestkę. Uśmiecha się serdecznie, swobodnie zaczynamy mówić sobie po imieniu. Równy chłop.

– Pochodzę z Jaworzna, ale dwadzieścia pięć lat mieszkam w Katowicach. Kiedy mówię, że czuję się stąd, a ktoś mi odpowiada, że tu się nie urodziłem i nie jestem tutejszy, tylko się uśmiecham. Bo niby skąd mam być, skoro mieszkam tu większą część życia? Już powoli zapominam nazwę głównej ulicy w Jaworznie – opowiada mi Dominik.

Jaworzno to historyczna Małopolska, tuż za górnośląską miedzą. Miasto pograniczne. Znajoma opowiadała mi kiedyś, że gdy chodziła do przedszkola, Jaworzno należało do województwa krakowskiego i ubierano ich tam w tradycyjne stroje małopolskie, ale gdy była w szkole podstawowej, zmieniły się granice województw, Jaworzno trafiło do katowickiego i nagle musieli zmienić tradycyjne stroje na śląskie.

Dominik wyjechał z Jaworzna, gdy miał piętnaście lat.

– Jeszcze kilkanaście lat temu Katowice były smutne i odpychające. Na balangowanie od knajpy do knajpy trzeba było jechać albo do Krakowa, albo do Wrocławia, tu były dwie miejscówki na krzyż: Lemoniada i Śruba od Romka, tyle – opowiada mi Dominik. – I nagle w 2010 roku to się zaczęło zmieniać. Był nienaturalny wybuch.

Dominik jednym tchem wymienia knajpy, którymi obrodziło na Mariackiej: na samym początku Lorneta z Meduzą, potem KATO, Katofonia, sushi, pizzeria braci Lenarciaków, wnet tuzin kolejnych. A to tylko jedna krótka ulica. Chyba nigdzie indziej w Polsce lokale nie otwierały się w takim tempie. Nagle w Katowicach narodziło się życie miejskie. Zmieniało się całe miasto. Wybudował się rynek, robiące spore wrażenie budynki Narodowej Orkiestry Symfonicznej, Centrum Informacji Naukowej i Biblioteki Akademickiej czy podziemne Muzeum Śląskie. W tym czasie Katowice przystąpiły do starań o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury, zaczęły pączkować inicjatywy miejskie, powstawać duże festiwale muzyczne, streetartowe, instytucje. Miasto nabierało nowego kształtu.

– Boom na górnośląskość rozpoczął się, gdy ludzie poczuli, że nie można dać sobie wmawiać, że miejsce, w którym żyją, jest potworne. Stopniowo przestawali wstydzić się godki czy przeszłości. Nagle zaczęli pokazywać, ile tu jest spoko rzeczy. I budować nowy wizerunek na znanych symbolach. Na początku lat dwutysięcznych chciano odejść od skojarzeń z węglem, ale porzucono ten pomysł – i dobrze, bo to tak, jakby Kraków wyrzekał się Lajkonika czy Smoka Wawelskiego.

Wystrzeliwuje też symbol „górnośląskiej wiosny", miejscowy design. Zaczynają sprzedawać go w KATO: od biżuterii z węgla przez wyciskarkę w kształcie Spodka i ceramiczny palec do robienia dziurek w kluskach po pieniące się na czarno mydło w kształcie bryłki węgla. Dziesiątki marek.

Dominik przekonuje mnie, że za tym boomem stoi w dużej mierze pokolenie dwudziesto-, trzydziestolatków. Większość tych ludzi pochodzi spoza regionu. To „nowi Ślązacy".

– To dowód na to, że ludzie, którzy przyjechali tutaj skądś, też dokładają się do budowania tożsamości regionu, bazując na tradycji zastanej i przekazanej przez tych, którzy mówią o sobie, że są Ślązakami z dziada pradziada. My ich tradycje kontynuujemy – mówi.

O Górnym Śląsku są jednak dziś dwie opowieści. Bo istnieją hipsterskie knajpki na gliwickiej starówce, przyciągający turystów Nikiszowiec i galerie w szybach pokopalnianych, ale jest też postapokalipsa na Lipinach, Bobrku czy Zandce.

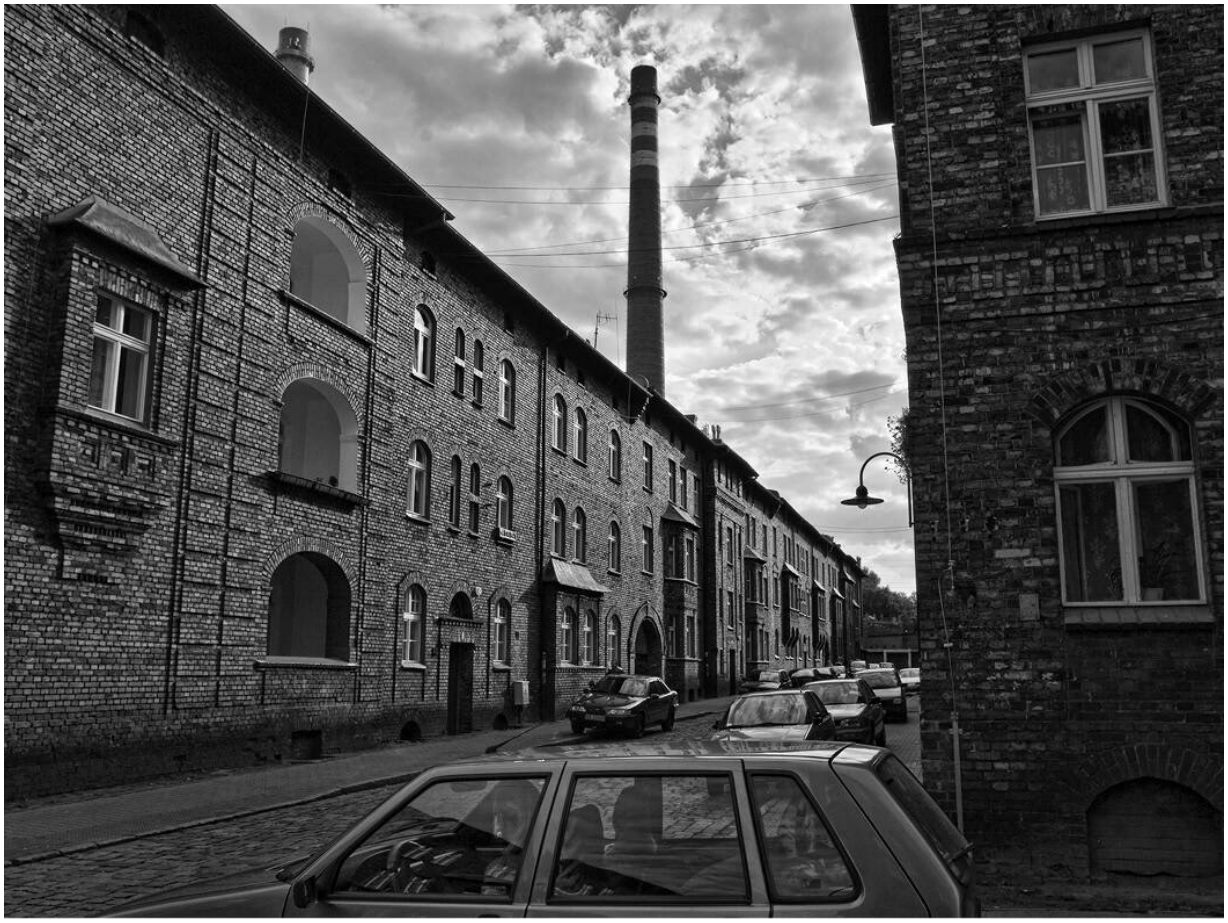

Osiedle górnicze Nikiszowiec, Katowice, 2009
Fot. Maciej Jarzębiński / agencjaforum.pl

Pierwsza opowieść: poza napędzanym przez stolicę województwem mazowieckim to właśnie województwo śląskie ma największy udział w tworzeniu polskiego PKB.

W dziesiątce najbogatszych polskich miast są dwa z województwa śląskiego: Gliwice i Katowice.

W województwie śląskim notuje się najniższy po województwie wielkopolskim poziom bezrobocia, rynek pracy się dywersyfikuje, w przemyśle pracuje tu coraz mniej ludzi, dziś taki odsetek jak w województwie wielkopolskim właśnie.

Pod względem odsetka osób z wykształceniem wyższym województwo plasuje się w górnej połowie tabeli.

W ciągu jednego pokolenia dokonała się tu rewolucja społeczna. I to wszystko jest prawdą.

Opowieść druga: w rankingu miast powiatowych pod względem zamożności *per capita* dziesięć z jedenastu najuboższych miast w Polsce leży w województwie śląskim.

Tutejsze miasta błyskawicznie się wyludniają. W ciągu jednego pokolenia z Bytomia czy Gliwic wyparowało po kilkadziesiąt tysięcy dusz.

Górny Śląsk święci też triumfy w rankingach zanieczyszczenia powietrza. I to też jest prawdą.

Bo to nie tak, że województwo śląskie jest brudne, biedne i schorowane. I to też nie tak, że jest czyste, zamożne i szczęśliwe. To wszystko jest bardziej skomplikowane.

55

– To było na niedługo przed spisem powszechnym z 2011 roku. Postanowiłem jeszcze raz spróbować zarejestrować stowarzyszenie osób narodowości śląskiej, ale nie chciałem znów iść do sądu katowickiego, wolałem kogoś, kto nie zna sprawy. W Opolu temat narodowości śląskiej nie istniał, udałem się do tamtejszego sądu. Rozpoczęła się na nowo dyskusja o tym, czy istnieje trzecia droga między polskością a niemieckością – mówi mi Pejter Długosz. Z Pejterem spotykamy się kilkukrotnie, to człowiek orkiestra i dobry duch śląskich spraw. Działacz RAŚ. Właściciel największego wydawnictwa literatury śląskojęzycznej Silesia Progress, twórca Wachtyrza, najciekawszego portalu o śląskich sprawach, aktywista na rzecz uznania narodowości śląskiej, historyk badający śląskie archiwa.

W czasie gdy w Opolu zakładane jest SONŚ, PiS publikuje *Raport o stanie Rzeczypospolitej*. Padają w nim słowa, które na właśnie rozpoczynającym się spisie powszechnym odcisną większe piętno niż wszystkie wyciskarki w kształcie Spodka i knajpy na Mariackiej razem wzięte. Kaczyński (z nim utożsamiana jest ta opinia) twierdzi: „Śląskość jest po prostu pewnym sposobem odcięcia się od polskości i przypuszczalnie przyjęciem po prostu zakamuflowanej opcji niemieckiej”[53]. Postępuje odwrotnie niż przed stu laty wielu Niemców, którzy w Ślązakach na siłę chcieli ujrzeć ukrytą opcję polską.

Na Górnym Śląsku wzbiera wkurw. Pamiętam to, zagotowało się nawet wielu z tych, którzy wcześniej na tożsamościowe deklaracje mieli wywalone.

Bada to socjolożka Elżbieta Sekuła: „Kaczyński zaktywizował do działania tych obywateli, którzy do tej pory nawet ze zwykłego lenistwa nie deklarowali się w spisie. Uznali, że tego już za wiele, i zasiedli do komputerów. Zdecydowali się zadeklarować narodowość, choć wcześniej uznawali to często za swoją prywatną sprawę. Takich osób, spośród badanych, było 33 proc.”[54]. Były też przypadki, że niezwiązani z górnośląskością Polacy zadeklarowali się na przekór jako Ślązacy. W ten sposób Kaczyński zafundował sobie zakamuflowaną opcję polską.

W czasie, gdy trwają zakłady, ilu będzie Ślązaków (znany działacz PiS w Katowicach: dwieście–trzysta tysięcy, Jorg Gorzelik: trzysta–pięćset tysięcy), Pejter Długosz prowadzi batalię sądową, aby uznano jego Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej. Sąd pierwszej instancji mówi „nie", sąd drugiej – „tak", naród śląski otrzymuje w KRS numer 0000405947.

– To wystrzeliło. W ciągu pierwszych trzech miesięcy istnienia zebraliśmy dwa tysiące członków, powstało kilkanaście kół – wspomina Długosz.

Wkrótce potem GUS publikuje wyniki spisu. Przekraczają one najśmielsze oczekiwania, osiemset czterdzieści siedem tysięcy osób deklaruje się jako Ślązacy.

Prawie połowa z nich, czterysta trzydzieści jeden tysięcy, deklaruje jednocześnie narodowość śląską i polską.

Dla trzystu siedemdziesięciu sześciu tysięcy narodowość śląska jest identyfikacją jedyną.

W powiatach rybnickim i mikołowskim Ślązacy stanowią ponad czterdzieści procent mieszkańców. W Chorzowie czy Rudzie Śląskiej to przeszło jedna trzecia. Najwyższy odsetek Ślązaków notuje się po polskiej stronie przedwojennej granicy.

Ogłoszenie wyników spisu w 2012 roku to pik „górnośląskiej wiosny". Wówczas wydaje się, że tylko kwestią czasu jest autonomia, przyznanie Ślązakom oficjalnego statusu mniejszości, a godce – statusu języka.

Ale dla każdego określenie się jako Ślązak znaczy co innego, tu nie ma jasnych granic. Jako Ślązak wpisał się autochton, dyrektor Teatru Śląskiego Robert Talarczyk, ale mówi mi, że on częścią narodu śląskiego się nie czuje. Wpisał się Pejter Długosz, który o naród śląski walczy. Wpisała się tak Monika Kassner, ale ona również nie uważa, aby była potrzeba konstruowania nowego narodu. Gorzelik wpisał wyłącznie narodowość śląską. Pochodzący z Małopolski Dominik Tokarski łączy ją z narodowością polską. O żadnej śląskości nie chce słyszeć wielu mieszkańców regionu z dziada pradziada, uważają się wyłącznie za Polaków lub Niemców.

Narodowość śląską wpisałem również ja, choć nie wiem, co ona dla mnie oznacza, i wciąż mierzę się z odpowiedzią na pytanie: czy ta narodowość nie jest dla mnie przypadkiem tylko habitusowym tatuażem?

56

Gdy wpisze się w Google „Ślązacy to”, wyskoczy kolejno: ukryta opcja niemiecka, chamy, Niemcy, nie-Polacy, zakamuflowana opcja niemiecka. Można się na to oburzać, ale trudno dziwić się tym internautom z Podlasia, Galicji czy Mazowsza, którzy w Ślązakach widzą element niepewny.

Parę lat temu, gdy trwał szczyt kryzysu uchodźczego w Europie, rozmawiałem ze starszym małżeństwem, moimi krewnymi. Oni, widzowie telewizji publicznej i TV Trwam, panicznie bali się uchodźców, kategorycznie nie zgadzali się, żeby któregokolwiek wpuścić do Polski. Wcześniej uważałem, że trzeba być złym człowiekiem, aby odmawiać pomocy wypędzonym przez wojnę. Ale podczas rozmowy z nimi, a są to dobrzy ludzie, zdałem sobie sprawę, że dobroć człowieka i niechęć do udzielania pomocy potrzebującym nie muszą się ze sobą kłócić. Starsze małżeństwo dysponowało informacjami, według których uchodźcy to terroryści, gwałciciele i złodzieje. Dysponując takimi informacjami, musieliby być złymi ludźmi, żeby chcieć ich przyjąć. Dysponując takimi informacjami, musieliby być skrajnie nieodpowiedzialni, żeby narażać siebie i swoich bliskich na spotkanie z terrorystą. Dobry człowiek, dysponując takimi informacjami, nie mógłby dojść do innych wniosków niż oni. Zdałem sobie sprawę, że różnica między nami nie polega na chęci pomagania bliźnim lub jej braku, ale na różnej wiedzy. Zresztą dziś wiem też, że ja w swojej gotowości otwierania na oścież granic i przyjmowania wszystkich operowałem równie czarno-białymi kliszami jak oni. A sprawa jest bardziej skomplikowana i w takich sytuacjach zakres odpowiedzi powinien być szerszy niż „tak” i „nie”.

Podobnie z Jorgiem Gorzelikiem. Gdybym był na miejscu tych internautów z oddalonych od Śląska rejonów Polski, usłyszał coś jednym uchem o Wehrmachcie, drugim o szefie autonomistów z mauzerem, żywiłbym podobne obawy. Ktoś, kto nie zna sprawy, musiałby być nierozsądny, żeby nie uważać Ślązaków za niepewnych, a poczciwego Jorga Gorzelika za skrzyżowanie Malcolma X z Feliksem Dzierżyńskim. Problem zaczyna się, gdy skomplikowane sprawy za czarno-białe biorą dziennikarze czy politycy.

57

Tymczasem każdy medal ma nie tylko dwie strony, ale i krawędź. Tą krawędzią jest Dariusz Jerczyński, ideolog górnośląskich separatystów, na oko pięćdziesięciolatek. Bo to nieprawda, że separatystów na Górnym Śląsku nie ma. Są, tyle że to grupka mała, kanapowa, zupełnie marginalna. Nawet sami jej członkowie nie twierdzą, że jest inaczej.

Z Jerczyńskim piszemy na Facebooku, od jakiegoś czasu nie chce się spotykać. Nie chce mówić o sobie, nie chce powiedzieć, czym zajmuje się na co dzień. Dla jednych jest nieszkodliwym fantastą, dla innych prorokiem, który po setkach lat jako pierwszy mówi o Śląsku prawdę. Tych pierwszych jest znacznie więcej. Niezależnie od wszystkiego to sympatyczny i życzliwy człowiek, chętnie ze mną koresponduje, obszernie odpowiada na wiele pytań.

Napisał *Historię Narodu Śląskiego*. To monumentalna publikacja (gdyby wydano ją w takim formacie, jaki ma ta książka, liczyłaby dziewięćset stron), doczekała się kilku wznowień. Autor chce wykazać kłamstwa historyków, głównie polskich. Stara się wyłuskać Ślązaków z dziejów i nadać kształt ich historii.

Jerczyński sugeruje, że Śląsk został schrystianizowany być może o ponad sto lat wcześniej niż państwo Mieszka – miałoby się to stać w ramach Rzeszy Wielkomorawskiej, do której Śląsk mógł należeć w IX wieku. Rzesza za sprawą Cyryla i Metodego rzeczywiście przyjęła chrzest w 863 roku, aby następnie upaść pod naporem ciągnących z Azji Węgrów, którzy od tej pory mościli się w Kotlinie Panońskiej. Później istniało prawdopodobnie wieloplemienne państwo śląskie, podobne do państw Polan i Wiślan. Śląsk z biegiem czasu związał się z Czechami, następnie u progu tysiąclecia najechał go Bolesław Chrobry. Jerczyński podkreśla jednak, że region ten nigdy nie należał do państwa Bolesława – był od niego jedynie przez pewien czas zależny.

Od lat sześćdziesiątych XII wieku Śląsk wiódł, według autora, niezależny żywot państwowy[55]. Kraje śląskie „były oficjalnie uznawane w całej Europie, gdyż faktyczny rozpad państwa Polan na mniejsze organizmy państwowe już był niezaprzeczalny, lecz jedynie Śląsk

i Pomorze zabiegały o odrębność, natomiast Księstwa Polskie [-Wielkopolska], Krakowskie i Mazowieckie kontynuowały tradycje Państwa Bolesława Krzywoustego”[56].

XIII wiek to szczyt potęgi państw śląskich, zwanych tu Monarchią Wielkośląską. W dobie rozbicia dzielnicowego Śląsk stał się na długie lata centrum piastowskiego uniwersum. Niemieckojęzyczni Piastowie śląscy, zwani przez Jerczyńskiego Ślązakami, rozdawali karty w tej części Europy, byli w bliskim sojuszu z cesarzem. Śląsk przyłączał do siebie Polskę, nie odwrotnie. W 1225 roku śląscy wojowie zajęli Kraków, a w 1230 roku „zdobyli rdzennie niemiecką część Brandenburgii […], rozszerzając zachodnią granicę Monarchii Śląskiej po dzisiejszy Berlin”[57]. W 1234 roku rycerstwo polskie wezwało na pomoc władcę Śląska, a ten opanował połowę Księstwa Polskiego. Śląsk uzyskał niemal dostęp do morza, rozciągał się od Krakowa po Berlin i był regionalnym mocarstwem.

Później, po bitwie Ślązaków z wojskami Batu-chana pod Legnicą, polscy separatyści wypowiadają posłuszeństwo Piastom śląskim. „Najazd tatarski znacznie osłabił Monarchię Wielkośląską […]. W takiej sytuacji oderwała się od Śląska ówczesna Polska”[58]. Monarchia się rozpadła i weszła w fazę rozdrobnienia feudalnego. Książęta śląscy lawirowali między silnymi państwami czeskim i polskim, ale ostatecznie postanowili związać się z Czechami.

Nie oznacza to jednak końca górnośląskiej państwowości. W *Historii Narodu Śląskiego* czytamy, że Ślązacy z Czechami byli połączeni unią personalną – jak Polacy z Litwinami (a nieco później król polski Jan Olbracht miał planować stworzenie Wielkiego Księstwa Śląskiego na wzór Wielkiego Księstwa Litewskiego, które posiadałoby status suwerennego państwa i weszło z Polską w unię jak Litwa). Autor twierdzi, że Księstwo Śląskie miało w Koronie Czeskiej identyczną pozycję, jak Królestwo Czeskie.

Jerczyński wykrawa historię od sąsiadów. Podaje na przykład, że słowa uważane przez Polaków za najstarsze zapisane w języku polskim, są w rzeczywistości śląszczyzną: „W roku 1270 w »Księdze henrykowskiej« znalazło się pierwsze zdanie zapisane transkrypcją łacińską w śląskim narzeczu słowiańskim: »Day ut ia pobrusa a ti poziwai«, czyli współcześnie »dej toć jo pobrusza, a ty pożiwej« (»daj, więc ja naostrzę, a ty spożyj«)”[59]. W innym miejscu twierdzi, że najpewniej Ukraina przejęła swoje barwy

narodowe od Śląska, a konkretnie czerpała z symboliki księcia Władysława Opolczyka. To dzięki temu Ślązakowi Lwów miał rozkwitnąć.

Zdaniem Jerczyńskiego u schyłku średniowiecza ukształtował się naród śląski w znaczeniu politycznym. Korona Czeska wraz ze Śląskiem stała się jednak częścią imperium Habsburgów, którzy w 1627 roku likwidują państwowość jej krajów, zadając tym samym potężny cios śląskiej tożsamości. Z biegiem lat Śląsk i Czechy są coraz bardziej marginalizowane. Czechy odzyskają niezależność w 1918 roku jako niepodległe państwo, Śląsk nie odzyska jej już nigdy.

Kolejnym ciosem jest rozbiór Śląska, do którego dochodzi w połowie XVIII wieku w wyniku prusko-austriackich wojen śląskich.
W przeciwieństwie jednak do rozebranej Polski Śląsk nigdy się już nie zjednoczy. W książce czytamy: „I tak rozerwano Śląsk, na siłę, po tym jak przez tysiąc lat tworzył jedno ciało. Po podziale zagubiła się też wkrótce jedność charakteru narodowego”[60].

W państwie pruskim umacnia się podział na Śląsk Dolny i Górny. Dolny Śląsk coraz bardziej się germanizuje, na Górnym Śląsku żywioł słowiański przenika się z germańskim.

Nacjonalizm górnośląski rozwija się w XIX wieku podobnie jak niemiecki, polski czy włoski, ale jest słaby, bo brakuje mu własnego państwa, zdecydowanych liderów czy skodyfikowanego języka (kolejne próby się nie powodzą – w tym czasie swoje języki standaryzują między innymi Kaszubi, Finowie, Litwini czy Rumuni, ale Ślązacy do dziś nie zakończyli tego procesu). Śląski ruch narodowy krystalizuje się na przełomie wieków XIX i XX, a eksploduje wskutek rozpadu Austro-Węgier i Niemiec na obu częściach Górnego Śląska. Podejmowane są próby proklamowania własnego państwa, Ślązacy masowo opowiadają się za niepodległością, ale region ulega dalszym podziałom, a na własne państwo wciąż musi czekać.

To silezjogonia (piękne słowo Zbigniewa Kadłubka) Jerczyńskiego. Zaprezentował spójną wersję dziejów Śląska, choć zawodowi historycy nie biorą go zazwyczaj na poważnie, a główne elementy jego narracji buksują na marginesie debaty.

– Pan chciałby, żeby Górny Śląsk oddzielił się od Polski i był niepodległym państwem? – piszę do Jerczyńskiego.

– Oczywiście, ale rozumiem też, że dziś to zupełnie nierealne. Może kiedyś prawo narodów do samostanowienia będzie realizowane z zasady,

a nie wybiórczo, według widzimisię możnych tego świata – odpowiada.

– Istnieje dziś jakiś, choćby bardzo spekulatywny, scenariusz niepodległości dla Górnego Śląska? – dopytuję.

– Musiałby nastąpić przełom podobny do roku 1989. Na przykład Polexit mógłby być takim przełomem, przy równoczesnym poparciu UE dla samodzielności Górnego Śląska. Biorąc jednak pod uwagę, że Unia w ogóle nie wspiera Szkocji, która chciałaby w niej pozostać, dziś nawet taki scenariusz jest abstrakcyjny – wyjaśnia Jerczyński. – Tyle że gdyby w roku 1988 ktoś powiedział, że za pięć lat Polska nie będzie graniczyła z żadnym ze swoich ówczesnych sąsiadów, zostałby uznany za fantastę. Podobnie jak w roku 1914 fantastyką było powstanie Polski, Czechosłowacji czy Jugosławii. Obawiam się jednak, że możemy nie być na to gotowi i nie wykorzystamy okazji.

– Bo?

– Bo najważniejsza jest wola Ślązaków, a z tym kiepsko. Musielibyśmy mieć taką świadomość jak Katalończycy, Baskowie, Szkoci czy Korsykanie. Niestety, śląscy liderzy, zamiast promować te elementy historii, które taką świadomość kreują, lansują „bezpłciową" tożsamość regionalną, opartą na dziedzictwie przemysłowym i przedwojennej autonomii.

– A republika górnośląska mogłaby funkcjonować?

– Oczywiście. Takie państwo miałoby populację na poziomie pięciu milionów, PKB *per capita* większe niż Polska, Litwa, Łotwa, Słowacja, Chorwacja, Węgry, nie mówiąc już o Rumunii czy Bułgarii. Ale ja sam jeden tego wszystkiego nie zrobię – pisze Jerczyński. – Wie pan, bycie narodowcem, gdy się ma swoje państwo, to richtich gańba, ale co innego, kiedy się jest narodowcem, gdy się swojego państwa nie ma. Chcę swojego państwa tak jak przedstawiciele innych narodów, którzy go nie mają: Katalończycy, Szkoci, Kurdowie czy Tybetańczycy.

Tak, prawdą jest, że na Górnym Śląsku są separatyści. Ale nieprawdą jest, że Ślązacy to separatyści. To tak jakby utożsamić stwierdzenie: „W Polsce są ludzie chcący restaurować monarchię" ze zdaniem: „Polacy chcą restaurować monarchię". A przecież istnieje – zresztą z siedzibą w Katowicach – Polski Ruch Monarchistyczny. I istnieje jego lider, urodzony w Zawierciu były redaktor naczelny między innymi periodyków „Echo Czeladzi" i „Śląsko-Zagłębiowskie Nieruchomości", Jego Królewska Wysokość Leszek Antoni Wielki Książę Wierzchowski, z Łaski Boga i Woli Narodu Regent Polski, Wielki Kniaź Ukrainy-Rusi, Kniaź Imperium Rosji,

Emir Tatarów, Kawaler Orderu Regencji na Wielkiej Wstędze z Gwiazdą, Wielki Mistrz Zakonu Rycerzy Polskiej Korony, Wielki Mistrz Kapituły Orderu Świętego Stanisława. Istnieje wszystko i podejrzewam, że w Polsce jest więcej zwolenników przywrócenia monarchii niż na Górnym Śląsku – proklamowania niepodległości.

58

– Wieczorem dzwoni do mnie marszałek Matusiewicz z Platformy, a on nie dzwonił zbyt często do osób na takich stanowiskach. Odbieram, słyszę: „Masz wypierdolić scenariusz wystawy ze strony!”. Odpowiadam, zadziwiony mówieniem do mnie per „ty”: „Na pewno nie wypierdolę, panie marszałku”. Spytał, czy chcę dalej być dyrektorem, powiedziałem: „Panie marszałku, nie za każdą cenę” – opowiada mi Leszek Jodliński.

Jodliński to muzealnik po pięćdziesiątce, człowiek poważny, inteligentny, wyważony. Serdeczny, choć nie kordialny, życzliwy, ale trzymający mnie na dystans. Odpowiada mi to. Cenię poza tym u ludzi tę świadomość swojego języka, mowę wysoką, która ze smakiem przeplatana jest tu i ówdzie niby przypadkowym łamaniem decorum, ciągłe konstruowanie i dekonstruowanie. Obracam w ustach to „nie wypierdolę, panie marszałku” i podoba mi się. Nie lubię pisać o takich tematach jak afera w miejscowym muzeum, nigdy nie wiem, kto ma rację, każdy mówi mi coś innego, ale nie wiedzieć czemu akurat do Jodlińskiego czuję zaufanie.

Słucham go i myślę jeszcze o czymś. Jodliński pochodzi z Gliwic, w przeszłości był dyrektorem również tamtejszego muzeum. Uświadamiam sobie, że osoby, które odkopują przedwojenną przeszłość mojego miasta, są głównie z rodzin napływowych, tak jak on. Karolina i Piotr Jakoweńkowie, którzy stworzyli Dom Pamięci Żydów Górnośląskich. Bogusław Tracz, współczesny biograf miasta. Małgorzata Lichecka, która przypomina o międzywojennym architekcie Karlu Schabiku, twórcy miasta w obecnym kształcie. Zbigniew Gołasz, który tłumaczy mi Ostropę. I tak jak ja mam pamięć powstania warszawskiego, bo byłem socjalizowany w Polsce, choć nic mnie z tym powstaniem nie łączy, tak samo oni nabywają cudzą pamięć, sklejają pamięć miejsca, które sobie adoptowali, choć ich przodkowie byli gdzie indziej, gdy działa się tutejsza przeszłość.

Kilka lat przed telefonem od marszałka Matusiewicza Jodliński wygrywa konkurs na dyrektora Muzeum Śląskiego. Ma je zbudować niemal od zera. Wiele jego początkowych ruchów zaskakuje. Muzeum staje się pierwszą instytucją, gdzie wymaga się znajomości języka śląskiego: od

pracowników w salach, kasach, w sklepie czy kawiarni. Jodliński, choć sam śląskiego nie zna, chce, żeby mieszkańcy regionu poczuli, że Muzeum jest dla nich, że mogą swobodnie mówić tak jak na co dzień.

– Skala alienacji Ślązaków była i wciąż jest ogromna. Szczególnie autochtoni wielokrotnie mówili mi, że to nie ich państwo, że nikt ich nie słucha. Oni potrzebowali własnego głosu i historii, opowieści o przodkach z Wehrmachtu czy o powojennych deportacjach. Chciałem, żeby w muzeum była również ich opowieść – wyjaśnia.

Jodliński skrzykuje ekspertów z różnych dziedzin, mają opracować scenariusz pierwszej wystawy o historii Górnego Śląska.

– Chciałem uwzględnić obecność na Śląsku różnych grup narodowych, ale już samo wspominanie o Niemcach zostało uznane za wrogie. Wykluczałem jako dominującą narrację, że wszystko od wieków prowadziło do formowania się polskiej świadomości na Śląsku, której syntezą stał się dzisiejszy polski Śląsk – mówi mi.

Latem 2012 roku publikuje w internecie scenariusz planowanej wystawy. Właśnie ogłoszono wyniki spisu powszechnego, wydaje się, że to dobry moment, żeby „domknąć" śląską pamięć. Ale marszałek każe dokument „wypierdolić", sprawę podchwytują media, komentują regionalni politycy (że perspektywa Jodlińskiego jest skrajnie ideologiczna, promuje niemiecki nacjonalizm), dyskutuje się o niej nawet w sejmie, z mównicy słychać o zafałszowanym proniemieckim scenariuszu i antypolskiej prowokacji. Marszałek powie później, że jego plan zamiecenia sprawy pod dywan się nie powiódł. Szambo wybija.

Ze strony województwa za muzeum odpowiada Jerzy Gorzelik, RAŚ stawia los koalicji na ostrzu noża – jeśli PO usunie Jodlińskiego, autonomiści z niej odejdą.

Sprawę w „Magazynie Świątecznym" opisują Dariusz Kortko i Lidia Ostałowska: „W śląskiej Platformie »opcja komorowska« chce nawrócić nieprawomyślnych Ślązaków na Polskę. A »opcja śląska« […] powstrzymuje polski hurrapatriotyzm, bo razi wielu śląskich wyborców. Opcje ciągle się ścierają. Na przykład o rocznicową wystawę w Senacie. Przeciw nazwie *Górny Śląsk w ogniu. Czas Powstań Śląskich* protestują »komorowscy«. Bo słowo »ogień« sugeruje wojnę, a nie »zryw powstańczy i plebiscyt«. Protest skuteczny, po ogniu ani śladu. Nowy tytuł: *Górny Śląsk. Czas Powstań Śląskich*. Prezydent musi pilnować, żeby Platforma nie

wyszła na partię kosmopolitów, w przeciwieństwie do PiS, który dba o sprawę narodową”[61].

Jodliński musi odejść, RAŚ kończy koalicyjny mezalians z PO (wróci do niego za jakiś czas). Gorzelik oświadcza, że „z ofermami trudno współrządzić”, a Jodliński, że PiS i PO licytowały się, kto pokaże Śląsk bardziej polski i jednowymiarowy, kto sprowadzi go do tropów powszechnie akceptowalnych.

– Sprawa muzeum była przełomem, potem powtórzyła się w przypadku Muzeum II Wojny Światowej. W Polsce to był początek zamilknięcia, ludzie zobaczyli, że lepiej się nie wychylać – mówi Jodliński. – W 2013 roku elity górnośląskie, poza nielicznymi wyjątkami, nie stanęły na wysokości zadania, gdy pojawiło się zagrożenie dla wolności słowa. W większości złamano im karki, nie poznaję osób, które jeszcze kilka lat temu miały zupełnie inne poglądy. Nie widzę dziś szansy, żeby - mieszkańcy Śląska poczuli, że to państwo ich szanuje i rozumie.

59

Kilka miesięcy po odejściu Jodlińskiego na Górny Śląsk spada kolejna bomba.

„Pierdol się, Polsko” – pisze Twardoch.

„Myślałem, że bękart wersalski (a, sorry, Polska) już mnie niczym nie zaskoczy” – komentuje Paweł Polok, szef rybnickiego RAŚ.

„Ślązacy powinni się teraz wkurwić” – mówi Kutz.

Wielu się wkurwia, w internecie pojawiają się ostre komentarze: „Dość tej dyplomacji, trzeba pokazać, na co nas stać”.

Bombę zrzuca Sąd Najwyższy. W grudniu 2013 roku decyduje, że Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej nie może dłużej istnieć. Numer KRS 0000405947 idzie się paść. W oświadczeniu czytamy: „Szanując przekonanie części Ślązaków o ich pewnej odrębności, wynikającej z kultury i regionalnej gwary, nie można jednak zaakceptować sugestii, iż tworzy się naród śląski, bądź już istnieje – w liczbie kilkuset tysięcy osób, którzy zadeklarowali [!] taką przynależność w spisie powszechnym. Dążenie do uzyskania autonomii i poczucia pełnego władztwa osób »narodowości śląskiej« na terenie Śląska, należy ocenić jako dążenie do osłabienia jedności oraz integralności państwa polskiego”[62].

Pejter Długosz powie wówczas: „Żaden sąd nie będzie określał, czy jakiś naród jest albo go nie ma! Zadaniem sądu nie jest wyznaczanie mi, co mam czuć, tylko sprawdzenie, czy nasze stowarzyszenie działa zgodnie z prawem. […] wyrok SN pokazuje, że lojalność wobec Polski nam się nie opłacała”. I doda: „W ciągu 12 godzin od wyroku zapisało się do nas 50 nowych osób, to tyle samo co przez ostatnie trzy miesiące”[63].

W polszczyźnie brakuje rozróżnienia na Polaka etnicznego i obywatela Polski. Po polsku potrafimy rozróżnić choćby etnicznego Ormianina i obywatela Armenii, Armeńczyka; potrafimy też rozróżnić Kazacha i Kazachstańczyka, Bośniaka i Boszniaka czy Persa i Irańczyka, ale już opisując samych siebie, jesteśmy mało precyzyjni. Lojalnego obywatela Rzeczypospolitej, który czuje się osobą narodowości wyłącznie śląskiej, pozostaje określić zdaniem pozornie sprzecznym: ten Polak nie jest Polakiem.

Sprawa SONŚ trafia do Strasburga i buksuje tam do dzisiaj, organizacja nie może działać, a na stronie MSWiA trudno dziś znaleźć informacje o największej w Polsce mniejszości. W zakładce *Charakterystyka społeczno-demograficzna mniejszości* omówiono czternaście uznanych grup – nawet liczącą trzysta czternaście osób mniejszość karaimską – ale o Ślązakach nie ma ani słowa. To luka wynosząca kilkaset tysięcy dusz.

60

Wracam do profesor Marii Szmei, socjolożki z Akademii Górniczo-Hutniczej. Twierdzi ona, że Górny Śląsk od dwustu z okładem lat jest skolonizowany.

– Postawy Ślązaków tłumaczy teoria wewnętrznego kolonializmu. Nie musi się bowiem odbywać dosłowny podbój terytorium, żeby je kolonizować. Można wiązać je gospodarczo i kulturowo, a ludzie sami się poddają. Jak w Wielkiej Brytanii w przypadku Walijczyków, Szkotów i Irlandczyków – mówi profesor.

Polska powoli przepracowuje swoją przeszłość kolonialną na ziemiach dzisiejszej Ukrainy czy Białorusi, ale w głównym nurcie debaty brak nawet pytania: czy Warszawa posiadała również kolonię na zachodzie? Tymczasem jeśli przystawić ucho do Górnego Śląska, takich głosów jak Szmei usłyszy się więcej.

Szmeja tłumaczy, że obecny etap kolonizacji Górnego Śląska zaczyna się wraz z industrializacją. Grupa dominująca – czy Niemcy, czy Polacy – określała reguły, a mieszkający daleko od centrum często je przyjmowali, bo sami chcieli do centrum należeć. Jej zdaniem ucisk kolonialny nie zakończył się wraz z 1989 rokiem, a wielu spośród Ślązaków, których bada, nadal czuje się skolonizowanych.

– Dlaczego uznaje pani Górny Śląsk za polską kolonię? – pytam.

– To przede wszystkim kwestie kulturowe. Po pierwsze, Ślązacy są największą grupą, która wskazuje inną tożsamość niż polska, a wciąż nie została nawet oficjalnie uznana za mniejszość. Czy to z prawa czy z lewa, wszystkie rządy postępowały tak samo. Druga sprawa to to, jak narzuca się Ślązakom polską pamięć. To były odwieczne ziemie piastowskie i tak dalej, jakby Piastowie mieli narodowość. Po trzecie, Ślązakom narzuca się język i kulturę, nie uznaje się ich własnego języka. Wokół Karaimów czy Tatarów, których jest garstka, skaczą wszyscy, a ignoruje się blisko osiemset pięćdziesiąt tysięcy Ślązaków. Na Śląsku zachodzi wymuszona asymilacja.

Zdaniem socjolożki jesteśmy dziś świadkami tworzenia się narodu śląskiego.

– Taki proces zajmuje wiele pokoleń, tak jak długo trwało formowanie się narodów słowackiego czy ukraińskiego. Ślązacy chcą teraz pokazać swoją wyższość i odmienność. Powoli się dekolonizują, ale dziś są w najtrudniejszym momencie: gdy stopniowo odrzuca się ciemiężcę i należy zbudować wszystko samemu. Ale robią to, uważnie wynajdują sobie tradycję, szperają, interpretują historię po swojemu. Starają się zakończyć ucisk kolonialny, choć grupa dominująca nie popuszcza. Nie dzieje się to zresztą w próżni. Równolegle w Europie tworzą się dziś inne narody.

61

Najczęściej wymienianym dowodem na „polski kolonializm na Śląsku” jest Bytom.

Jeżdżę tam często. Lubię to miejsce. Ciągnę tam albo ze wschodu, szóstką lub dziewiętnastką z katowickiego placu Szewczyka, albo z zachodu, piątką z zabrzańskiego placu Wolności. Ta druga trasa jest mi bliższa, sunie się przez trawione największymi problemami zabrzańskie Biskupice, bytomski Bobrek, ale na Górnym Śląsku na ogół te najbardziej poturbowane dzielnice są najpiękniejsze. Ma się tam momentami poczucie, jakby państwo abdykowało, a na Bobrku już nawet monopole się zamykają. Ale jest najpiękniej.

W Bytomiu pierwszy raz byłem chyba z babcią Marysią, chciała po latach zobaczyć swój internat przy Batorego. Uczyła się tam w latach sześćdziesiątych położnictwa – tak jak jej matka Else w latach dwudziestych w Oppeln i siostra Lodzia w latach czterdziestych we Wrocławiu. Za czasów mojej babci Bytom już chylił się ku upadkowi. Lada moment miało się zacząć najgorsze.

– Wtedy zniszczone były pojedyncze miejsca. Ale tąpnięcia były cały czas, solidne. Takie małe trzęsienia ziemi. W szkole razem z nami trzęsły się ławy. Za pierwszym razem się bałam, ale szybko przywykłam, że wszystko się rusza. Ja ci powiem, do wszystkiego można się przyzwyczaić – opowiada babcia.

Za życia jednej osoby z zapierającego dech w piersiach secesyjnego miasta Bytom staje się symbolem rabunkowej eksploatacji. Bo to nie tak, że na Górnym Śląsku za komuny były tylko barbórki i pomarańcze z Niemiec, a wszyscy żyli tu jak pączki w maśle.

– Gdy przyjechałam potem do Bytomia w latach osiemdziesiątych, przeraziłam się. Domy do wyburzenia, ludzie do wysiedlenia, straszące jamy. I potem za każdym razem, jak jeździłam do Bytomia, budynków ubywało. Zewsząd straszyło – wspomina babcia.

– Przed wojną starano się dobywać bytomski węgiel ostrożniej, ale nie wiem, czy ta ostrożność nie wynikała po prostu z ograniczeń technologicznych – mówi mi Dariusz Kot, dyrektor bytomskiej biblioteki.

Sebastian Rosenbaum poradził, by z nim pogadać, nazwał go „niedocenionym gawędziarzem”.

Hitlerowskie Niemcy planowały przeprowadzić w okręgu przemysłowym deglomerację: zbudować kilka oddalonych od złóż miast-sypialni i wysłać tam część miejscowej ludności, a tu dalej fedrować (jeden z niemieckich planów zrealizowali Polacy i tak powstały dzisiejsze Tychy). Bytomianie mieli się przenieść w okolicę Pyskowic, pod Gliwice (potem to miejsce raz jeszcze zagości na językach, gdy polscy komuniści będą chcieli zlokalizować tam Nową Hutę. Rozpoczną nawet prace, ale ostatecznie Sowieci zdecydują o zbudowaniu jej w Małopolsce).

– Prawdziwa hekatomba zaczęła się jednak za PRL-u. W czasach Gierka poszli na całość, na zawał – mówi Kot, bo Gierek, zanim został przywódcą kraju w 1970 roku, kilkanaście lat stał na czele władz województwa śląskiego. – My, dziesiąta potęga gospodarcza planety i tak dalej. Wydobywano węgiel metodą rabunkową, nie zawracano sobie głowy ludźmi żyjącymi na powierzchni, choć dobrze zdawano sobie sprawę, do czego to doprowadzi.

Bezmyślne wyszarpywano ziemi węgiel, który setkami milionów ton zalegał pod Bytomiem. Potraktowano Górny Śląsk jak kolonię surowcową. Kutz mówił o polskiej Katandze.

Osiedle górnicze Nikiszowiec, Katowice, 1975
Fot. Jan Morek / PAP

Ziemia pod Bytomiem szybko zaczęła wyglądać jak szwajcarski ser. Szkody górnicze są też w Chorzowie, Rudzie Śląskiej czy Piekarach, ale żadnego innego miasta w regionie wydobycie węgla nie zdewastowało tak jak Bytomia. W pobliżu pojawiały się ogromne dziury, to, co na powierzchni, nie miało się na czym trzymać. Tutaj antropocen zaczął się wcześniej niż w Kielcach czy Białymstoku. Rektor Politechniki Częstochowskiej Józef Ledwoń przyznał kiedyś, że nigdzie indziej na

świecie nie eksploatuje się ziemi pod tak gęstą zabudową. Grażyna Kuźnik w 1989 roku w reportażu *Terra nigra* przytaczała opowieść wiceburmistrza, który odpoczywając na kocu w ogródku, usłyszał dobiegające spod ziemi rozmowy górników i zdziwił się, że dotarli już tak blisko.

Sebastian Rosenbaum wysyła mi mejla: „W 1984 roku pisano w materiałach Urzędu Miejskiego w Bytomiu, że zniszczenia spowodowane przez szkody górnicze prowadzą do stanu »totalnej zagłady miasta«. Odnośnie do zanieczyszczeń itp. konstatowano »ewidentną katastrofę ekologiczną na terenie miasta«. Rozpatrywano możliwość ogłoszenia stanu klęski żywiołowej w mieście".

Z biegiem lat Bytom stawał się niezdatny do życia. Tutejsze rzeki zmieniły się w ścieki, z których zniknęło życie, a poziom zanieczyszczenia kilkanaście razy przekracza normę. W wielu miejscach gleby są toksyczne, ziemia zatruta na kilkadziesiąt centymetrów w głąb, marchewka w przydomowym ogródku zakazana. Notuje się tu jedne z najwyższych wskaźników zanieczyszczenia powietrza w Europie. Rosenbaum pisze mi: „W Bytomiu jest też najwyższy w Polsce wskaźnik zgonów kobiet. Występuje zależność między umieralnością kobiet i niemowląt a stopniem zanieczyszczenia powietrza – są tu najwyższe w Polsce negatywne mierniki stanu zdrowia mieszkańców".

Ludzie płacą za to najwyższą cenę. Masa górników – i nie tylko – oddała życie. W Bytomiu regularnie dochodzi do mniejszych i większych trzęsień ziemi, ciągnie się to do dzisiaj i ciągnąć się będzie jeszcze długo. Tysiące budynków są uszkodzone, ludzie muszą czasem opuszczać domy z dnia na dzień, żyją w strachu. I zawsze ta bezduszna fraza: szkody górnicze. Przeglądam miejscową prasę. Skrzyżowanie Frenzla, Niskiej i Przelotowej w ostatnich latach obniżyło się o dwa i pół metra. Budynek McDonalda na Karbiu w ciągu miesiąca zapadł się o siedemnaście centymetrów, zamknięto go na cztery spusty. Mówią mi tu też, że ulica Piekarska kiedyś była płaska, a teraz tak siadła, że z jednej strony tramwaj podjeżdża pod górkę, z drugiej zjeżdża z górki.

Bytom nazywa się polskim Detroit. Pod koniec lat osiemdziesiątych mieszkało tutaj dwieście czterdzieści tysięcy ludzi. Dziś – około stu sześćdziesięciu tysięcy (z czego dwanaście tysięcy „ubytku" to radzionkowianie, którzy odłączyli się od Bytomia). Kilka lat temu przyjechał tu reporter katarskiej Al-Dżaziry, by nakręcić przygnębiający materiał, w którym padają słowa: *Bytom is slowly dying*. Miasto plasuje się

wśród najbiedniejszych oraz najszybciej pustoszejących w Polsce. I choć przyczyn problemów jest więcej, to szkody górnicze walnie przyczyniają się do spadku cen nieruchomości czy atrakcyjności inwestycyjnej – biznesmen dwa razy się zastanowi, zanim postawi fabrykę czy sklep na nieuspokojonym terenie.

– Ja nigdy nie przeżyłem tąpnięcia. Jak to jest? – pytam.

– Jakoś dziwnie mi o tym opowiadać. Czuje się, że coś faluje pod stopami, jak rozkołysany pokład okrętu. To czasem ułamek sekundy, czasem kilka sekund. Nagle coś spada z szafki, coś toczy się po podłodze, przesuwne drzwi się otwierają, lampa się kiwa. A jak się to skończy, chodzimy po mieszkaniu i sprawdzamy, czy gdzieś pojawiły się pęknięcia, oglądamy sufit, ściany. Jakiś czas temu w mojej kamienicy powstała szpara wielkości dorosłego mężczyzny – mówi Kot. – Od jakiegoś czasu zresztą znów drąży się pod miastem. I widać efekty. Na Bobrku zniknęły drzewa. Tak po prostu. Nagle po jednej stronie ulicy pach i drzew nie ma, wpadły dokądś, powstała czeluść. A w Miechowicach ludzie siedzieli w zeszłym roku w domu, jedli obiad, naraz tąpnęło i kominy im się zawaliły.

Bezmyślnie wydrążony górotwór siada coraz bardziej, ziemia po cichutku, pomalutku pochłania Bytom, Bytom się przepoczwarza, człowiek nadużył gościnności natury, więc natura zdmuchuje człowieka, człowiek okazuje się naskórkiem do usunięcia.

62

Po „górnośląskiej wiośnie” przychodzi górnośląska smuta. Każdego uwiera to wprost proporcjonalnie do tego, jak bardzo jeszcze niedawno wierzył w zwycięstwo.

Zwycięstwem miało być autonomiczne województwo w historycznych górnośląskich granicach – bez ziemi częstochowskiej, za to ze Śląskiem Opolskim i Zagłębiem, bo to ostatnie zbyt się już ze Śląskiem zrosło i rozumieją to nawet miejscowi nacjonaliści. Tymczasem okazuje się, że żadnej autonomii nie będzie, w autonomię mało kto dziś wierzy, z autonomii Ślązacy sami się już śmieją. Nie wiadomo, co teraz wciągnąć na sztandary.

Zwycięstwem miało być uznanie śląszczyzny za język regionalny. Oraz przyznanie Ślązakom statusu mniejszości etnicznej, ogłoszenie, że śląskość może być czymś więcej niż wariantem polskości. Polska nie idzie się jednak pierdolić, jak życzył sobie tego Twardoch. Kolejne projekty ustaw chroniących prawa Ślązaków toną w polskim parlamencie. Śląscy działacze jeszcze kilka lat temu triumfalistycznie zapowiadali, że w spisie ludności w 2021 roku Ślązaków przybędzie, że pęknie milion, że wtedy Polska będzie musiała się ugiąć. A dziś spuszczają głowy, mówią, że rachmistrz choćby nie wiadomo jak liczył, nie doszuka się już tylu śląskich dusz.

– Nie wiem, czy świadomość narodowa jest silna nawet wśród tych ośmiuset czterdziestu siedmiu tysięcy. Spytaj ich, czy uważają za Ślązaka kogoś z drugiego końca regionu. Różnie z tym jest. Tak, są tacy, którzy patrzą dalej niż na swoją wieś, ale identyfikujących się z całą wspólnotą górnośląską jest może jakieś pięć procent. Reszta kultywuje tę tożsamość samodzielnie, nie czuje się częścią narodu śląskiego – mówi mi Pejter Długosz.

Nie udało się też zasypać przepaści. Wielu Ślązaków wciąż czuje się w Polsce obco.

W zbliżeniu Ślązaków i Polaków w kolejnych latach nie pomagają politycy. Nie pomaga wojewoda, który chętnie opowiada o trawiącym region separatyzmie.

Nie pomaga jeden z posłów, który wzywa do wcześniejszego wprowadzenia na Górny Śląsk wojsk obrony terytorialnej w celu krzewienia tu polskiego patriotyzmu.

Nie pomaga telewizja publiczna, gdy z hukiem wyrzuca pracownika, który w logo organizowanej w Gliwicach Eurowizji Junior wpisuje słowo „Silesia".

Nie pomaga wiceminister zdrowia Waldemar Kraska, który wypowiada słowa odczytywane przez wielu jako obarczenie Ślązaków odpowiedzialnością za przedłużającą się w Polsce epidemię koronawirusa: „Śląsk to taki odnośnik do Włoch. Tutaj ludzie spotykają się ze sobą, lubią mieć kontakt"[64].

Najpłodniejszy górnośląski intelektualista, filolog klasyczny, profesor Zbigniew Kadłubek, udziela w połowie 2017 roku wywiadu *Śląsk się Bogu nie udał*. Ta rozmowa to symbol końca górnośląskiej wiosny i początku smuty. Bije z niej rozczarowanie, bezsilność, zawód, lecz nie wyłącznie Polską, ale też w ogromnej mierze samymi Ślązakami. Kadłubek powie: „Górny Śląsk jest zadupiem – to znaczy czymś nawet spoza dupy. […] W środku Górny Śląsk jest pusty. […] Górnoślązak niczym nie różni się od Polaka. Może tylko tym, że ma więcej powikłań związanych z ołowicą. […] Górnoślązacy są zamknięci. Zakute łby podobne do tych mazowieckich. Nie wiem, jak to będzie, ale bez rewolucji, prawdziwej rewolucji, Górny Śląsk zdechnie. […] Garstka śląskich aktywistów nie ocali etosu śląskiego. Długo zagłaskiwałem Ślązaków, afirmowałem, ale już z tym skończyłem. Niech inni wadzą się o śląskie archaizmy, niech się zajedzą na śmierć śląskimi kluskami i modrą kapustą"[65].

Niebawem Kadłubek traci ogień, nie zabiera już głosu jak dawniej.

Niektórzy liczą, że na czele Ślązaków stanie Twardoch, ale ten woli być odzywającym się z rzadka outsiderem.

Niespodziewanie milknie też Jorg Gorzelik. Zimnym prysznicem są dla niego wybory samorządowe w 2018 roku. Część autonomistów założyła własną partię, później Ruch Autonomii Śląska postanowił iść do wyborów pod nowym szyldem, jako Śląska Partia Regionalna. Zgłaszając nowe ugrupowanie do wyborów, politycy mylą rubryki w formularzu, tak że na kartach do głosowania wyborcy ujrzą nie Ruch Autonomii Śląska, nie Śląską Partię Regionalną, ale jedynie skrót nazwy tej ostatniej – ŚPR. Dwa podbierające sobie głosy górnośląskie ugrupowania przegrywają z kretesem, autonomiści po niemal ośmiu latach współrządzenia regionem

wypadają z dużej polityki. Jorg spada z piedestału, przegrywa, rozczarowuje, RAŚ traci rezon, a kiedyś któryś z młodszych działaczy może powiedzieć o Gorzeliku to, co on powiedział mi o sędziwych założycielach ruchu: „Gdy postulowałem większy dynamizm w działaniu, spotykałem się z opinią, że sukcesem jest już to, że RAŚ istnieje”.

Niektórzy próbują dojrzeć jakieś pozytywy, mówią, że dawni sojusznicy RAŚ – Koalicja Obywatelska – wygrali przecież w 2019 roku wybory do sejmiku i nie wszystko stracone. KO wygrała, ale przewagą tylko jednego mandatu, dzieje się to, co rok później stanie się w senacie. PiS dzwoni do radnych KO, żeby wyrwać ten jeden mandat i władzę w województwie, ci fotografują się z napisem „Nie dzwoń! Nie PiS-zę się”. I gdy wydaje się już, że koalicjanci RAŚ wytrzymają, ugina się jeden – PiS przeciąga na swoją stronę radnego Nowoczesnej Wojciecha Kałużę. Kałuża przekazuje mu swoich dwadzieścia pięć tysięcy głosów, PiS przejmuje województwo. W Katowicach do języka wchodzi hasło „przysłowiowy Kałuża” – zdrajca, karierowicz.

Gorzelik przyznaje się do winy, mówi, że czuje się już politycznym emerytem. Coraz rzadziej zabiera głos. Autonomiści pogrążają się w kryzysie, słyszę od nich, że popełnili błędy, że nie wykorzystali energii społecznej czasu „górnośląskiej wiosny”, że nie przyszło nowe pokolenie, zabrakło nowych liderów.

– Kilkanaście lat temu woda przelała się przez tamę, ale nie popłynęła do morza, nie zlała się z innymi rzekami, tylko stoi jak bajorko, powoli się osusza – mówi mi Robert Talarczyk, dyrektor Teatru Śląskiego. – Wkurwia mnie, że niczego nie osiągnęliśmy i niczego osiągnąć nie jesteśmy w stanie w tak poważnych sprawach jak język śląski. Wkurwia mnie, że śląska partia nie potrafi się dostać nawet do sejmiku, bo się dzieli na dwa ugrupowania. Jestem pierwszym Górnoślązakiem, który jest dyrektorem tego teatru po stu dwunastu latach jego istnienia, a przecież Ślązaków na wysokich stanowiskach powinno być w pizdu!

Po wyborach milknie też Kutz, który umiera, dożywszy sędziwego wieku.

Czuć rozczarowanie. Romantyczny zryw dobiega końca. Niektórzy odpuszczają i zajmują się swoimi sprawami, inni wynajdują sobie nisze, tam majstrują. Czekają.

63

Smuta trwa, a ja późną jesienią 2019 roku jadę do Katowic na premierę książki *Kiedy umrze ślōnsko gŏdka*. Chcę przyjrzeć się temu, co dzieje się ze śląszczyzną, od wielu osób słyszałem, że nie narodowość, obyczaje czy pamięć, ale właśnie język jest rdzeniem dzisiejszej śląskości.

Katowickie spotkanie zaczyna się wierszem. Marcin Musiał napisał go o Tevfiku Esençu.

Esenç jako ostatni znał ubyski, mały język z Kaukazu. Losy Esença i ubyskiego ściśle się splotły, gdy zachodni naukowcy zorientowali się, że język żyje już tylko w nim. Jeździli do niego z daleka, podstawiali dyktafony, prosili, żeby nie przestawał mówić. Esenç umarł we śnie 7 października 1992 roku, a wraz z nim wymarł jego język. Poprosił, by na grobie pod imieniem i nazwiskiem stało: „Był ostatnią osobą posługującą się językiem zwanym ubyskim".

Siedzę w teatrze Korez, a jego dyrektor Mirosław Neinert wychodzi na scenę i recytuje opowieść starego rolnika z Kaukazu:

Ku mojij gŏdce
ze Francyje przijyżdzali profesory
wielgi Dumézil
rechtōr od Foucaulta
dziwoł sie na mie choby na zwiyrza
był trocha podany na mojigo starzika
beztōż
pokozołżech mu jynzyk
był cołki bioły
padoł
civilisiation morte
je już w antryju
beztōż gibko siodōmy do roboty
dykcjōnorz bydzie arkōm
na kiero wlezōm słowa-zwiyrzynta

A później:

Kożōm gŏdać

już niy po naszymu
już ino po mojymu
chcōm mie słuchać
po jakiymu tak niyskoro

Musiał tego wieczora ostrzega: „Czas gibko leci, a godka sie traci. Do końca XXI storocza ôna nom zemrzi, a my z niōm! My, Ślōnzoki, muszymy iś sztram i niy lynkać sie godać!”.

Ślązacy domagają się, aby Rzeczpospolita uznała ich język. Śląszczyzna stara się rozepchać między niemieckim, polskim i czeskim, znaleźć dla siebie kącik jako trzynasty co do wielkości język słowiański i czwarty – Słowian zachodnich. Dziś na tej sali do szewskiej pasji doprowadza ich, że w spisie powszechnym ponad pół miliona zadeklarowało śląszczyznę jako swój język, że poprzekładali na nią te wszystkie Ajschylosy i Ewangelie, że powystawiali po teatrach sztuki, pokodyfikowali, a w świetle prawa śląski wciąż ma taki sam status jak więzienna grypsera czy slang grzybiarzy. Nie ma żadnego. Zbigniew Kadłubek powiedział kiedyś, że na Górnym Śląsku panuje językowy apartheid. Mówi się, że jest z nim tak jak z krasnalami śląskiego prymitywisty Teofila Ociepki. Malarz spytany, dlaczego maluje istoty, które nie istnieją, takie jak krasnoludki, spytał, kim są w takim razie te małe brodate w czerwonych czapeczkach, które czasem gapią się na niego zza rogu.

Wszędzie ta sama historia. W tym samym czasie polski sejm nie chce uznać śląskiego za język, a litewski seimas zapisywać nazwisk i imion litewskich Polaków po polsku. Warszawa krzyczy na Wilno, że trzeba szanować językowe prawa Polaków, Katowice krzyczą na Warszawę, że trzeba szanować językowe prawa Ślązaków, ale Litwa jest odwrócona plecami do Polski, Polska do Śląska i nikt nikogo nie słucha.

Rozmawiam później z Musiałem.

– Chciałbyś, żeby śląski, polski i kaszubski były równoprawnymi językami państwowymi?

– Tak, choć wystarczyłoby mi formalne uznanie śląskiego przez sejm. Moglibyśmy wtedy zacząć uczyć go w szkołach, zdawać w nim matury, dostalibyśmy środki z budżetu, dwujęzyczne tabliczki. Jeszcze kilka lat temu takiego postulatu nie wspierała żadna partia, dziś „za” są wszystkie poza prawicą. Ale aż boję się pomyśleć, co by się stało, gdyby godkę nagle uznano.

– Dlaczego?

– Gdyby się to stało nagle, skończyłoby się kompromitacją. Jesteśmy nieprzygotowani. Ślązacy dużo czasu stracili na bezsensowne spory i dziś mamy więcej skłóconych śląskich organizacji i partii niż nauczycieli języka śląskiego. Ale wierzę, że zdążymy się przygotować i gdy otrzymamy status języka regionalnego, będziemy gotowi.

– Godka przetrwa?

– Wiesz, ja uprawiam budzicielstwo językowe, ale nieskutecznie. Boję się, że śląski wymrze do końca tego wieku, jego dni są policzone, tak jak policzone były dni ubyskiego. A ja nie chcę być śląskim Esençem. Potrzebny jest ton kasandryczny, otrzeźwiający, a nie sielankowe gadanie, że pół miliona ludzi sobie godo po śląsku i ten język jest w dobrej kondycji. Bo nie jest.

Godka pomału się kodyfikuje, ale nie na uniwersytetach, tylko oddolnie. Kilkanaście osób rozstrzyga dylematy gramatyczne, dobiera słowa, decyduje, ile śląski alfabet będzie miał liter, pisarze jedną książkę piszą takim alfabetem, kolejną innym. Bronisław Wątroba, sześćdziesięciodwuletni inspektor do spraw aparatury i sprzętu ratowniczego, wykształcenie średnie techniczne, tysiącami tworzy po śląsku fraszki. Emerytowany nauczyciel górnictwa Alojzy Lysko po śląsku opowiada o tutejszej przeszłości. Magister resocjalizacji Marcin Melon - pisze sprzedawane w tysiącach egzemplarzy kryminały, burmistrz Radzionkowa Gabriel Tabor przełożył Nowy Testament, a pracownik korporacji Marcin Musiał tworzy wiersze. Nikt z nich nie utrzymuje się jednak z pisania po śląsku. Nie istnieje osoba, która zdołałaby tego dokonać, gdyż tylko masowa publiczność może pozwolić autorowi pisać zawodowo. Tymczasem śląskojęzyczny rynek jest maciupeńki, a większość książek wydaje jedna osoba – Pejter Długosz z wioski Kotórz Mały. Nie trzeba wielu dłoni, by zliczyć, ile istnieje dobrych publikacji napisanych po śląsku. Zresztą główną wartością części z nich nie jest wartość literacka, ale to, że są po śląsku. Gdyby napisano je po polsku, nikt by o większości z nich nie słyszał. Zostać znanym śląskojęzycznym pisarzem czy intelektualistą wśród śląskojęzycznych czytelników jest tysiąckrotnie łatwiej niż to samo zrobić, pisząc w języku polskim. Z drugiej strony wartość tych książek, a zwłaszcza przekładów wielkiej literatury na śląski, jest nie do przecenienia. Ślązacy od kilkunastu lat udowadniają w ten sposób, ile śląszczyzna jest w stanie udźwignąć.

To samo kilkaset lat temu udowadniała polszczyzna. W nią też nie wierzono. Dialektolog doktor Artur Czesak z Uniwersytetu Jagiellońskiego powie mi, że do XV, XVI wieku ludzie wykształceni na tematy wysokie wypowiadali się po łacinie, ale przyszły nowe prądy i postanowiono to samo robić po polsku. Podejmowano mniej lub bardziej udane próby, aż po jakimś czasie okazało się, że po polsku można napisać traktaty geometryczne czy medyczne. Gdy pytam go, na jakim etapie kodyfikacji jest dziś śląszczyzna, odpowiada, że na całkiem niezłym. Polszczyźnie też to trochę zajęło. Ostatnia poważna reforma ortograficzna to 1936 rok, więc jeśli liczyć od Reja, to do jako takiej kodyfikacji polskiej normy językowej potrzebowaliśmy czterystu lat.

Historia pokazuje umowność klasyfikacji języków, dialektów i gwar. Śląski można uznać za dialekt polskiego na tej samej zasadzie, co polski za dialekt śląskiego. Śląszczyzna to historia alternatywna polszczyzny, którą na kilkaset lat głęboko zanurzono w czeskim i niemieckim. Skodyfikowana wersja polszczyzny, jak każdy język, jest sztucznym konstruktem. Istnienie lub nieistnienie języka jest w dużej mierze decyzją polityczną. Max Weinreich powiedział w 1945 roku, że język to dialekt, który ma armię i flotę.

Polityka co rusz bierze górę nad filologią. Na przykład sto pięćdziesiąt lat temu polskie i rosyjskie władze nie chciały słyszeć o języku ukraińskim, uznając go bądź za gwarę nie do końca uświadomionych Polaków, bądź za gwarę nie do końca uświadomionych Rosjan. Ukraiński był dla nich intrygą greckokatolickich księży i paru poetów, a w Rosji do dziś nie brak głosów, że język ukraiński to tylko zachwaszczony polonizmami rosyjski. Ale wystarczy zejść o poziom niżej, by dostrzec, że analogiczny spór toczy się dziś wokół spokrewnionego z ukraińskim języka łemkowskiego. O ile państwo polskie uznaje go za odrębny język, bo nie ma interesu go nie uznawać, o tyle Ukraina o żadnym łemkowskim nie chce słyszeć. Dla niej to dialekt ukraińskiego.

Siedzę w teatrze, słucham dyskusji i myślę o Wątrobie, naszym Janie Kochanowskim z Rudy Śląskiej, o Lysce, Janie Długoszu z Bojszów, o Melonie, Agacie Christie z Tychów, Taborze, Jakubie Wujku z Radzionkowa, Musiale, Owidiuszu z Żor. Siedzę i myślę, jak banalne jest to całe tworzenie się języka, gdy patrzy się na nie z bliska.

Na scenie Alojzy Lysko podpiera się laseczką i krzyczy:

– Język jest fundamentem tożsamości! Jeśli my pozwolimy językowi śląskiemu umrzeć, to nas nie ma. Zbierajcie słowa, zachowajcie ich jak najwięcej! Ja chodziłem do dziadków jak ten Esenç i uratowałem kilkaset słów!

Lysko uratował na przykład idiom „Brało go na mory”, czyli „umierał”. Ostatnio wszyscy kopią, trwa pospolite ruszenie, żeby z odradzającego się języka uronić jak najmniej. Konkursy na nieznane śląskie wyrazy są ogłaszane przez gazety, stowarzyszenia, ludzie wyrywają starym słowa z gardeł. Z kolei badaczki z Opola rozprawiły się niedawno z mitem, jakoby na Śląsku przekleństwa pojawiły się dopiero w ostatnim stuleciu wraz z Polakami i Rosjanami, a jedynym rodzimym wulgaryzmem był pochodzący od słowiańskiego boga Peruna „pieron”.

Prześledziły księgi sądów rozjemczych z lat 1845–1938 w jednym z miejscowych powiatów i stworzyły *Słownik śląskich wyzwisk, obelg i wypowiedzeń obraźliwych*. Zawiera ponad tysiąc obraźliwych fraz: „kurwiorz”, „gołorzyt”, „chachar”, „ciarłach”, „gizd”, „kamela”, „mlihuba”, „huncwot”, „zgnitek”.

W śląszczyźnie wciąż rodzą się też nowe słowa. Parę lat temu wyłonił się „mobilniŏk”, czyli „telefon komórkowy”. Samsung zamówił nawet śląską wersję językową interfejsu do swoich telefonów. Projekt się powiódł, przetłumaczono tysiące słów i teraz w Samsungu „uruchom ponownie” to „sztartnij jeszcze rŏz”, „naładuj baterię” to „nafoluj bateryjŏ”, „przycisk” to „knefel”. Twórcy tego sukcesu, czwórka przyjaciół, założyli później pierwsze profesjonalne biuro tłumaczeń na śląski, Pō Naszymu, z którego usług korzystają wielkie zachodnie marki.

Jakiś czas po dyskusji w Katowicach znów jadę do Bytomia. Chcę się spotkać z Grzegorzem Kulikiem, który był w grupie tłumaczy Samsunga. Postawił sobie za cel stworzenie po śląsku kanonu światowej literatury. Przetłumaczył już *Opowieść wigilijną*, *Kubusia Puchatka* i *Małego Księcia*, niebawem przyjdzie pora na *Alicję w Krainie Czarów*.

To boży szaleniec, śląszczyźnie oddał się w zupełności. Wszystko robi w pojedynkę w swoim bytomskim mieszkaniu, gdzie stół służy mu za redakcję.

– Teraz siedzę nad słownikiem, na razie będzie liczył tysiąc pięćset słów, kiedyś może dojdę do dwudziestu–trzydziestu tysięcy – opowiada mi rozentuzjazmowany i pokazuje jedno z haseł. – I spójrz, to kilkanaście słowników w jednym, masz nie tylko znaczenie, ale też etymologię,

wymowę, przykłady wykorzystania, odmianę, synonimy, frazeologię, antonimy, kolokacje. Każde słowo podaję też w kilku innych językach, więc to zarazem słownik śląsko-angielski czy śląsko-francuski.

Ale największym jego dziełem jest Korpus Ślōnskij Mŏwy. Kulik z benedyktyńską wytrwałością brnie przez ogrom śląskiego piśmiennictwa, setki numerów miejscowych gazet, listów, pamiętników, książek. Kulik inwentaryzuje śląszczyznę. Niczego nie może uronić. Będzie to robił jeszcze wiele lat. Bierze na przykład dwadzieścia roczników „Gazety Ustrońskiej", wertuje numer po numerze i wypisuje z niej artykuły po śląsku. Zebrał już ponad dwa miliony słów śląskiego tekstu.

– Wymyślasz nowe słowa po śląsku? – pytam.

– Kiedyś wymyślałem. Teraz już nie – odpowiada Kulik.

– A czujesz, że skoro to ty jesteś najważniejszym tłumaczem, skoro tworzysz słownik, to masz moc decydowania, jaki ten język ostatecznie przybierze kształt?

– I dobrze, że to ja decyduję, dobrze, że w translatorze napisane jest tak, jak ja chcę. Niech ludzie oswoją się z moim stylem. Wiesz czemu? Bo większość tego, co się pokazuje po śląsku, jest żenującej jakości – mówi Kulik. – Na moich spotkaniach autorskich przeważają kobiety. Wiesz, o czym to świadczy? Że piszę dobrze. Badania pokazują, że kobiety przeważnie wybierają język bardziej prestiżowy, a mężczyźni mniej prestiżowy. Dlatego mniej kobiet mówi po śląsku, a mnie udaje się je nim zainteresować, sprawić, żeby przestały widzieć w śląszczyźnie bezwartościową gwarę.

Też długo miałem to poczucie: że mówić po śląsku jest niemal tak niekulturalnie jak niekulturalnie jest kląć. Kiedyś musiałem coś powiedzieć w śląszczyźnie do starszych państwa, wypadało mi sklecić kilka zdań z tych moich paru słów. Otworzyłem więc gębę i najpierw powiedziałem „poszłem" zamiast „poszedłem" (byłem pewien, że to po śląsku), a później w charakterze koniunktiwu wyfrunęła mi z paszczy „kurwa". Było mi potwornie wstyd, ale podświadomie zdawało mi się, że tylko porzucając dobre maniery, mogę zacząć mówić po śląsku.

Tłumaczył mi to Adrian Górecki z Pō Naszymu.

– To taka podświadoma dewaluacja śląskiego przez nasycanie go przekleństwami czy słowami związanymi ze sferą tabu – mówił. – Słuchacz dostaje komunikat: śląski do niczego lepszego się nie nadaje.

Górecki daje przykład. Zdanie po polsku: „Ten człowiek pracował tak ciężko, że aż pewnego dnia się przewrócił” poprawnie po śląsku brzmiałoby tak: „Tyn chop robiōł tak ciynżko, aże keregoś dnia sie ôbalōł”.

– Na ogół jednak tłumaczy się znacznie bardziej wulgarnie. W „bercikowym” przekładzie wyglądałoby to już tak: „Tyn chop dupoł tak ciynżko, aże keregoś dnia ciulnōł ô zol”. Żeby dostrzec różnicę, trzeba tę wersję przełożyć znów na język polski: „Ten człowiek jebał tak ciężko, że aż któregoś dnia pierdolnął o ziemię”. Na YouTubie twój filmik wyświetlą setki tysięcy internautów, tylko jeśli zapewnisz im taki właśnie „przekład” – mówi.

64

Ale czemu miałbym się gniewać na te setki tysięcy internautów, skoro sam długo nosiłem w sobie obraz Ślązaka ciućmoka, Ślązaka jaskiniowca?

Śląskością nie przeszedłem w domu. Rodziców drażniła. Babcia ze swoją śląskością się nie narzucała, w domu mówiła staranną polszczyzną. Czasem tylko, uśmiechając się, pytała, czy wiem, jak mówiło się tu dawniej na kotlety mielone czy na kluski. Nie wiedziałem, a ona mówiła, że tak i tak. Dziwiłem się, gdy na ulicy spotykaliśmy sąsiadów, a w babci coś przeskakiwało. Nagle stawała się inna, dobierała niezrozumiałe dla mnie słowa, śpiewała tym śląskim. Z latami rozumiałem coraz więcej, bo jej śląski zachwaszczał się polszczyzną, wiądł. Babci tę śląskość wybaczałem. Mogła mówić po śląsku, bo była moją babcią. A dziadek, jak to dziadek. Posługiwał się własnym językiem, w którym zapisało się całe jego życie. Jako dziecko mówił gwarą podkarpackich wsi, po przyjeździe na Śląsk w szkole uczyli go po polsku, potem trafił do rodziny Else Hajok i na kopalnię. Wszystko zlało się w jedno, do dziś orzeczenie wywija mu harce, podmiot jest nieposłuszny, akcent nie do upilnowania. Lubię go słuchać.

Na naszej ulicówce zawsze byłem niby swój, ale obcy. Tutejsi spędzali czas we własnym gronie. W dziecięctwie grali w piłkę na Orkana lub na Słowackiego, w nastolęctwie siedzieli na kamiennym mostku, jeździli na moplikach w parach mieszanych na poligon, mieszali ślinę, potem geny, a ich dzieci dziedziczyły czerwone pucki na policzkach. Spotykałem ich, przybijaliśmy sobie piątki, ja odchodziłem, oni zostawali.

Mnie rodzice posłali do szkoły w mieście, twierdzili, że w mieście szkoła jest lepsza. Tam rozmowy niosły się już inną melodią niż na Wojtuli, nie akcentowaliśmy na ostatnią sylabę, nie pochylaliśmy samogłosek.

Babcia spytała mnie kiedyś, czy chodziłem do klasy ze Ślązakami. Zamurowało mnie. W podstawówce nie było Ślązaków, a nawet jeśli jakiś był, to skąd miałbym o tym wiedzieć? Taki temat nie istniał. Wszyscy byliśmy małymi Polakami z wielkiej Polski (poza Anguną, on był Mongołem). Pani Chmiel grała nam na akordeonie *Rotę*, w której podmiot liryczny uspokaja, że żaden Niemiec nie będzie pluł nam w twarz. Nie

mogłem wówczas wiedzieć, że z panią Chmiel śpiewałem pieśni o swoich przodkach. Do dzienniczka wpisywała za te wykonania stopnie.

W mojej szkole mówienie po śląsku było niemożliwe. Niech ktoś by spróbował. Zimny trup. Bezlitosne dzieci, w tym pewnie i ja, zgnoiłyby go. Do wyegzorcyzmowania Ślązaka wystarczyłaby długa przerwa.

A nie, przepraszam, po śląsku próbował Andrzej. Raz. Na wycieczce do Wieliczki w trzeciej klasie robił sobie jaja, udając Ślązaka. Potwornie mu zazdrościłem, taki był zabawny i tak się dziewczyny z tych jego wiców zaśmiewały. A potem Bartek podrywał „na Ślązaka", to już w gimnazjum, prosząc, żeby ta czy tamta przyniosła mu na drugie śniadanie „klapsznita z żółta kyjza w nylon bojtlu". Raz któraś mu chyba nawet tę klapsznitę przyniosła.

Bo tylko do tego przydawał się nam śląski – a raczej nie śląski, ale umiejętność kabaretowej stylizacji, powtarzanie w kółko kilku słów. Do robienia sobie jaj. Równie dobrze można było udawać upośledzonego umysłowo lub jąkałę. Traktowaliśmy śląski jak Polacy traktują czeski, śmiejąc się z tych wszystkich „szmaticzku na paticzku", ale za czeskością stoją jednak Praga, Havel i Hrabal, wiadomo, że żart żartem, ale Czechy są spoko. Śląskość tymczasem zaczynała się i kończyła na anegdocie.

Ale gdy teraz się nad tym zastanawiam, w mojej szkole musieli być Ślązacy. Może z szeleszczącej polszczyzny na szorstką śląszczyznę przechodzili, gdy zbijali się w kupę i bezpiecznie sunęli PKS-ami do tych wszystkich Knurowów, Pilchowic, Nieborowic.

Nigdy z nimi do autobusu nie wsiadłem, ale wsiadła moja matka. Zdarzyło się to, gdy była nastolatką, śmieszy mnie ta opowieść. Wracała z koleżankami ze szkoły, z Asią i Zuzią, Ślązaczkami z Ostropy. Coś się z autobusami pokiełbasiło, z dziewczynami wyjątkowo musiała jechać 624 z centrum Gliwic przez peryferie, Wójtową Wieś, Ostropę, Wilcze Gardło, Łany, Kozłów, Smolnicę aż do Sośnicowic.

– Wsiadamy do tego wieśbusa, ja tak na niego mówię, a tam cała Ostropa wraca do domów. Oni wszyscy najpierw jechali do Gliwic do szkoły, a potem wracali razem na swoją wieś. Wsiadamy, Asia i Zuzia spotykają znajomych i nagle zmieniają język, zaczynają godać! A ja w szoku, ja z Asią i Zuzią zawsze po polsku mówiłam, nie wiedziałam, że one tak umieją. I tak se godali. Ja nie potrafiłam ust otworzyć, tylko patrzyłam zdziwiona. Bałam się, że jak odezwę się po polsku, to mnie

dziwnie potraktują. Oni byli tacy zwarci, tak się dobrze czuli w swoim towarzystwie. A ja czułam się przy nich obco – opowiadała mi matka.

Dla mnie i moich przyjaciół śląskość nie była niebezpieczna, nie zalatywało od niej separatyzmem. Śląskość by żadnego separatyzmu nie udźwignęła. Separatysta kojarzył się z romantycznym buntownikiem, a Ślązacy raczej z zabawnymi krasnoludkami z kilofami i roladą. Śląskość była dla nas polskością niedorozwiniętą i pocieszną, zawsze, kiedy mówiono o niej w telewizji, po ekranie sunęły obrazy malowniczej biedy, zamkniętych kopalń i górników z węglowym makijażem. Śląskością były stare omy, które klachały z farorzem. Pijaczki siedzące nad Ostropką z tanim winem Komandos lub Leśny Dzban, mężczyźni bez zębów lub z zębami złotymi. Byli nią rolnicy w znoszonych marynarkach z wiadrami kartofli. Wszyscy oni byli endemicznie wiejscy, nikogo z nich nigdy nie spotkałem w kinie, restauracji, w centrum handlowym, w mieście mówiło się po polsku. To była wyraźna granica, biegnąca koło domu Różewicza: z jednej strony Śląsk, z drugiej Polska, nienormalność i normalność. Nigdy jako dziecko nie widziałem, żeby po śląsku mówił ktoś wykształcony.

Śląskość była jeszcze biforami z Tomkiem. Jego ojciec pracował na grubie i wynosił czasem synowi kopalniane energetyki zwane rylbulami. Żółtawy płyn lali do półtoralitrowych butelek bez etykiet. Tomek konspiracyjnym szeptem wyjaśniał, że to nielegalne, ponoć nie można było ich zabierać na powierzchnię, należało wypić pod ziemią, żeby lepiej fedrować. Ale ojciec Tomka czasem wynosił, dawał Tomkowi, a Tomek dawał nam i piliśmy je przed imprezami, bo prawdziwe red bulle były za drogie. Nic więcej śląskość nie miała do zaoferowania.

I dopiero kilka lat temu zacząłem przepraszać się ze śląskością, bo tylko tak mogłem gdzieś się zakorzenić. Potrzebowałem następnie paru lat, żeby pozbyć się choć krztyny wstydu w związku z tym, skąd pochodzę, a później sobie tę tożsamość ulepić, zebrać wszystko, czym tożsamości się karmią: miejscowe mity, żale, megalomanie, stereotypy. I wciąż sobie ją lepię, bo polskość jest w pierwszym lepszym podręczniku do polskiego czy historii ujarzmiona, doszlifowana, a podręczników do górnośląskości nie ma i każdy ma swoją. To tożsamość, na którą sobie trzeba zapracować.

Gdy zacząłem nurzać się w śląskości, wahadło wychyliło się w drugą stronę. Doskwierało mi, że z autochtonami związany jestem tylko w niewielkiej części. Dopiero podczas pisania tej książki zdałem sobie

sprawę, że to właśnie moje drzewo genealogiczne najlepiej opowiada historię tego miejsca.

Moja babka ojczysta z lwowskiego ojca i góralskiej matki.

Mój dziadek ojczysty z podczęstochowskiej wsi.

Moja babka macierzysta z Górnego Śląska.

Mój dziadek macierzysty z podkarpackiej wsi.

To przepis na dzisiejszego Ślązaka.

65

Była jeszcze jedna opowieść. Jeśli mnie pamięć nie myli, poznałem ją niewiele przed wyprowadzką z Gliwic na studia. Wtedy dowiedziałem się, że Else, Hans i Urban nie są moją biologiczną rodziną.

Wiosną 1945 roku w Bziu Zameckim, niewielkiej śląskiej wiosce nieopodal Jastrzębia-Zdroju, sowieccy żołnierze spędzają miejscowe kobiety do stodoły. Okrutnie je gwałcą. Wiele wskazuje na to, że dzieje się to na początku maja i ma związek z końcem wojny.

Jedną ze zhańbionych kobiet jest młoda dziewczyna o imieniu Marta. Niektóre decydują się donosić, inne nie. Ona tak. Na czas ciąży matka wysyła ją do ciotki do Gliwic, aby ukryć córkę przed złymi językami. Ciotka mieszka w Wójtowej Wsi, po sąsiedzku z Elżbietą i Janem Hajokami.

Marta pod koniec stycznia 1946 roku rodzi dziewczynkę. Poród przyjmuje Elżbieta.

Po tygodniu Marta oświadcza Elżbiecie, że ta ma zabrać niemowlę. Marta go nie chce. Położna lituje się nad dzieckiem, zamierza znaleźć mu nowy dom. Marta opuszcza Gliwice.

Ale Hajokom idzie jak po grudzie, wszyscy odmawiają. Panuje bieda, mężczyźni są daleko, źle wyglądałoby, gdyby po powrocie któryś zastał małżonkę z niemowlakiem. Później przez wiele lat dziewczynka będzie słyszeć od sąsiadek: „Dziołcha, jaka szkoda, że wtedy cię nie zabrałam – ale takie były czasy”.

Wziąć niemowlę chce Jan. Niedawno umarła ich córeczka Ursula, dla dziecka jest miejsce. Hajokowie postanawiają, że się nią zaopiekują. Dziecko dołącza do rodziny Hajoków, a Elżbieta zdobywa kozę, aby dziewczynka miała zawsze świeże mleko.

Niemowlę otrzymuje imię Marysia. Dziś ma siedemdziesiąt cztery lata. Jest moją babcią. Najlepszym z ludzi. Wciąż mieszka w domu, który postawił Johann Hajok. Gdy się urodziłem, pozostali członkowie rodziny Hajoków od dawna nie żyli. Wszystko, co wiem o moich przodkach, wiem od babci. Jest jedyną łączniczką między tymi światami. A w moich żyłach nie płynie śląska krew Hajoków, Kieslichów ani Krauthakelów, a jedynie

młodej Ślązaczki Marty, którą w stodole w Bziu Zameckim spotkała tragedia i która później oddała własne dziecko.

Mija kilka lat, gliwiczanie oswajają się z powojenną rzeczywistością. Moja pięcioletnia babcia wraca z przedszkola do domu. Na dróżce zaczepia ją młoda kobieta. Wręcza garść cukierków i oświadcza, że jest jej mamą. Marysia odpowiada, że jej mama ma na imię Elżbieta i właśnie przyjmuje poród. Kobieta odchodzi, Marysia wraca do domu. Tam czekają na nią brat Reinhold i siostra Lodzia. Pytają, skąd ma cukierki. Usłyszawszy, co się stało, zabraniają Marysi chodzić samej do przedszkola.

Ową kobietą okaże się później biologiczna matka Marysi Marta. Kilka lat wcześniej po oddaniu jej Hajokom wróciła w rodzinne strony, wyszła za mąż, a gdy okazało się, że jej małżonek jest bezpłodny, postanowiła odzyskać córkę. Nie podda się łatwo. Za plecami Elżbiety widzi się z Janem i przekonuje, on się waha. Do Elżbiety wyśle list, a w nim napisze: „Ty masz troje dzieci, ja żadnego. Oddaj mi to jedno". List wpadnie w ręce Marysi.

Mijają lata. Marysia ma dziewiętnaście lat, gdy oświadcza, że chciałaby poznać swoją biologiczną matkę. Starszy brat Reinhold zgadza się, mówi, że najlepiej pojechać od razu. Wsiadają na moplika i jadą na południe, w stronę granicy czechosłowackiej.

Na miejscu rozpytują o Martę taką a taką, chodzą od drzwi do drzwi, aż w końcu trafiają pod właściwy adres. Reinhold pyta gospodynię, czy wie, kim są, ona nie wie, on oświadcza, że to jej córka.

Marta początkowo jest nieufna – zdarzało się już, że ktoś przychodził i podawał się za jej dziecko. Odpowiada Reinholdowi: „Ja nie mam córki", zadając w ten sposób Marysi ból. Ale po chwili rozmowy nabiera zaufania, obejmuje dziewczynę i wybucha płaczem. Marysia nie jest równie wylewna, odnosi się do Marty z dystansem i zawsze za swoją prawdziwą matkę będzie uważała Elżbietę. Minie kilka lat, zanim Marta i Marysia spotkają się po raz kolejny, później kontakt będzie już coraz częstszy.

Marta przepisze nam swój dom. Po jej śmierci w połowie lat dziewięćdziesiątych z rodzicami mieliśmy się do niego przenieść, to w domu tej kobiety, tragicznie naznaczonej w stodole w 1945 roku, miałem dorastać. Ale nie dorastałem. Mój ojciec wolał zostać w Wójtowej Wsi.

Myślę teraz o tym wszystkim.

Myślę i wydaje mi się, że może tak jak kiedyś zakochani w sobie Else i Hans adoptowali małą Marysię, tak później ja adoptowałem tych wszystkich Hajoków, Krauthakelów i Kieslichów? Chyba nie było innego wyjścia. Inaczej wnet wszyscy by o nich zapomnieli.

Rozmówcy

Jochen Böhler, Ewa Chojecka, Andrzej Chwalba, Anna Cieplak, Paweł Czado, Artur Czesak, Ołeksij Czupa, Pejter Długosz, Urszula Dylong, Łukasz Giertler, Zbigniew Gołasz, Jerzy Gorzelik, Adrian Górecki, Piotr Górecki, Piotr Greiner, Joanna Hassa, Piotr Hnatyszyn, Zygmunt Holewa, Dariusz Jerczyński, Leszek Jodliński, Ryszard Kaczmarek, Monika Kassner, Denis Kazański, Alojzy Ketzler, Grzegorz Kopaczewski, Dariusz Kot, Irma Kozina, Michał Krzykawski, Bożena Kubit, Grzegorz Kulik, Małgorzata Lichecka, Alojzy Lysko, Marcin Melon, Marcin Musiał, Zofia Oslislo-Piekarska, Paweł Parys, Wojciech Pięciak, Paweł Polok, Klaudia Roksela, Sebastian Rosenbaum, Till Scholtz-Knobloch, Dorota Simonides, Tomasz Słupik, Andrzej Szelka, Maria Szmeja, Wojciech Śmieja, Robert Talarczyk, Dominik Tokarski, Bogusław Tracz, Łukasz Tudzierz, Ingmar Villqist, Jolanta Wadowska-Król, Reinhard Wentzki

Niewielkie fragmenty książki ukazały się w „Tygodniku Powszechnym” oraz w „CzasyPiśmie”.

Podziękowania

W pierwszej kolejności podziękowania należą się dwóm kobietom, którym tę książkę dedykuję. Były moimi najważniejszymi rozmówczyniami. Dziękuję mojej babci Marysi Błażejowskiej – za to, że nasiąkałem dzięki niej Śląskiem, że zgodziła się, abym opowiedział naszą historię, a przede wszystkim za to, że zawsze była dla mnie autorytetem.

Dziękuję mojej narzeczonej Martynie Słowik – za cierpliwość, mądrość i dużo dobrych rad. Była pierwszą czytelniczką kolejnych części książki i wciąż opowiada mi swoje Gliwice oraz swoje Łabędy.

Ponadto dziękuję Przemkowi Pałce, z którym od wielu lat rozmawiamy o Śląsku i który był surowym recenzentem tej książki. Dziękuję dziesiątkom rozmówców i rozmówczyń, dzięki którym krok po kroku łapałem się w skomplikowanym górnośląskim świecie. Niektórzy pokazali mi jedno zdjęcie, inni spotykali się ze mną wielokrotnie. To była długa droga. Szczególnie dziękuję Alojzemu Lysce, Marcinowi Musiałowi, Sebastianowi Rosenbaumowi, Łukaszowi Tudzierzowi oraz Leo Mausbachowi, któremu zawdzięczam też tłumaczenia z niemieckiego.

Dziękuję też komuś, kto parę lat temu rozsypał przy Tynieckiej w Krakowie jakiś dziwny żwir. Wywróciłem się na nim, jadąc na rowerze, złamałem rękę i ponieważ nie mogłem pracować, przez kilka tygodni włóczyłem się po Śląsku i o nim czytałem. Wtedy dojrzała we mnie myśl, żeby spróbować napisać tę książkę. Choć może moja złamana ręka nie była ani niczyją winą, ani zasługą, a ja po prostu nie potrafię jeździć na rowerze?

Wybrana bibliografia

Amor patriae nostra lex. Oblicza polskiej niepodległości w literaturze dokumentu osobistego, dydaktyce i edukacji historycznej, red. Anna Gołębiowska, Opole: Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, 2017

Bajorek Angela, *Heretyk z familoka. Biografia Janoscha*, Kraków: Znak, 2015

Bednarek Michalina, *Wiceminister zdrowia o koronawirusie w kopalniach: na Śląsku jak we Włoszech*, „Gazeta Wyborcza Katowice", 11.05.2020, katowice.wyborcza.pl, bit.ly/3i0yXlp, dostęp: 7.06.2020

Bębnik Grzegorz, *W stronę wojny. Gliwice 1939*, Gliwice: Muzeum w Gliwicach, 2017

Bienek Horst, *Opis pewnej prowincji*, przeł. Bolesław Fac, Gdańsk: Atext, 1994

–, *Pierwsza Polka*, przeł. Maria Przybyłowska, Gliwice: Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej, Wydawnictwo Wokół Nas, 2008

–, *Podróż w krainę dzieciństwa. Spotkanie ze Śląskiem*, przeł. Maria Podlasek-Ziegler, Gliwice: Wydawnictwo Wokół Nas, 1993

Bieniasz Stanisław, *Stary portfel i inne utwory dramatyczne*, wyb., wstęp i oprac. Krzysztof Karwat, Gliwice: Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej, Katowice: Biblioteka Śląska, 2003

Borkowska Elżbieta Henryka, Dylong Urszula, Jonderko Aniela, *„Mieli wrócić za czternaście dni". Mieszkańcy Ostropy w obozach pracy przymusowej w Związku Sowieckim (1945–1949)*, Katowice: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Gliwice: Muzeum w Gliwicach, 2014

Bożek Arka, *Pamiętniki*, wstęp Edmund Osmańczyk, Katowice: Śląsk, 1957

Böhler Jochen, *Wojna domowa. Nowe spojrzenie na odrodzenie Polski*, przeł. Robert Sudół, Kraków: Znak Horyzont, 2018

Brożek Andrzej, *Polacy na Śląsku Opolskim w latach 1922–1945*, Opole: Opolskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe, 1972

Centralne Archiwum Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej, Nagradnoj list, 20.05.1945, nr 96/n, zbiór 33, inw. 686196, jedn. arch. 4208, k. 190r, podvignaroda.ru, bit.ly/2Zcnerr, dostęp: 27.06.2020, s. 75

Dominiczak Henryk, *Granica polsko-niemiecka 1919–1939. Z dziejów formacji granicznych*, Warszawa: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1975

Dubiel Ludwik, *Wójtowa Wieś. Dzielnica Gliwic*, „Zeszyty Gliwickie" 1964, nr 2

Dubiel Paweł, *Spojrzenie w przeszłość. Wspomnienia działacza śląskiego*, Katowice: Śląsk, 1973

Dziadul Jan, *Po co nam Warszawa?*, „Polityka", 25.10.2008, polityka.pl, bit.ly/2YfITi2, dostęp: 7.06.2020

Dziadul Jan, Kutz Kazimierz, *Powroty hanysa*, „Polityka", 29.06.2002, polityka.pl, bit.ly/3h6wnKh, dostęp: 10.06.2020

Dziurok Adam, Majcher Andrzej, *Salomon Morel i obóz w Świętochłowicach-Zgodzie*, Instytut Pamięci Narodowej [2004], ipn.gov.pl, bit.ly/3dJOJP0, dostęp: 10.06.2020

Górny Śląsk wyobrażony. Wokół mitów, symboli i bohaterów dyskursów narodowych, red. Juliane Haubold-Stolle, Bernard Linek, Opole: Wydawnictwo Instytut Śląski, Marburg: Verlag Herder-Institut, 2005

Historia Górnego Śląska. Polityka, gospodarka i kultura europejskiego regionu, red. Joachim Bahlcke, Dan Gawrecki, Ryszard Kaczmarek, przeł. Rafael Sendek, Gliwice: Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej, Katowice: Muzeum Śląskie, Bytom: Frodo, 2011

Hobsbawm Eric, *Wiek imperium. 1875–1914*, przeł. Marcin Starnawski, Warszawa: Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2015

–, *Wiek kapitału. 1848–1875*, przeł. Marcin Starnawski, Warszawa: Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2014

Jak starka swego Zeflika na powstanie wysłała. Ludowe opowieści powstańcze, oprac. Janina Hajduk-Nijakowska, Teresa Smolińska, Katowice: Śląski Instytut Naukowy, 1989

Janosch, *Cholonek, czyli dobry Pan Bóg z gliny*, przeł. Leon Bielas, Kraków: Znak, 2011

Jerczyński Dariusz, *Historia narodu śląskiego. Prawdziwe dzieje ziem śląskich od średniowiecza do progu trzeciego tysiąclecia*, Katowice: Instýtut Ślůnskij Godki – Mega Press II, 2013

Jonca Karol, *Polityka narodowościowa Trzeciej Rzeszy na Śląsku Opolskim (1933–1940). Studium polityczno-prawne*, Katowice: Śląsk, 1970

Kaczmarek Ryszard, *Górny Śląsk podczas II wojny światowej. Między utopią niemieckiej wspólnoty narodowej a rzeczywistością okupacji na terenach wcielonych do Trzeciej Rzeszy*, Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 2006

–, *Polacy w armii kajzera. Na frontach pierwszej wojny światowej*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2014

–, *Polacy w Wehrmachcie*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2014

–, *Powstania śląskie 1919–1920–1921. Nieznana wojna polsko-niemiecka*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2019

Kadłubek Zbigniew, *Bezbronne myśli. Eseje i inne pisma o Górnym Śląsku*, Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 2016

–, *Listy z Rzymu*, Kotórz Mały: Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej, Opole: Silesia Progress, 2012

Kadłubek Zbigniew, Kunce Aleksandra, *Myśleć Śląsk. Wybór esejów*, Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 2007

Karnowski Jacek, Karnowski Michał, *Silna Polska to silny Śląsk*, wywiad z Jarosławem Wieczorkiem, „W Sieci”, 16.05.2016, nr 20

Karwat Krzysztof, *Jak hanys z gorolem. Rozważania o Górnym Śląsku*, Katowice: Polskapresse, 1999

–, *Ten przeklęty Śląsk*, Katowice: Towarzystwo Zachęty Kultury, 1996

Kiedy umrze ślōnsko gŏdka, red. Marcin Musiał, Monika Rosa, Katowice: Silesia Progress, 2019
Klaußmann Anton Oskar, *Górny Śląsk przed laty*, przeł. Antoni Halor, Katowice: Muzeum Historii Katowic, 1997
Klich Aleksandra, *Bez mitów. Portrety ze Śląska*, Racibórz: Wydawnictwo i Agencja Informacyjna WAW, 2007
–, *Cały ten Kutz*, Kraków: Znak, 2019
–, *Kutz: Kręci mnie Cholonek*, „Gazeta Wyborcza", 9.11.2007, nr 262, s. 17
–, *Kutz: Puściłem się na całego*, wywiad z Kazimierzem Kutzem, „Duży Format", 12 lutego 2010, wyborcza.pl, bit.ly/2US8a0C, dostęp: 17.06.2020
–, *Nie ma narodu, może będzie – portret Jerzego Gorzelika*, „Gazeta Wyborcza" 22.06.2001, wyborcza.pl, bit.ly/2Cq3b0N, dostęp: 6.06.2020
Kopaczewski Grzegorz, *1989*, Kotórz Mały: Silesia Progress, 2019
Kopeć Eugeniusz, *„My i oni" na polskim Śląsku*, Katowice: Śląsk, 1986
Kortko Dariusz, Ostałowska Lidia, *Dość całowania ręki niemieckiego pana*, „Duży Format", 26.06.2013, wyborcza.pl, bit.ly/2MDSlpM, dostęp: 7.06.2020
–, *Pierony. Górny Śląsk po polsku i niemiecku*, Warszawa: Wydawnictwo Agora, 2014
Krasuski Jerzy, *Historia Rzeszy Niemieckiej 1871–1945*, Poznań: Wydawnictwo Poznańskie, 1978
Kronika Parafii Ostropa, oprac. Krzysztof Groetschel, przeł. Alicja Mainusch-Buhl i in., Gliwice: Parafia Ducha Świętego w Gliwicach, 2014
Kutz Kazimierz, *Fizymatenta. Felietony z lat 2004–2016*, Warszawa: Wydawnictwo Agora, 2017
Lewandowski Jan F., *Historia Śląska według Kutza*, Katowice–Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Śląsk, 2004
Linek Bernard, *Polityka antyniemiecka na Górnym Śląsku w latach 1945–1950*, Opole: Państwowy Instytut Naukowy, Wydawnictwo Instytut Śląski, Gliwice: Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej, 2014
Lis Michał, *Mniejszość niemiecka na Śląsku Opolskim 1989–2014. Z bagażem przeszłości w realiach współczesności*, Opole: Wydawnictwo Instytut Śląski, 2016
Lysko Alojzy, *Duchy wojny*, t. 1: *Dziennik żołnierski 1942–1944. W koszarach pod szczytami Alp*, Katowice: Wydawnictwo Naukowe Śląsk, Stowarzyszenie Thesaurus Silesiae Skarb Śląski, 2008
–, *Duchy wojny*, t. 2: *Dziennik żołnierski 1942–1944. W bunkrach Wału Atlantyckiego*, Katowice: Wydawnictwo Naukowe Śląsk, 2009
–, *Duchy wojny*, t. 3: *Dziennik żołnierski 1942–1944. W okopach Frontu Wschodniego*, Katowice: Wydawnictwo Naukowe Śląsk, 2010
–, *Duchy wojny*, t. 4: *Dziennik żołnierski 1942–1944. W objęciach śmierci*, Katowice: Wydawnictwo Naukowe Śląsk, 2011
–, *Duchy wojny*, t. 5: *Wspomnienia Wichty Ochmanowej 1944–1966. W udręce nadziei*, Cieszyn: Offsetdruk i Media, 2014
–, *Duchy wojny*, t. 7: *W sieroctwie bez skargi*, Cieszyn: Offsetdruk i Media, 2017

–, *To byli nasi dziadkowie. W stulecie Wielkiej Wojny 1914–1918*, Bojszowy: Urząd Gminy, 2016
–, *To byli nasi ojcowie. Legendy rodzinne z Górnego Śląska o poległych żołnierzach Wehrmachtu*, Bojszowy: Gminny Ośrodek Rozwoju, 1999
Łuszczyna Marek, *Mała zbrodnia. Polskie obozy koncentracyjne*, Kraków: Znak Horyzont, 2017
Madajczyk Piotr, *Niemcy polscy 1944–1989*, Warszawa: Oficyna Naukowa, 2001
Makowski Jarosław, *Śląsk się Bogu nie udał. Górnoślązacy brzydzą się gejami, przezywają lesbijki, a przyrodę traktują jak Rosjanie*, wywiad ze Zbigniewem Kadłubkiem, „Gazeta Wyborcza Katowice", 2.06.2017, katowice.wyborcza.pl, bit.ly/3cDWDIx, dostęp: 7.06.2020
Malec-Masnyk Bożena, *Plebiscyt na Górnym Śląsku (geneza i charakter)*, Opole: Instytut Śląski, 1989
Masnyk Marek, *Dzielnica I Związku Polaków w Niemczech (1923–1939)*, Opole: WSP im. Powstańców Śląskich, 1994
Melon Marcin, *Kōmisorz Hanusik. We tajnyj służbie ślōnskij nacyje*, Kotōrz Mały–Opole: Silesia Progress, 2015
Nadolski Przemysław, *Bytom przełomu wieków XIX/XX. Opowieść o życiu miasta*, Łódź: Księży Młyn Dom Wydawniczy, Bytom [b.n.] 2012
Nasz Pawłów, red. Tomasz Iwasiów, Zabrze: Miejska Biblioteka Publiczna, 2015
Niesporek Katarzyna, *Hałda. O śląskiej wyobraźni symbolicznej*, posł. Anna Węgrzyniak, Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 2019
Oczko Joanna, Kubit Bożena, *Schönwald. Wieś z przeszłości*, Gliwice: Muzeum w Gliwicach, 2013
Ogiolda Krzysztof, *Mauzoleum na Górze św. Anny, co się świątynią nie stało*, „Nowa Trybuna Opolska", 2.06.2014, nto.pl, bit.ly/2ZPKi0S, dostęp: 30.05.2020
Orzechowski Marian, *Wojciech Korfanty. Biografia polityczna*, Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1975
Orzeczenie Sądu Najwyższego z 5.12.2013 roku, sygn. akt III SK 10/13, Sąd Najwyższy – baza orzeczeń, sn.pl, bit.ly/30jLOZl, dostęp: 7.06.2020
Osiem wieków Ostropy. Przeszłość osady, historia parafii, czasy obecne, red. Piotr Górecki, Gliwice: Epigraf, 2007
Pamiętniki powstańców śląskich, t. 2, kom. red. Franciszek Szymiczek, Ryszard Hajduk, Katowice: Śląsk, 1961
Pater Mieczysław, *Polskie postawy narodowe na Śląsku w XIX wieku*, cz. 2: *1871–1890*, Wrocław: Sudety, 1993
Piekarska-Oslislo Zofia, *Nowi Ślązacy. Miasto, dizajn, tożsamość*, Katowice: Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach, 2015
Pollack Martin, *Śmierć w bunkrze. Opowieść o moim ojcu*, przeł. Andrzej Kopacki, Wołowiec: Czarne, 2006
Popiołek Kazimierz, *Śląskie dzieje*, Warszawa–Kraków: Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1981

Rogmann Heinz, *Schlesiens Ostgrenze im Bild*, Breslau: Selbstverl. der Landesgruppe Schlesien des Bundes Deutscher Osten, 1936
Rosenbaum Sebastian, *Germania. Niemiecka polityczność na Górnym Śląsku 1871–1945*, Gliwice: Muzeum w Gliwicach, 2012
Rosenbaum Sebastian i in., *Mniejszość niemiecka w faktach i liczbach*, Opole: Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców na Śląsku Opolskim, 2018
Rygus Piotr, *Chorzów między wojnami. Opowieść o życiu miasta 1922–1939*, Łódź: Księży Młyn Dom Wydawniczy, Chorzów [b.n.] 2012
Rzeczkowski Grzegorz, *O Śląsku opowiada prof. Marek S. Szczepański*, „Polityka", 12.04.2011, polityka.pl, bit.ly/2XDXPan, dostęp: 6.06.2020
Scholtis August, *Wiatr od wschodu. Śląska opowieść sowizdrzalska*, przeł. Alois Smolorz, posł. Horst Bienek, Opole: Silesia Progress, Altdorf: Payern Verlag, 2015
Sekuła Elżbieta, *Dlaczego chcemy być Ślązakami?*, „Dziennik Zachodni", 11.11.2011, dziennikzachodni.pl, bit.ly/37955OF, dostęp: 7.06.2020
Sikora Mirosław, *Kuźnia broni III Rzeszy. Niemiecki przemysł zbrojeniowy na Górnym Śląsku podczas II wojny światowej*, Katowice: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Kraków: Wydawnictwo Towarzystwa Naukowego „Societas Vistulana", 2007
Simonides Dorota, *Szczęście w garści. Z familoka w szeroki świat*, Opole: Wydawnictwo Nowik, 2012
Smolorz Dawid, *Na granicy. Rzecz o czasach, ludziach i miejscach*, Gliwice: Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej, 2008
Smolorz Dawid, Kordecki Marcin, *Górny Śląsk – 20 historii z XX wieku*, Gliwice: Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej, 2010
Smolorz Michał, *Śląsk wymyślony*, Katowice: Antena Górnośląska – Studio Programów i Filmów Telewizyjnych, 2012
Sontag Susan, *O fotografii*, przeł. Sławomir Magala, Kraków: Wydawnictwo Karakter, 2017
Syska Józef, *Z walki o Śląsk i szkołę powszechną. Wspomnienia z lat 1918–1939*, Katowice: Śląski Instytut Naukowy, 1975
Szczypka-Gwiazda Barbara, *Pomiędzy praktyką a utopią. Trójmiasto Bytom–Zabrze–Gliwice jako przykład koncepcji miasta przemysłowego czasów Republiki Weimarskiej*, Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 2003
Szmeja Maria, *Niemcy? Polacy? Ślązacy? Rodzimi mieszkańcy Opolszczyzny w świetle analiz socjologicznych*, Kraków: Universitas, 2000
–, *Śląsk – bez zmian (?). Ludzie, kultura i społeczność śląska w perspektywie postkolonialnej*, Kraków: Nomos, 2017
Szramek Emil, *Śląsk jako problem socjologiczny. Próba analizy*, Katowice [b.n.], 1934
Sztuka Górnego Śląska od średniowiecza do końca XX wieku, red. Ewa Chojecka, Katowice: Muzeum Śląskie – Muzeum Rejestrowane, 2009
Szymutko Stefan, *Nagrobek ciotki Cili*, Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 2001
Tracz Bogusław, *Gliwice. Biografia miasta*, Gliwice: Muzeum w Gliwicach, 2018

–, *Rok ostatni – rok pierwszy. Gliwice 1945*, Gliwice: Muzeum w Gliwicach, 2004
Twardoch Szczepōn, *Drach. Edycyjŏ ślōnskŏ*, przeł. Grzegorz Kulik, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2018
Urban Thomas, *Niemcy w Polsce. Historia mniejszości w XX wieku*, przeł. Piotr Żwak, Opole: Wydawnictwo Instytut Śląski, 1994
Walka z nazewnictwem polskim na Śląsku w okresie hitlerowskim (1933–1939), oprac. Karol Fiedor, Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1966
Wanatowicz Maria Wanda, *Historia społeczno-polityczna Górnego Śląska i Śląska Cieszyńskiego w latach 1918–1945*, Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 1994
Wielka Wojna, mały region. Pierwsza wojna światowa w perspektywie górnośląskiej. Szkice i studia, red. Bernard Linek, Sebastian Rosenbaum, Joanna Tofilska, Katowice: Instytu Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Oddział: Muzeum Historii Katowic, Gliwice: Muzeum w Gliwicach, Opole: Państwowy Instytut Naukowy – Instytut Śląski, 2014
Województwo śląskie 1945–1950. Zarys dziejów politycznych, red. Adam Dziurok, Ryszard Kaczmarek, Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 2014
Zagajewski Adam, *Dwa miasta*, Paryż: Biblioteka Zeszytów Literackich, Kraków: Oficyna Literacka, 1991
Ziemilski Andrzej, *Dobry Niemiec. Opowiadania prawdziwe*, Warszawa: Czytelnik, 1997
Żbikowska Izabela, *Kutz ostro po orzeczeniu SN: Ślązacy powinni się wk***ć!*, „Gazeta Wyborcza Opole”, 7.12.2013, opole.wyborcza.pl, bit.ly/3eFS6Hg, dostęp: 7.06.2020

Przypisy końcowe

1 Zob. B. Tracz, *Gliwice. Biografia miasta*, Gliwice: Muzeum w Gliwicach, 2018.

2 A. Bożek, *Pamiętniki*, wstęp E. Osmańczyk, Katowice: Śląsk, 1957, s. 54–55.

3 Tamże, s. 47.

4 *Kutz: Puściłem się na całego*, Aleksandra Klich rozmawia z Kazimierzem Kutzem, „Duży Format", 12 lutego 2010, wyborcza.pl, bit.ly/2US8a0C, dostęp: 17.06.2020.

5 A. Bożek, *Pamiętniki*, dz. cyt., s. 93.

6 Zob. S. Dziewulski, *Wyniki plebiscytu na Górnym Śląsku*, Warszawa: Drukarnia i Litografia p.f. „Jan Cotty", 1922.

7 *Kronika Parafii Ostropa*, oprac. K. Groetschel, przeł. A. Mainusch-Buhl i in., Gliwice: Parafia Ducha Świętego w Gliwicach, 2014, s. 37.

8 Tamże, s. 40.

9 Tamże, s. 44.

10 Tamże, s. 42.

11 Tamże.

12 Cyt. za: D. Smolorz, *Na granicy. Rzecz o czasach, ludziach i miejscach*, Gliwice: Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej, 2008, s. 45.

13 *Kronika Parafii Ostropa*, dz. cyt., s. 45.

14 Krl 3, 24–25 (za Biblią Tysiąclecia).

15 *Historia Górnego Śląska. Polityka, gospodarka i kultura europejskiego regionu*, red. J. Bahlcke, D. Gawrecki, R. Kaczmarek, przeł. Rafael Sendek, Gliwice: Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej, Katowice: Muzeum Śląskie, Bytom: Frodo, 2011, s. 330, 332.

16 Zob. E. Kopeć, *„My i oni" na polskim Śląsku*, Katowice: Śląsk, 1986.

17 A. Bożek, *Pamiętniki*, dz. cyt., s. 81.

[18] Z. Kadłubek, *Esej o rozłące*, „Fabryka Silesia” 2012, nr 2, s. 8.

[19] K. Fiedor, *Usuwanie na Śląsku w czasach Trzeciej Rzeszy nazw miejscowości i określeń ze słowem Piast*, „Sobótka” 1981, nr 1, s. 183.

[20] H. Bienek, *Pierwsza polka*, przeł. M. Przybyłowska, Gliwice: Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej, Wydawnictwo Wokół Nas, 2008, s. 106.

[21] A. Dziurok, *Tragedia Górnośląska*, „Fabryka Silesia” 2015, nr 1, s. 8.

[22] E.H. Borkowska, U. Dylong, A. Jonderko, *„Mieli wrócić za czternaście dni”. Mieszkańcy Ostropy w obozach pracy przymusowej w Związku Sowieckim (1945–1949)*, Katowice: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Gliwice: Muzeum w Gliwicach, 2014, s. 101.

[23] Tamże, s. 102.

[24] K. Ogiolda, *Mauzoleum na Górze św. Anny, co się świątynią nie stało*, „Nowa Trybuna Opolska”, 2.06.2014, nto.pl, bit.ly/2ZPKi0S, dostęp: 30.05.2020.

[25] H. Bienek, *Podróż w krainę dzieciństwa. Spotkanie ze Śląskiem*, przeł. M. Podlasek-Ziegler, Gliwice: Wydawnictwo Wokół Nas, 1993, s. 301.

[26] „Dziennik Zachodni” 25.03.1945, nr 42, s. 1.

[27] Centralne Archiwum Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej, Nagradnoj list, 20.05.1945, nr 96/n, zbiór 33, inw. 686196, jedn. arch. 4208, k. 190r, podvignaroda.ru, bit.ly/2Zcnerr, dostęp: 27.06.2020, s. 75.

[28] *Wysiedlałem Horsta Bienka. Z socjologiem Andrzejem Ziemińskim* [!] *rozmawia Adam Krzemiński*, „Fabryka Silesia” 2015, nr 1, s. 77.

[29] Tamże, s. 80.

[30] Zob. L. Dubiel, *Wójtowa Wieś. Dzielnica Gliwic*, „Zeszyty Gliwickie” 1964, nr 2.

[31] A. Lysko, *Duchy wojny*, t. 5: *W udręce nadziei. Wspomnienia Wichty Ochmanowej 1944–1966*, Cieszyn: Offsetdruk i Media, 2014, s. 78.

[32] M. Smolorz, *Śląsk wymyślony*, Katowice: Antena Górnośląska – Studio Programów i Filmów Telewizyjnych, 2012, s. 13.

[33] Tamże, s. 9.

[34] Tamże, s. 187–188.

[35] A. Klich, *Kutz: Kręci mnie Cholonek*, „Gazeta Wyborcza”, 9.11.2007, nr 262, s. 17.

[36] Zob. T. Urban, *Niemcy w Polsce. Historia mniejszości w XX wieku*, przeł. P. Żwak, Opole: Wydawnictwo Instytut Śląski, 1994.

[37] J. Andruchowycz, *Moskwa*, przeł. K. Kotyńska [w:] Karbido i Jurij Andruchowycz, *Atlas estremo*, Hermetyczny Garaż, 2015.

[38] J. Dziadul, K. Kutz, *Powroty hanysa*, „Polityka", 29.06.2002, polityka.pl, bit.ly/3h6wnKh, dostęp: 10.06.2020.

[39] M. Łuszczyna, *Mała zbrodnia. Polskie obozy koncentracyjne*, Kraków: Znak Horyzont, 2017, s. 61, 64.

[40] A. Dziurok, A. Majcher, *Salomon Morel i obóz w Świętochłowicach-Zgodzie*, Instytut Pamięci Narodowej [2004], ipn.gov.pl, bit.ly/3dJOJP0, dostęp: 10.06.2020.

[41] M. Łuszczyna, *Mała zbrodnia*, dz. cyt., s. 74.

[42] Tamże, s. 76.

[43] A. Klich, *Cały ten Kutz. Biografia niepokorna*, Kraków: Znak, 2019, s. 10.

[44] Cyt. za: D. Kortko, L. Ostałowska, *Pierony. Górny Śląsk po polsku i niemiecku*, Warszawa: Wydawnictwo Agora, 2014, s. 415.

[45] *Hałda, Chalda, Halda, Warpa, Warpia, Warpisko, Warchwa, Warfa*, w: *Słownik języka polskiego*, red. J. Karłowicz, A. Kryński, W. Niedźwiedzki, t. 2: *H–M*, Warszawa: nakł. prenumeratorów i Kasy im. Mianowskiego, 1902, s. 10.

[46] K. Niesporek, *Hałda. O śląskiej wyobraźni symbolicznej*, posł. A. Węgrzyniak, Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 2019, s. 213.

[47] J. Dziadul, K. Kutz, *Powroty hanysa*, dz. cyt.

[48] G. Rzeczkowski, *O Śląsku opowiada prof. Marek S. Szczepański*, „Polityka", 12.04.2011, polityka.pl, bit.ly/2XDXPan, dostęp: 6.06.2020.

[49] A. Klich, *Nie ma narodu, może będzie – portret Jerzego Gorzelika*, „Gazeta Wyborcza" 22.06.2001, wyborcza.pl, bit.ly/2Cq3b0N, dostęp: 6.06.2020.

[50] Cyt. za: J. Dziadul, *Po co nam Warszawa?*, „Polityka", 25.10.2008, polityka.pl, bit.ly/2YfITi2, dostęp: 7.06.2020.

[51] Tu i dalej cyt. za: D. Kortko, L. Ostałowska, *Dość całowania ręki niemieckiego pana*, „Duży Format", 26.06.2013, wyborcza.pl, bit.ly/2MDSlpM, dostęp: 7.06.2020.

[52] J. Karnowski, M. Karnowski, *Silna Polska to silny Śląsk*, wywiad z Jarosławem Wieczorkiem, „W Sieci", 16.05.2016, nr 20, s. 7.

[53] Prawo i Sprawiedliwość, *Raport o stanie Rzeczypospolitej*, Warszawa: Biuro Prawa i Sprawiedliwości, 2011, s. 34–35.

[54] E. Sekuła, *Dlaczego chcemy być Ślązakami?*, „Dziennik Zachodni", 11.11.2011, dziennikzachodni.pl, bit.ly/37955OF, dostęp: 7.06.2020.

[55] Zob. D. Jerczyński, *Historia Narodu Śląskiego. Prawdziwe dzieje ziem śląskich od średniowiecza do progu trzeciego tysiąclecia*, Katowice: Instytut Ślůnskij Godki – Mega Press II, 2013.

[56] Tamże, s. 39.

[57] Tamże, s. 43.

[58] Tamże, s. 49.

[59] Tamże, s. 51.

[60] Tamże, s. 97.

[61] D. Kortko, L. Ostałowska, *Dość całowania ręki niemieckiego pana*, dz. cyt.

[62] Orzeczenie Sądu Najwyższego z 5.12.2013 roku, sygn. akt III SK 10/13, Sąd Najwyższy – baza orzeczeń, sn.pl, bit.ly/30jLOZl, dostęp: 7.06.2020.

[63] Cyt. za: I. Żbikowska, *Kutz ostro po orzeczeniu SN: Ślązacy powinni się wk***ć!*, „Gazeta Wyborcza Opole", 7.12.2013, opole.wyborcza.pl, bit.ly/3eFS6Hg, dostęp: 7.06.2020.

[64] M. Bednarek, *Wiceminister zdrowia o koronawirusie w kopalniach: na Śląsku jak we Włoszech*, „Gazeta Wyborcza Katowice", 11.05.2020, katowice.wyborcza.pl, bit.ly/3i0yXlp, dostęp: 7.06.2020.

[65] J. Makowski, *Śląsk się Bogu nie udał. Górnoślązacy brzydzą się gejami, przezywają lesbijki, a przyrodę traktują jak Rosjanie*, wywiad ze Zbigniewem Kadłubkiem, „Gazeta Wyborcza Katowice", 2.06.2017, katowice.wyborcza.pl, bit.ly/3cDWDIx, dostęp: 7.06.2020.

Przypisy

[1] Zdzisław Grudzień – pierwszy sekretarz komitetu wojewódzkiego PZPR w Katowicach w latach 1971–1980.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Wydawnictwo Czarne
@wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel. +48 22 621 10 48

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2020
Wydanie I